

STEFAN ZWEIG

24 godziny z życia
kobiety

I INNE OPOWIADANIA

Przełożyły

Zofia Rittnerowa

Maria Wisłowska

Izabella Czermakowa

AMOK

W marcu 1912 w porcie neapolitańskim przy wyładowaniu wielkiego statku transoceanicznego zdarzył się dziwny wypadek, o którym gazety przyniosły długie i bardzo fantastycznie zredagowane sprawozdania. Jako pasażer „Oceanii”, podobnie jak i inni podróżni, nie mogłem być świadkiem tego osobliwego zdarzenia, bo miało ono miejsce nocą, kiedy okręt zaopatrywał się w węgiel i bez przerwy trwały prace wyładunkowe, my zaś przed przykrym hałasem uciekliśmy na ląd, beztrudnie spędzając czas w kawiarniach lub w teatrach.

Jednakowoż pewne podejrzenia, których wtedy nie wyjawiałem publicznie, mogą rzucić światło na ową sensacyjną historię, a fakt, iż od tego epizodu minęło już sporo czasu, pozwala mi, sędzę, wykorzystać rozmowę, którą miałem krótko przedtem.

Kiedy w biurze okrętowym w Kalkucie chciałem zamówić miejsce na „Oceanii”, powracającej do Europy, klerk wzruszył z politowaniem ramionami. Na razie nie może mi powiedzieć, czy będzie mógł zapewnić mi kabinę, bo teraz tuż przed porą deszczową okręt już od Australii jest całkowicie wykupiony, ale ma jeszcze nadejść w tej sprawie telegram z Singapuru.

Następnego dnia ku mojej radości oznajmił, że jedno miejsce może jeszcze zarezerwować, co prawda będzie to bardzo podła kabina pod pokładem, w samym środku okrętu. Nie miałem już cierpliwości i chciałem być jak najprędzej w domu, więc nie namyślając się długo zgodziłem się.

Klerk, niestety, nie mylił się. Okręt był przepelniony, a kabina rzeczywiście podła: ciemny, zapadły kąt, w pobliżu maszyny, ledwie oświetlony mętnym błyskiem okrągłego okna.

W zgęstniałym, zduszonym powietrzu unosiła się woń oleju i pleśni. Nawet na sekundę nie można było opędzić się od hałasu elektrycznego wentylatora, który jak obłąkany stalowy nietoperz latał człowiekowi nad głową. Z dołu dochodziło bez przerwy sapanie i postękiwanie – miało się wrażenie, że to tragarz chodził tam i z powrotem z węglem po schodach – a z góry szuranie spacerujących po pokładzie podróżnych.

Wrzuciwszy kuferek w ten zatęchły grób z szarych belek popędziłem czym prędzej na górę, a wynurzając głowę z czeluści wdychałem jak ambre słodkawy miękki wiatr, który z łądu wiał ponad falami.

Jednak na pokładzie było również ciasno i niespokojnie. Powietrze huczało i wibrowało od ludzi, którzy dawali upust zdenerwowaniu wskutek zamknięcia i beczynności, paplali bez ustanku i chodzili ciągle tam i sam. Rozszczebiotana kokieteria i żarty kobiet, nieustanne krążenie w kółko po ciasnej promenadzie pokładu, wszystko to, nie wiem dlaczego, raziło mnie. Dopiero co zostawiłem za sobą nowy, przedziwny świat, wchłonałem w szalonym tempie szybko zmieniające się obrazy, a teraz chciałem to wszystko przemyśleć, rozdzielić, uporządkować – wydobyć pewien kształt z tego, co utrwalił wzrok – ale tu na tym bulwarze nie było chwili spokoju i wytchnienia. Po literach książki tańczyły ciągle cienie przechodniów. Niepodobieństwem było zostać z sobą samym na tej wędrującej słonecznej ulicy okrętowej.

Próbowałem przez trzy dni – daremnie. Patrzyłem z rezygnacją na ludzi, na morze, ale morze było ciągle to samo, niebieskie i puste, tylko o zmierzchu nagle oblane wszystkimi barwami. A po trzech dobach ludzi znałem na pamięć. Każda twarz była mi znajoma aż do przesytu, ostry śmiech kobiet przestał mnie drażnić, hałaśliwe kłótnie dwóch sąsiadujących ze mną holenderskich oficerów nie gniewały mnie już. Pozostawała więc tylko ucieczka, ale kabina była gorąca i duszna, a w salonie produkowały się na fortepianie młode Angielki, rąbiąc niemiłosiernie walce. Pewnego dnia postanowiłem z tym skończyć, zaszyłem się w kajucie już po południu, odurzywszy się przedtem kilkoma szklankami piwa, żeby przespać kolację i nieodzowne tańce.

Kiedy się przebudziłem, było całkiem ciemno i duszno w mojej trumnie. Zatrzymałem wentylator, i powietrze, tłuste i wilgotne, przylepiało się do moich skroni. Zmysły były odurzone, potrzebowałem paru minut, żeby sobie przypomnieć, gdzie jestem. Musiało już być dobrze po północy, bo nie słyszałem ani muzyki, ani tupotu kroków na pokładzie, tylko maszyna, to nigdy nie ustające serce lewiatana, ciągnęła skrzypiące ciało okrętu w niewiadomą dal.

Po omacku wydostałem się na pokład. Było pusto, a kiedy podniosłem wzrok ponad ziejącą parą wieżę komina i fantastycznie błyszczące maszty, naraz magiczna jasność zalała mi oczy. Niebo promieniało: w porównaniu z gwiazdami było nieomal czarne, ale z całą pewnością promieniało, jakby aksamitna zasłona zakrywała tam w górze jakieś niebywałe światło, jakby te iskrzące się gwiazdy stanowiły tylko otwory i szpary, poprzez które błyszczała ta nieopisana jasność. Nigdy nie widziałem takiego nieba jak tej nocy, tak jaśniejącego, tak twardo-stalowo-niebieskiego, a jednak iskrzącego, kapiącego, szumiącego, tryskającego światłem, które szło z księżyca i z gwiazd, a które jednak zdawało się palić w tajemniczym wnętrzu. Białe lakier migotał jaskrawo w świetle księżyca; wszystkie brzegi okrętu na tle aksamitnociemnego morza, liny, reje, wszystkie kontury rozplywały się w tym falującym świetle; niejako w próżni zdawały się wisieć światła na masztach i ponad nimi okrągłe oko okrętu – ziemskie, żółta gwiazda pomiędzy promieniącymi gwiazdami nieba.

Ponad moją głową zawisła czarodziejska konstelacja gwiazd, Krzyż Południa – błyszczącymi diamentowymi gwoźdźmi przybity do niewidzialnej przestrzeni, unoszący się pozornie w powietrzu, gdy tymczasem tylko okręt ciężko oddychającą piersią wytwarzał ruch w dół i w górę jak olbrzymi pływak przez ciemne fale pchający kadłub. Stałem i patrzyłem w niebo. Miałem uczucie, jakbym był w łaźni, gdzie gorąca woda płynie z góry, tylko że to była nie woda, lecz światło, białe i ciepłe, które mi zalewało ręce, ramiona i głowę. Odetchnąłem swobodnie, lekko, i nagle olśniony, poczułem na wargach orzeźwiający trunek: powietrze, ciepłe, fermentujące, łatwo upajające powietrze, w którym był oddech owoców i woń dalekich wysp. I po raz pierwszy, odkąd się znalazłem na tych deskach, uczułem świętą rozkosz: rozkosz marzenia, i to pragnienie zmysłowe, żeby ciało oddać jak kobieta tej otaczającej mnie miękkości. Chciałem się położyć i wznieść wzrok ku tym białym hieroglifom. Ale wszystkie leżaki i krzesła pochowano i na całym pokładzie nie było gdzie usiąść. Ostrożnie, po omacku posuwałem się ku przodowi okrętu oślepiiony światłem, które coraz gwałtowniej przenikało mnie, wydzielając się z otaczających przedmiotów.

To wapienno-białe, jaskrawo palące się światło bolało prawie, pragnąłem gdziekolwiek ukryć się w cieniu, rozciągnąć na jakiejś macie, nie odbierać samemu tego blasku, tylko patrzeć jak odbijało się ono w przedmiotach, tak jak się ogląda słoneczny pejzaż z cienia pokoju. Poprzez żelazne zwoje, potykając się na linach, doszedłem nareszcie aż do dziobu, spojrzałem w dół, gdzie przednia część okrętu nurzała się w czarnej wodzie, a roztopione światło księżycy tryskało pianą po obu stronach. Pług podnosił się i opadał w czarne falujące skiby morza; odczuwałem wszystkie katusze zwyciężonego żywiołu, odczuwałem całą rozkosz panowania ziemi w tej świetlistej grze fal. W zapatrzeniu zapomniałem o czasie. Czy stałem tu już od godziny, czy tylko od kilku minut? W dół i w górę kołysała mnie ogromna koleba okrętu. Czułem tylko, że przychodzi na mnie zmęczenie, które było prawie rozkoszą. Chciałem spać i śnić, ale nie mogłem wyjść z czarodziejskiego koła i wrócić do mojej trumny. Ni stąd, ni zowąd wyczułem pod nogami zwój lin. Usiadłem z zamkniętymi oczyma, ale wciąż jeszcze żądnymi cienia, bo przed nimi, nad nimi płynął srebrny blask. W dole szumiała woda, a nade mną niedosłyszalnym dźwiękiem – biały prąd światła. Stopniowo wchodził mi ten szum w krew; nie czułem już, czy żyję, i nie wiem, czy był to mój własny oddech, czy dalekie bicie serca okrętu. Płynąc rozpyływałem się w tym niespokojnym szumie światła.

Suchy cichy kaszel w pobliżu sprawił, że się zerwałem. Przerażony zbudziłem się z upajających marzeń. Oczy, oślepię od białego światła, które jaśniało ponad zamkniętymi dotychczas powiekami, chciały się czegoś doszukać w ciemności. Tuż naprzeciw mnie w cieniu ściany okrętowej błysnęło coś jakby szkło okularów, a teraz żarzyła się wielka krągła iskra – ognik fajki. Kiedy usiadłem zafascynowany pianą oblewającą dziób okrętu i w górze Krzyżem Południa, nie zauważyłem sąsiada, który tu musiał widocznie tkwić cały czas bez ruchu. Jeszcze niezupełnie przytomny wyjąkałem po niemiecku:

– Przepraszam.

– Ależ proszę – odpowiedział głos z ciemności również po niemiecku.

Nie umiem opisać, jak niesamowite było to milczące siedzenie obok siebie w ciemnościach dwóch ludzi, nie widzących się wzajem. Miałem wrażenie, że ten człowiek wpatruje się we mnie ustawicznie, jak ja rzeczywiście wpatrywałem się w niego. Ale tak silne było to białe błyszczące światło ponad nami, że jeden drugiego nie mógł widzieć – chyba tylko zarys konturów w cieniu. Zdawało mi się jedynie, że słyszę oddech i syczący szmer ssania fajki.

To milczenie było ponad siły. Najchętniej bym odszedł, ale wydawało mi się, że byłoby to za gwałtowne, za nagłe. Zakłopotany wyjąłem papierosa. Zapałka syknęła i przez chwilę drgał promyk światła w ciasnej przestrzeni. Zobaczyłem za szklami okularów obcą twarz, której nigdy dotąd nie widziałem na okręcie, przy żadnym posiłku, w żadnym korytarzu; czy to nagłe światło było przykre dla oczu, czy też była to halucynacja, ale twarz ta wydawała mi się przerażająco wykrzywiona, ponura, diabelska. Ale zanim wyraźnie spostrzegłem pojedyncze szczegóły, ciemność połknęła znowu oświetlone na mgnienie linie i znów widziałem, jak przedtem, tylko kontury ciemnej, wciśniętej w mrok postaci i od czasu do czasu krążyły płomień ognistego pierścienia fajki w powietrzu. Milczeliśmy, a to milczenie było duszne i przygniatające jak podzwrotnikowe powietrze.

Nareszcie, nie mogąc tego znieść dłużej, wstałem i powiedziałem grzecznie:

– Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział z ciemności ochrypli, twardy, jakby zardzewiały głos.

Potyając się o liny okrętowe szedłem z trudem naprzód. Nagle usłyszałem za mną odgłos szybkich, niepewnych kroków. Kroczył za mną ów zagadkowy człowiek. Odruchowo stanąłem, ale nie przybliżył się. W ciemnościach czułem tylko jakby strach i przygnębienie w jego chodzie.

– Przepraszam – powiedział prędko – że ośmielałam się niepokoić pana. Ja... ja... – jękał się z zakłopotaniem – ja... mam osobiste... całkiem osobiste powody unikania ludzi... śmierć osoby... dlatego stronię od towarzystwa na okręcie... nie mam na myśli pana, nie... nie... Prosiłbym tylko... byłbym ogromnie zobowiązany, gdyby pan nikomu nie mówił... Mam, jak powiedziałem, osobiste powody, które mi wzbraniają szukać teraz towarzystwa ludzi... tak... Byłoby mi przykro, gdyby pan wspomniał, że mnie... że tu ktoś w nocy... że... ja...

Słowa jego znów więzły w gardle. Widząc to zmieszanie zapewniłem go skwapliwie, że wypełnię jak najchętniej prośbę. Podaliśmy sobie ręce. Potem wróciłem do kajuty i zasnąłem snem ciężkim, dziwnie poplątanym majakami.

Dotrzymałem przyrzeczenia i nikomu na statku nie wspomniałem o osobliwym spotkaniu, choć pokusa była niemała. Bo w czasie podróży morskiej najmniejsza drobnostka staje się wydarzeniem: żagiel na horyzoncie, delfin w skoku, nowo odkryty flirt, przelotny żart. Przy tym dręczyła mnie ciekawość dowiedzenia się czegoś więcej o tym tajemniczym podróżnym, szukałem w liście okrętowej nazwiska, które by mogło należeć do niego, przypatrywałem się ludziom, czy mogli pozostawać z nim w jakimkolwiek związku. Owładnęła mną nerwowa niecierpliwość, przez cały dzień czekałem właściwie tylko na wieczór, czy go znowu nie spotkam. Zagadkowe psychologiczne sprawy mają nade mną po prostu niepokojącą przewagę, drażnią aż do krwi, chciałyby wszędzie dociekać związków, a dziwaczni ludzie potrafią mnie już przez swą obecność rozpałić aż do namiętności, namiętności nie mniejszej niż chęć posiadania kobiety. Dzień mi się dłużył i kruszył w palcach. Położyłem się wcześniej do łóżka: wiedziałem, że się zbudzę o północy, że... to mnie zbudzi.

I rzeczywiście, zbudziłem się o tej samej porze co wczoraj. Na zegarku obydwie nafosforyzowane wskazówki stanowiły jedną jasną linię. Prędko wyszedłem z dusznej kabiny w jeszcze duszniejszą noc.

Gwiazdy błyszczały jak wczoraj i sypały przenikliwe światło na drżący okręt. Wysoko ponad nami płonął Krzyż Południa. Wszystko było jak wczoraj – w krajach podzwrotnikowych dni i noce są bardziej bliźniaczo do siebie podobne niż w naszej umiarkowanej strefie – tylko we mnie nie było tego miękkiego, płynnego, sennego kołysania co wczoraj. Coś mnie ciągnęło, bałamuciło i wiedziałem, gdzie mnie ciągnie: tam, do czarnych zwojów lin na dziobie okrętu... Czy znowu siedzi tam bez ruchu ów tajemniczy podróżny? Z góry zabrzmiał głos dzwonu okrętowego. To mnie porwało. Szedłem krok za krokiem, niechętnie ulegając wewnętrznemu głosowi. Jeszcze nie zbliżyłem się do dzioba, gdy nagle drgnęło tam coś jak czerwone oko: fajka. A więc był...

Mimo woli stanąłem. Za chwilę już poszedłbym dalej, gdy wtem ruszyło się coś koło mnie, w ciemności ktoś wstał, zrobił dwa kroki i nagle usłyszałem blisko głos, uprzejmy i przybity:

– Proszę wybaczyć – powiedział – pan chce zapewne usiąść na starym miejscu. Nie chciałbym pana mą obecnością krępować. Proszę, niech pan usiądzie, ja odejdę.

Natychmiast odpowiedziałem, że bynajmniej, że skądże, że tylko dlatego zawahałem się, bo nie chciałem jemu przeszkadzać.

– Mnie pan nie przeszkadza – powiedział z pewną goryczą – przeciwnie, byłbym szczęśliwy, że nie będę skazany na samotność. Od dziesięciu dni nie zamieniłem z nikim słowa... właściwie już od lat... i może dlatego mi to tak ciężko przychodzi... bo się już prawie dławię tym, co sam musiałem połykać. Nie mogę... a towarzystwa ludzi nie znoszę, bo się przez cały dzień śmieją... Tego nie mogę słuchać... teraz... Gdy ten śmiech dochodzi mnie w kabinie, zatykam uszy... prawda, że pan nic nie wie, i cóż to zresztą może obchodzić kogo...

Przerwał znowu – i rzekł potem nagle i prędko:

– Ale ja pana nie chcę trudzić... niech mi pan wybaczy moją gadatliwość!

Uklonił się i chciał odejść, ale sprzeciwiłem się temu stanowczo.

– Proszę nie odchodzić. Jestem naprawdę szczęśliwy, że mogę parę cichych słów z kimś zamienić... Czy mogę pana poczęstować papierosem?

Wziął. Podałem mu ognia. Znowu w świetle oderwała się jego twarz od czarnej ściany okrętu, ale tym razem zupełnie do mnie zwrócona: oczy spoza okularów badały moją twarz łączywie, z obłąkaną mocą. Przerazenie mnie ogarnęło. Czułem, że ten człowiek chce mówić, musi mówić. I wiedziałem, że ja muszę milczeć, żeby mu dopomóc.

Usiedliśmy znowu. Obok stał drugi fotel, który mi podsunął. Nasze papierosy jarzyły się, i ze sposobu, w jaki obrączka światła jego papierosa drżała w ciemnościach, wiedziałem, że mu się ręka trzęsie. Ale milczałem i on milczał.

Potem odezwał się z cicha:

– Czy pan czuje się bardzo zmęczony?

– O nie, zupełnie nie.

Głos w ciemności zawahał się znowu:

– Chciałbym pana o coś zapytać... właściwie chciałbym panu coś opowiedzieć... choć czuję, jak to głupio zwracać się do pierwszego, kogo spotykam, ale... doszedłem już do kresu... muszę koniecznie z kimś mówić... inaczej wykończę się, zginę... Wiem, że mi pan nie pomoże... ale jestem już chory z tego milczenia... a chory jest zawsze śmieszny...

Przerwałem mu i powiedziałem, żeby się nie krępował. Niech spróbuje tylko się wypowiedzieć, nie mogę naturalnie niczego obiecywać, ale człowiek ma przecież obowiązek służenia drugiemu pomocą.

– Obowiązek... służenia drugiemu pomocą... Więc pan też tak myśli... pan także... obowiązek służenia pomocą... obowiązek służenia pomocą?...

Trzy razy to powtórzył. Przerażeniem napełniał mnie tępy, zawzięty sposób, z jakim to czynił. Czy ten człowiek był obłąkany? Może tylko pijany?

Ale jak gdyby czytał w moich myślach, powiedział nagle zupełnie innym tonem:

– Pan mnie bierze z pewnością za wariata albo pijanego. Nie, wariatem nie jestem, jeszcze nie. Tylko to, co pan powiedział, tak mnie dziwnie uderzyło... tak dziwnie, bo ja obecnie o niczym innym nie myślę, tylko czy człowiek ma obowiązek... obowiązek...

Zaczął znowu się jękać. Potem urwał nagle i podjął.

– Jestem lekarzem. W tym zawodzie nierzadkie są takie fatalne wypadki... Można by rzec, że to są wypadki graniczne, kiedy nie wiadomo, czy się ma obowiązek... bo nie zawsze mamy do czynienia z jednym obowiązkiem, mianowicie obowiązkiem wobec bliźnich, mamy też przecież obowiązki wobec siebie samego, wobec państwa, wobec nauki... Trzeba pomagać... naturalnie, od tego człowiek jest... ale takie maksymy mają tylko teoretyczne znaczenie. Gdzie jest życiowa granica? Ot teraz, jesteśmy sobie wzajemnie obcy, i ja pana proszę, niech pan nie mówi o tym, że mnie pan tu spotkał... dobrze... pan się zgadza, pan bierze na siebie ten obowiązek... Chcę z panem mówić, ponieważ milczenie mnie dławi... pan gotów jest wysłuchać mnie... no, tak, ale to wszystko jest łatwe... A gdybym pana poprosił, żeby pan mnie teraz wyrzucił za burtę... w takim momencie kończy się uprzejmość i gotowość niesienia pomocy! Gdzieś się musi kończyć... chyba tam, gdzie zaczyna się własne życie i własna odpowiedzialność... gdzieś się musi kończyć... Kiedyś musi ustać...

A może u lekarza nie ma tej granicy? Czy nic powinien on być tylko wybawcą, filantropem, nie myślącym o sobie jedynie dlatego, że ma dyplom wypisany po łacinie? Czy nie powinien on swego życia odłożyć na bok i zapomnieć, że w żyłach płynie mu krew, a nie woda, gdy do niego przyjdzie jakaś... ktoś i zażąda, żeby był szlachetny, dobry, skory do pomocy? Tak, gdzieś kończy się obowiązek... tam, gdzie się już nie ma sił... tam...

Zamilkł na chwilę i zerwał się znowu:

– Przepraszam pana, jestem taki podniecony... ale nie jestem pijany... jeszcze nie pijany... to mi się także zdarza teraz, przyznaję się panu szczerze... w tej piekielnej samotności... Niech pan pomyśli, siedem lat, siedem lat żyłem tylko między zwierzętami i krajowcami... Wtedy zapomina się mówić spokojnie. Kiedy się potem otworzy zapórę, przelewa się wszystko... Ale niech pan poczeka... wiem już... chciałem pana zapytać... chciałem panu opowiedzieć taki wypadek: czy się ma obowiązek pomocy... tak, w anielsko czystej intencji pomóc, czy... Obawiam się jednak, że to będzie trwało za długo. Czy pan naprawdę nie jest zmęczony?

– Nie, zupełnie nie.

– Dziękuję panu... Czy pan pozwoli?

Szukał czegoś w ciemności. Coś brzęknęło – dwie czy trzy, w każdym razie kilka butelek, które stały obok niego. Podał mi kieliszek whisky, w którym umaczałem usta, on zaś od razu wychylił cały. Przez chwilę milczenie stało między nami. Wtedy dzwon okrętowy wybił wół do pierwszej.

– A więc opowiem panu rzecz, która się wydarzyła... No, niech pan sobie wyobrazi lekarza mieszkającego w jakimś niedużym miasteczku... raczej na wsi... lekarza, który...

Przerwał znowu. Naraz gwałtownie przysunął się z fotelem ku mnie.

– Nic z tego nie wyjdzie. Muszę panu opowiedzieć wszystko od początku, inaczej mnie pan nie zrozumie. Tego nie da się przedstawić teoretycznie, przykładowo... muszę opowiedzieć to, co się mnie konkretnie wydarzyło... Tu nie ma miejsca na wstyd, na upiększanie... przede mną ludzie też się rozbierają, pokazują swoje strupy, mocz, ekskrementa... jeżeli się chce pomocy od kogoś, nie można kołować, zatajać... Więc nie będę pana bawił legendą... rozbieram się do naga i stawiam jasno sprawę: dawno w tej zasranej pustelni zapomniałem o wstydzie, w tym przeklętym kraju, który człowiekowi duszę wyjada i szpik wysysa z kości.

Musiałem zrobić jakiś ruch, bo przerwał nagle.

– Ach, pan protestuje... rozumiem! Jest pan zachwycony Indiami, świątyniami, palmami i całą romantyką dwumiesięcznej podróży. Tak, czarodziejski jest ten świat podzwrotnikowy, gdy się go ogląda z okien pociągu, samochodu lub z rikszy. Nie inaczej patrzałem, kiedy przybyłem tu przed siedmiu laty. O czym nie marzyłem wtedy! Chciałem się uczyć języków i czytać święte księgi w oryginale, studiować choroby, pracować naukowo, poznawać psychikę krajowców – tak się to nazywało w żargonie Europejczyków – zostać misjonarzem ideałów ogólnoludzkich, cywilizacji... Wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, marzą o tym. Ale w tej niesamowitej cieplarni traci się siły, gorączka, której nie można przecież uniknąć, choćby się nie wiem ile zażyło chininy, wysysa nawet szpik z człowieka, czyni go leniwym, ociężałym, rozmiękłym. Kiedy się Europejczyk przenosi z wielkiego miasta do takiej bagnistej, przeklętej dziury, następuje gwałtowny przełom w jego dotychczasowym życiu. Prędzej czy później stacza się w otchłań, jeden pije, drugi pali opium, a jeszcze inny znęca się nad ludźmi jak bestia – na każdego przychodzi jakiś obłąd. Każdy wzdycha do Europy, marzy, żeby choć raz przejść ulicą, siedzieć w murowanym domu wśród białych ludzi, latami całymi marzy, a kiedy w końcu przychodzi ten czas, gdy mógłby skorzystać z urlopu, jest już za leniwy, żeby wyjechać. Każdy wie, że nie ma już dokąd jechać, że tam nikt już nie czeka, że jest się jak ta muszla na plaży, po której każdy depta. A więc w rezultacie zostaje, niedołączniesz, marnieje w tych gorących mokrych lasach. Przeklęty niech będzie dzień, kiedy się sprzedałem do tego obmierzłego gniazda! Zresztą, tak zupełnie dobrowolne to to nie było...

Kończyłem nauki w Niemczech, zostałem doktorem medycyny, wziętym lekarzem oraz wybitnym specjalistą w klinice w Lipsku. W zamierzczłtych już czasach, w rocznikach jakiegoś lekarskiego czasopisma głośno było o mojej metodzie iniekcji. Wtedy zjawiała się w moim życiu romantyczna historia, kobieta, którą poznałem w szpitalu; kochanka swego doprowadziła do takiego obłędu, że ją postrzelił, a niedługo i ja wpadłem w to samo szaleństwo. Jej nieczułość i duma wyprowadzały mnie z równowagi. Zuchwałe i despotyczne kobiety miały zawsze przewagę nade mną. Ale ta tak mnie przygniotła, że mi aż kości połamało. Robiłem, co chciała, w końcu doszło do tego – czemu nie mam o tym mówić, minęło już osiem lat od tego czasu – dla niej sięgnąłem do kasy szpitalnej... a kiedy rzecz wyszła na jaw, zrobiło się piekło. Wuj pokrył szkodę, ale kariera była raz na zawsze skończona. Wtedy dowiedziałem się, że rząd holenderski werbuje lekarzy do kolonii i daje zadatek. Pomyślałem zaraz, że musi to być nieczysty interes, skoro dają zaliczkę; wiedziałem, że krzyże cementarne na tych bagnach rosną trzykroć szybciej niż u nas, ale gdy się jest młodym, myśli się, że gorączka i śmierć dopada tylko innych. Nie miałem wyboru, pojechałem do Rotterdamu, zobowiązałem się na dziesięć lat, dostałem pokaźną paczkę banknotów, połowę posłałem zaraz do domu dla wuja, a drugą zabrała mi tam w porcie dziewczyna, dziewczyna, która wyłudziła ode mnie wszystko, bo była tak podobna do tamtej przeklętej kocicy...

Bez pieniędzy, bez zegarka, bez iluzji wyjechałem z Europy i nie smuciłem się nawet zbyt, kiedy odplynęliśmy z portu. A potem siedziałem tak samo na pokładzie, jak pan teraz i jak wszyscy, i patrzyłem na Krzyż Południa, na palmy... Serce mi rosło – ach, lasy, samotność, cisza – marzyłem!...

Wkrótce miałem dosyć. Nie posłali mnie ani do Batawii, ani Surabai, do miasta, gdzie są ludzie, kluby, golf, książki i gazety – tylko do... – nazwa tu jest obojętna – do jakiejś obwodowej stacji, dwa dni jazdy z najbliższego miasta. Kilku nudnych zasuszonych urzędników, kilku *halfcast*¹, to było moje towarzystwo, zresztą tylko las i las, plantacje, gąszcz i bagna.

Z początku było jeszcze znośnie. Oddałem się z zapalem rozmaitym studiom. Raz, kiedy wywrócił się samochód wicerezydenta w podróży inspekcyjnej i dostojnik zdruzgotał sobie nogę, zrobiłem bez asystenta operację, o której dużo mówiono. Miałem zbiór trucizn i narzędzi wojennych krajowców. Zajmowałem się tysiącem drobiazgów, żeby tylko nie ulec apatii. Ale to wszystko było możliwe tak długo, jak długo miałem w sobie siły, które jeszcze przywiozłem z Europy; potem stopniowo usychałem. W końcu znudziło mnie tych kilku Europejczyków, zerwałem z nimi, zamknąłem się w sobie i zacząłem pić. Miałem tu pozostać: jeszcze tylko dwa lata, potem byłem wolny i z grubszą pensją mogłem wrócić do Europy i jeszcze raz zacząć życie na nowo. Właściwie nic już nie mogłem robić więcej, tylko czekać, leżeć i czekać. I siedziałbym jeszcze tak dziś, gdyby nie... gdyby nie to zdarzenie.

Głos w ciemnościach ucichł. Fajka przestała się jarzyć. Tak cicho było, że naraz usłyszałem znowu szum wody, łamiącej się i pieniącej na dziobie okrętu, i dalekie, tępe uderzenia serca maszyny. Chętnie byłbym zapalił papierosa, ale obawiałem się jaskrawego płomienia zapalniczki i refleksu na jego twarzy. A on milczał i milczał. Nie wiedziałem, czy marzył, czy spał, tak martwe było to milczenie.

1 *halfcast* (ang.) – mieszaniec

Wtem dzwon okrętowy wydzwonił jedno silne uderzenie: pierwsza. Zerwał się. Usłyszałem znowu brzęk szkła, prawdopodobnie ręka macała wokoło, szukając whisky. Ciche bulgotanie, potem głos zabrzmiał na nowo, ale teraz więcej naprężony, bardziej napięty:

– No cóż... na czym stanąłem... otóż to było tak: Siedzę tam na górze, w tym swoim zasranym gnieździe, siedzę jak pająk w sieci już od miesięcy, bez ruchu. Właśnie skończyła się pora deszczowa, tydzień za tygodniem pluskało o dach, nikt nie przychodził, żaden Europejczyk, dzień w dzień siedziałem z moimi żółtymi kobietami i z moją ukochaną whisky. Byłem wtedy już zupełnie *down*², chory na ową chorobę europejską: gdy tylko wziąłem jakąś powieść o jasnych ulicach i białych kobietach, zaczynały mi palce drżeć. Nie mogę wytłumaczyć panu dokładnie tego stanu, jest to rodzaj febry podzwrotnikowej, szalona, gorączkowa, a jednak bezsilna nostalgia, która porywa czasami człowieka. W takim stanie siedziałem raz – pochylony bodajże nad atlasem – i śniłem o podróżach. Naraz silne pukanie do drzwi. Przed drzwiami stoi boy i jedna z kobiet, i oboje mają oczy wytrzeszczone ze zdumienia. Robią wielkie gesty: jakaś pani jest tu... jakaś lady, słowem biała kobieta.

Zrywam się. Nie słyszałem, aby zajeżdżał powóz czy samochód... Biała kobieta tu, w tej dziczcy?

Chcę zbiec ze schodów, ale wstrzymuję się w ostatniej chwili. Jedno spojrzenie do lustra. Prędko doprowadzam swój wygląd do jakiegoś takiego porządku. Jestem zdenerwowany, niespokojny, dręczy mnie niedobre przecucie, bo nie mam nikogo, kto by mógł przybyć do mnie powodowany przyjaźnią. Wreszcie schodzę na dół.

2 *down* (ang.) – wykończony

W sieni czeka dama i podchodzi szybko do mnie. Gęsta podróżna woalka zakrywa jej twarz. Chcę się z nią przywitać, ale ona nie daje mi przyjść do słowa.

„Dobry wieczór, doktorze – mówi po angielsku bardzo płynnie (trochę za płynnie, jakby ułożyła sobie z góry, co ma powiedzieć). – Proszę mi wybaczyć tę napaść. Ale byliśmy właśnie na stacji, nasz samochód czeka opodal (dlaczego nie zajeżdża przed dom – przemyka mi błyskawicznie myśl) – wtedy przypomniałam sobie, że pan tu mieszka. A tyle słyszałam o panu... Pan dokazał prawdziwego cudu z wiceprezydentem. Jego noga jest *all right*, gra w golfa jak dawniej. Och, u nas wszyscy oddaliby chętnie naszego mrukiwego Surgeona i tych dwóch innych, gdyby tylko pan przyszedł na ich miejsce. Dlaczego pana nigdy nie widać w mieście? Pan żyje jak joga...”

I tak szczebioce prędko, coraz prędzej, nie dając mi dojść do słowa. Jakaś nerwowość i niepewność kryje się za tą pustą gadaniną, tak że się to i mnie zaczyna udzielać. Dlaczego mówi tak dużo, zastanawiam się w duchu, dlaczego się nie przedstawia, dlaczego nie zdejmuje woalki? Czy ma gorączkę? Czy jest chora? Czy może obłąkana? Denerwuję się coraz bardziej, bo odczuwam całą śmieszność sytuacji, stoję przed nią oniemiały, zalany potokiem słów. Nareszcie zatrzymuje się na chwilę, tak że mogę ją poprosić na górę. Daje znak, by boy pozostał, i wchodzi przede mną na schody.

„Bardzo tu ładnie u pana – mówi, rozglądając się po pokoju. – Ach, jakie śliczne książki, chciałabym je wszystkie przeczytać” – zbliża się do półki i ogląda tytuły. Pierwszy raz, odkąd się znalazła u mnie, milczy przez chwilę.

„Czy mogę pani służyć herbatą?” – pytam. Nie obraca się i nie odrywa oczu od książek.

„Nie, dziękuję, panie doktorze... musimy zaraz wracać... nie mam dużo czasu... wybrałam się tylko na krótką przejażdżkę... Ach, pan ma Flauberta, jak ja go strasznie lubię... cudowny, cudowny... *Éducation sentimentale*,³ widzę, że pan czyta nawet po francusku. Jaki pan mądry... tak, Niemców uczą wszystkiego w szkole... To naprawdę nadzwyczajne znać tyle języków!... Wicerezydent wierzy w pana, mówi, że panu jedynie pozwoliłby się krajać... nasz poczciwy Surgeon potrafi tylko rznąć w bridża. Zresztą, wie pan (ciągle jeszcze stoi tyłem) – dziś przyszło mi do głowy, że ja sama powinnam się pana poradzić... Właśnie przejeżdżaliśmy tędy, więc pomyślałam sobie... ale pan pewnie zajęty... przyjadę innym razem...”

„Nareszcie odkrywasz karty!” – pomyślałem zaraz. Ale nie dałem nic poznać po sobie, zapewniłem ją, że będzie dla mnie zaszczytem służyć jej teraz lub kiedykolwiek.

„To nic poważnego – powiedziała, odwracając się bokiem i jednocześnie kartkując książkę, którą wzięła z półki – nic poważnego... drobnostka... kobiece historie... zawroty głowy... omdlenia... Dziś rano podczas jazdy, na jakimś zakręcie osunęłam się nagle na poduszki samochodu, boy musiał mnie podnosić i szukać wody... może kierowca jechał za szybko... jak sądzi pan, doktorze?”

„Tak nie mogę nic o tym powiedzieć. Czy pani miewała częściej takie omdlenia?”

„Nie... to znaczy... w ostatnich czasach... właśnie w ostatnich czasach... tak, takie omdlenia, nudności...”. Stoi znowu przed szafą z książkami, odkłada jedną, wyjmuje drugą i przerzuca kartki. Zwróciłem uwagę, że robiła to bardzo nerwowo... Czemu nie patrzy na mnie przez woalkę? Naumyślnie nic nie mówię. Chcę ją trochę zmęczyć. Nareszcie zaczyna znowu w swój szczebioczący sposób:

„Prawda, doktorze, że to nic niebezpiecznego? Podzwrotnikowa gorączka lub coś podobnego...”.

Podchodzę do niej. Cofa się.

„Musiałbym najpierw zobaczyć, czy pani ma gorączkę. Czy mogę poprosić o puls?”.

Zbliżam się. Ona usuwa się miękko w bok.

„Nie, nie, nie mam... na pewno nie... mierzyłam codziennie od... czasu, jak zaczęły przychodzić te omdlenia. Nigdy nie miewam gorączki, zawsze tylko 36,4, nigdy więcej. Żołądek także w porządku”.

Waham się chwilę. Cały czas dojrzewa u mnie przeświadczenie, że ta kobieta chce czegoś ode mnie. Nie przyjeżdża się na takie pustkowie, żeby rozmawiać o Flaubercie. Jeszcze jedną, dwie minuty każę jej czekać.

„Przepraszam panią – odzywam się potem rzeczowo – czy mogę zadać pani parę pytań?”.

„Naturalnie, doktorze, pan przecież jest lekarzem” – odpowiada już znowu obrócona plecami i bawi się książką.

„Czy pani miała dzieci?”.

„Tak, syna”.

„A miała pani przedtem... myślę wtedy... czy nie zauważyła pani podobnych symptomów jak teraz?”.

„Tak”.

Jej głos jest teraz zupełnie inny. Czysty, stanowczy, nie szczebiocący, zupełnie nie nerwowy.

„A czy jest możliwe... przepraszam za pytanie... że pani się teraz znajduje w tym samym stanie?”

„Tak”.

Ostro jak brzytwa i zdecydowanie pada to słowo. W jej zwróconym ku mnie profilu nie drgnęła ani jedna linia.

„W takim razie byłoby może najlepiej, gdybym mógł panią zbadać... Czy mogę poprosić do gabinetu?”

Wtedy odwraca się nagle. Przez woalkę czuję zimny stanowczy wzrok, który mi patrzy prosto w oczy.

„Nie... to niepotrzebne... mam zupełną pewność co do mego stanu”.

Głos waha się przez chwilę i znowu napełniona szklanka błyska w ciemności.

– A więc niech pan słucha dalej... ale proszę sobie wyobrazić przez chwilę tę sytuację. Do człowieka, który ginie z samotności, przychodzi kobieta, pierwsza biała kobieta od lat, która przestępuje próg tego pokoju... Zaczynam węszyć wokół siebie coś złego... jakieś niebezpieczeństwo. Dreszcz mnie przeszedł, czułem wstręt do stalowej woli tej kobiety, która weszła tu, szczebiocząc, a potem naraz jak nóż z pochwy wyciąga swoje żądanie. Bo wiedziałem już dawno, wiedziałem od razu, czego chciała ode mnie. Nie pierwszy raz zdarzało się, że kobiety żądały ode mnie czegoś podobnego, ale przychodziły inaczej... zawstydzone albo błagające, przychodziły ze łzami i z zakłęciami. Tu jednak była stalowa, męska wola... Od pierwszej sekundy czułem, że ta kobieta była silniejsza ode mnie... że mogła mnie zmusić do spełnienia swej woli... jeżeli chciała... Ale we mnie było także coś złego... mężczyzna, który się bronił, jakieś rozgoryczenie... bo jak już powiedziałem, od pierwszej sekundy, zanim ją jeszcze zobaczyłem, miałem wrażenie, że ta kobieta jest moim wrogiem.

Z początku milczałem uparcie i zawzięcie. Czułem, że patrzyła na mnie spod woalki wprost wyzywająco, że chciała mnie zmusić do mówienia. Ale ja nie chciałem tak łatwo ustąpić. Zacząłem mówić, ale wymijająco... mimo woli naśladowałem jej gadatliwy, obojętny sposób mówienia. Udawałem, że jej nie rozumiem – bo nie wiem, czy pan potrafi odczuć to wraz ze mną – chciałem ją zmusić, żeby powiedziała wyraźnie, czego żąda, nie chciałem się ofiarować sam... tylko chciałem być proszony... właśnie przez nią... bo drażnił mnie jej despotyzm, i wiedziałem, że nie ulegam żadnym kobietom tak łatwo jak takim pysznym, zimnym królowym.

Mówiłem więc, że tego rodzaju stan niczym nie grozi, omdlenia należą do regularnego przebiegu, przeciwnie, zapewniają prawie zawsze pomyślny wynik. Przytaczałem przykłady z klinicznych czasopism... mówiłem, mówiłem, lekko, niedbale, traktując całą sprawę jako banalny wypadek... i czekałem ciągle, że mi przerwie. Bo wiedziałem, że nie wytrzyma tego.

Przerwała nagle, ruchem ręki zmiatając niejako wszystko, co powiedziałem dotychczas.

„To mnie nie niepokoi, doktorze. Wtedy, gdy mój syn przyszedł na świat, stan mojego zdrowia był o wiele lepszy... ale teraz nie jestem *all right*... mam sercowe przypadłości...”.

„Ach, tak, sercowe przypadłości – powtórzyłem, pozornie zaniepokojony – zobaczymy zaraz” – zrobiłem ruch, jakbym chciał wstać i pójść po słuchawkę.

Ale już przerwała mi znowu. Głos jej był teraz ostry i stanowczy niby głos oficera wydającego komendy.

„Mam przypadłości sercowe, doktorze, i muszę pana prosić, żeby pan uwierzył w to, co mówię. Nie chciałabym tracić czasu na badanie... może mi pan okazać trochę zaufania. Ja okazałam panu dostatecznie moje, przychodząc tutaj”.

Była to już walka, otwarte wyzwanie. I ja to wyzwanie przyjąłem.

„Do zaufania potrzeba szczerości, szczerości bez zastrzeżeń. Niech pani mówi jasno. Jestem lekarzem. A przede wszystkim proszę zdjąć woalkę, usiąść, nie zajmować się w tej chwili książkami i mówić bez ogródek. Nie przychodzi się do doktora pod osłoną welonu”.

Popatrzyła na mnie prosto, dumnie. Przez chwilę wahała się. Potem usiadła i podniosła woalkę. Zobaczyłem twarz taką, jakiej się obawiałem, twarz o wyrazie nieprzeniknionym, zimną, panującą nad sobą, o dziwnej piękności niezależnej od wieku, twarz z szarymi angielskimi oczyma, w których wszystko zdawało się spokojem, a poza którymi musiały ukrywać się ogromne namiętności. Te wąskie zaciśnięte usta nigdy nie zdradzą tajemnicy, jeśli nie zechcą. Całą minutę mierzyliśmy się wzrokiem – ona z takim zimnym, kamiennym okrucieństwem, rozkazująca i pytająca jednocześnie. Nie mogłem wytrzymać tego spojrzenia i mimo woli odwróciłem głowę.

Zapukała lekko paznokciami w stół. A więc i w niej grały nerwy!... Potem powiedziała szybko:

„Czy pan wie, czy pan nie wie, doktorze, czego chcę od pana?”.

„Zdaje mi się, że wiem. Ale lepiej mówmy zupełnie wyraźnie. Pani chce swój stan... przerwać... Pani chce, żebym ją uwolnił od omdleń i nudności... żebym usunął powód... Czy tak?”.

„Tak”.

To słowo zabrzmiało jak uderzenie siekierą.

„Czy pani wie, że takie próby są niebezpieczne dla obojgu stron?”.

„Tak”.

„Że jest to prawnie wzbronione?”.

„Są przypadki, że to nie tylko nie jest wzbronione, ale wprost wskazane”.

„To wymaga w każdym razie orzeczenia lekarskiego”.

„Pan zrobi to orzeczenie. Pan jest lekarzem”.

Jasno, niewzruszenie spoglądały jej oczy na mnie. Był w nich rozkaz, a ja, słaby, nieudolny człowiek, drżałem z podziwu przed demoniczną siłą jej woli. Ale trzymałem się jeszcze kurczowo. Nie chciałem pokazać, że już jestem zdeptany. Tylko nie za prędko! Robić trudności! Niech prosi – iskrzyła się we mnie niebezpieczna chęćka.

„To nie zawsze zależy od woli lekarza, ale jestem gotów z jakimś kolegą... w szpitalu...”.

„Nie chcę żadnego kolegi, ja przyszedłem do pana”.

„Czy mogę spytać, dlaczego właśnie do mnie?”.

Popatrzyła na mnie zimno.

„Powiem to bez ogródek. Dlatego że pan mieszka z dala od ludzi, że pan mnie nie zna, że... że pan jest dobrym lekarzem i że pan... – teraz zaważała się po raz pierwszy – pewnie tu zabawi już niedługo, szczególnie jeżeli będzie pan mógł zabrać ze sobą większą sumę pieniędzy”.

Zimny dreszcz mnie przeszedł. Ta bezwzględność, ta kupiecka jasność wyrachowania oszołomiła mnie. Dotychczas jeszcze nie otworzyła ust do prośby – ale od dawna było wszystko ukartowane, nim tu przyszła. Wszystkiego się o mnie wywiedziała. Czułem, jak demoniczna siła jej woli wnikała we mnie, ale broniłem się z całym rozgoryczeniem. Jeszcze raz zmusiłem się, by mówić rzeczowo, prawie ironicznie:

„I pani chciałaby... chciałaby mi ofiarować tę większą sumę pieniędzy?”.

„Za pańską pomoc i natychmiastowy wyjazd”.

„Czy pani wie, że straciłbym z tego powodu moją pensję?”.

„Wynagrodzę to panu”.

„Pani jest aż nadto wyraźna... Aleja chcę jeszcze wyraźniej to usłyszeć. Jaką sumę przeznaczyła pani jako honorarium?”.

„Dwanaście tysięcy guldenów w czeku płatnym w Amsterdamie”.

Wiłem się... wiłem... z wściekłości, ale także z podziwu. Wszystko wykalkulowała, i wysokość sumy, i sposób jej zapłacenia; oszacowała mnie z góry i kupiła, nie znając mnie, rozporządziła mną przekonana o przewadze swojej woli. Najchętniej bym ją uderzył w twarz... Ale trzęsąc się wstałem – ona też wstała – i spojrzałem jej prosto w oczy. Nagle, spoglądając na te zaciśnięte usta, które nie umiały prosić, i na to dumne czoło, które nie chciało się pochylić, uczułem coś... rodzaj niepohamowanej żądy. Musiała spostrzec coś instynktownie, bo podniosła brwi jak ktoś, kto chce odprawić natręta. Naga nienawiść stanęła między nami. Wiedziałem, że ona mnie nienawidzi, bo mnie potrzebuje; a ja nienawidziłem jej, bo... nie chciała prosić. Teraz, przez tę sekundę milczenia mówiliśmy po raz pierwszy do siebie otwarcie. Naraz jak gad ukąsiła mnie potworna myśl... i powiedziałem jej... powiedziałem jej...

Ale nie, niech pan zaczeka, w ten sposób nie zrozumiałby pan tego, co zrobiłem... co powiedziałem... muszę panu najpierw wyjaśnić, jak... w jaki sposób ta obłądana myśl trafiła do mnie.

Znów szkło zadzwoniło w ciemności. A głos stawał się coraz bardziej podniecony.

– Nie chcę się wcale tłumaczyć, usprawiedliwiać, uniewinniać... Ale inaczej pan by mnie nie zrozumiał... Nie wiem, czy byłem kiedy tak zwanym dobrym człowiekiem, ale... zdaje mi się, że byłem zawsze gotowy nieść pomoc... W tym obmierzłym życiu, jakie się tam prowadziło, to było jedynym skarbem, jaki się miało: to, że tą garścią wiedzy, którą sobie człowiek wcisnął do mózgu, mógł utrzymać oddech znikającego życia, mógł mieć wewnętrzne zadowolenie, że coś dzięki niemu powstaje... Rzeczywiście, były to moje najpiękniejsze chwile, kiedy przychodził taki żółty chłopak siny ze strachu, ze spuchniętą nogą od ukąszenia żmii i już wrzeszczał, że nie chce, aby mu nogę ucięto, a ja zdążyłem go jeszcze uratować. Nie zważałem na odległości, jeżeli gdzieś, choćby o kilka godzin jazdy, jakaś kobieta leżała w gorączce – nawet i w taki sposób, jak ta kobieta tu chciała, pomagałem już dawniej w Europie, w klinice. Ale wtedy przynajmniej miałem pewność, że ratuję kogoś przed śmiercią albo rozpaczą – i to jest właśnie potrzebne, aby przyjść komuś z pomocą – to uczucie, że tamten ciebie potrzebuje.

Ale ta kobieta, nie wiem, czy potrafię to panu przedstawić, ona drażniła mnie od pierwszej chwili (kiedy niby to po drodze wstąpiła do mnie), ta dumna kobieta prowokowała we mnie wszystko... jak by to wyrazić... wszystko... co przyczało się we mnie, ukryło i co było najgorsze, przeciwko niej...

Do pasji doprowadzała mnie, bawiąc się w nieprzystępną lady, z nieopisanie zimną krwią załatwiając interes, w którym chodziło o śmierć i życie... A ostatecznie... ostatecznie... nikt nie zachodzi w ciążę od gry w golfa... wiedziałem... to znaczy musiałem zdawać sobie sprawę z przeraźliwą dokładnością – i to właśnie była ta obłądna myśl – że ta chłodna, dumna, zimna kobieta, która już podnosiła brwi, kiedy tylko spojrzałem na nią niechętnie... że ta sama kobieta dwa czy trzy miesiące temu tarzała się w łóżku z mężczyzną... naga, z pewnością jęcząc z rozkoszy... obydwaj ciała przywarte do siebie jak dwie pary warg... To była ta paląca myśl, która mnie napadła wtedy, kiedy ta kobieta wpatrywała się we mnie tak dumnie, tak nieprzystępnie i chłodno jak angielski oficer... i wtedy... wtedy wszystko sprężyło się we mnie... opętała mnie myśl, żeby ją poniżyć... Od tej chwili rozbierałem ją w myśli... od tej chwili żyłem tylko myślą, żeby ją posiąść, wydobyć jęk z jej zaciśniętych ust, zobaczyć tę zimną, niedostępną kobietę taką, jaką widział ją ów obcy człowiek. To chciałem panu wyjawić... Nigdy przedtem, pomimo mojego upadku, nic starałem się wykorzystywać jako lekarz sytuacji... Ale i tym razem nie była to lubieżność, nie było to nic seksualnego, doprawdy nie... przyznałbym się, gdyby tak było... tylko żądza pokonania tej pychy... udowodnienia mojej jako mężczyzny przewagi... Zdaje się, wspominałem już panu, że dumne, pozornie zimne kobiety z dawna miały nade mną przewagę... ale nową okolicznością było, że żyjąc tam przez siedem lat nic miałem żadnej białej kobiety i zdążyłem zapomnieć już, co znaczy opór... Bo dziewczęta tutejsze, te świergocące, małe delikatne zwierzątka, trzęsą się tylko z szacunkiem, jeżeli biały „pan” zażąda... giną z pokory, zawsze gotowe służyć każdemu z cichym gdakającym śmiechem... Ale właśnie ta łatwość, ta niewolnicza uległość obrzydza człowiekowi zmysłowe

użycie... Czy pan teraz rozumie, czy pan rozumie, jak to na mnie musiało podziałać, kiedy nagle zjawiła się ta kobieta, pełna dumy i nienawiści, zasłonięta aż po końce palców, jednocześnie pełna tajemnicy i syta dawnego szaleństwa, kiedy ta kobieta weszła zuchwale do klatki takiego jak ja samotnika, zgłodniałej, izolowanej ludzkiej bestii? Tylko to chciałem powiedzieć, żeby pan zrozumiał ciąg dalszy. A więc pełen najgorszej żądy, zatruty tamtą myślą o tej nagiej i zmysłowej kobiecie zapanowałem nad sobą i udając obojętność powiedziałem zimno:

„Dwanaście tysięcy guldenów?... Nie, za to nie zrobię tego, co pani chce”.

Spojrzała na mnie, blednąc. Musiała zrozumieć, że w tym sporze suma pieniędzy nie grała roli.

Lecz powiedziała:

„Więc, czego pan żąda?”.

Ale ja nie zgodziłem się teraz na ten chłodny ton.

„Grajmy w otwarte karty! Nie jestem groszorem... Nie jestem owym biednym aptekarzem z *Romea i Julii*, który za *corrupted gold*⁴ sprzedaje truciznę... Jestem najdalszy od tego... W ten sposób nie osiągnie pani tego, co pani sobie życzy”.

„Więc pan tego zrobić... nie chce?”.

„Nie za pieniądze”.

Zrobiła się cisza. Taka cisza, że po raz pierwszy usłyszałem jej oddech.

„Czegóż pan zresztą może żądać?”.

Przestałem panować nad sobą.

„Chcę przede wszystkim, żeby pani nie mówiła do mnie jak do kupczyka, tylko jak do człowieka. I jeżeli pani potrzebuje pomocy, niech pani nie zaczyna od proponowania pieniędzy... tylko prosi... prosi mnie jako człowieka, żebym pomógł pani jako człowiekowi... Ja jestem nie tylko lekarzem... mam nie tylko godziny przyjęć... mam jeszcze inne godziny... i może pani właśnie na taką trafiła...”

Milczy przez chwilę, usta jej kurczą się lekko, drży i mówi potem prędko:

„A gdybym pana prosiła ... czy wtedy pan zrobi to?”

„Pani chce znowu załatwić interes. Pani chce tylko wtedy prosić, jeżeli pani obiecuję. Nie, najpierw pani musi poprosić, a potem pani odpowiem”.

Podrzuca głowę do góry jak uparty koń. I spogląda na mnie gniewnie.

„Nie, nie będę pana prosiła. Wolę zginąć!”

Porywa mnie szalony gniew.

„Jeżeli pani nie chce prosić, to ja będę wymagał. Zdaje mi się, że nie potrzebuję mówić wyraźniej. Pani wie, czego od pani żądam. Wtedy, tylko wtedy zrobię to, co pani chce”.

Przez chwilę patrzy na mnie bez ruchu. A potem – o, nie mogę panu powiedzieć, jakie to było straszne – potem jej rysy naprężyły się i... zaśmiała się naraz... zaśmiała się z nieopisaną pogardą prosto w twarz... z pogardą, która mnie wprost zdeptała... i zarazem upoiła... Ten pogardliwy śmiech zerwał się tak nagle i wybuchnął z taką siłą... że... że byłbym jej upadł do nóg i całował rąbek jej sukni. Trwał tylko sekundę jak błyskawica; a ja czułem ogień w całym ciele...

Ale już się odwróciła i szła do drzwi.

Chciałem pobiec za nią... tłumaczyć się... błagać ją... byłem zupełnie złamany... wtedy odwróciła się jeszcze raz i powiedziała... nie, rozkazała:

„Niech pan nie próbuje iść za mną albo szpiegować mnie... Pożałowałby pan tego!”.

I już zatrzasnęły się drzwi za nią.

Znowu wahanie. I milczenie... I znowu ten szum, jak gdyby płynęło światło księżycy. I wreszcie znowu ten sam głos:

– Drzwi zamknęły się... a ja stałem na miejscu... bez ruchu... byłem jak zahipnotyzowany tym rozkazem... słyszałem, jak schodziła ze schodów, zamykała drzwi na dole... słyszałem wszystko i moja cała dusza szła za nią... żeby ją... nie wiem, czy zawołać... czy bić, czy zadusić... ale za nią... za nią!... A nie mogłem. Moje członki były jak porażone elektrycznością... byłem ugodzony aż do szpiku kości, ugodzony błyskawicą jej spojrzenia... Wiem, że tego nie można wytłumaczyć ani opowiedzieć... i może to brzmi śmiesznie, ale stałem i stałem... i potrzebowałem paru długich minut... może pięć, może dziesięć... zanim mogłem oderwać nogę od podłogi.

Ale zaledwie ruszyłem jedną nogą, byłem już pełen gorączki i pośpiechu... w mgnieniu oka zbiegiem ze schodów... Mogła pójść tylko drogą do stacji... wpadam do komórki, po rower, widzę, że zapomniałem klucza, z całej siły uderzam w ścianę tak, że bambus tylko trzeszczy i leci na wszystkie strony... już siedzę na rowerze i ścigam ją... muszę ją dogonić, muszę, zanim dojdzie do samochodu, muszę z nią mówić...

Wzbijam tuman kurzu na drodze... dopiero teraz widzę, jak długo musiałem stać tam na górze... dopiero na zakręcie, pod lasem, tuż przy stacji widzę ją, jak biegnie szybko, sztywnym, prostym krokiem w towarzystwie boya... Ale ona mnie także musiała spostrzec, bo mówi coś do boya, on zostaje, a ona idzie dalej sama... „Co chce uczynić? Dlaczego chce być sama? Czy chce ze mną mówić tak, żeby boy tego nie słyszał?”.

Zapominam o świecie i ruszam pedałami... Naraz coś na mnie wpada – boy... Mogę jeszcze tylko rzucić się w bok i – leżę plackiem na ziemi.

Wstaję złorzecząc, bezwiednie podnoszę pięść, żeby tego hultaja wyróżnąć w twarz. Ale on odskakuje na bok... Podnoszę rower, żeby jechać dalej... Jednak ten gałgan przyskakuje znowu... i mówi pożałowania godną angielszczyzną:

„*You remain here*”⁵.

Pan nie żył nigdy dłuższy czas w tych podzwrotnikowych okolicach i nie wie pan, co to jest za bezczelność, kiedy taki żółty nicpoń chwytą rower białemu „panu” i rozkazuje temu „panu” nie ruszać się z miejsca. Zamiast odpowiedzi daję mu pięścią w twarz... zachwiał się, ale rower trzyma silnie... jego oczy, jego wąskie tchórzliwe oczy są szeroko rozwarte w niewolniczym strachu... ale trzyma mocno, trzyma rower z szatańską siłą.

„*You remain here*” – jąka jeszcze raz.

Na szczęście nie mam ze sobą rewolweru. Byłbym go pewno zastrzelił.

„Precz, kanalio!” – mówię tylko.

5 *You remain here* (ang.) – Pan tu zostanie.

Patrzy na mnie uniżenie, ale roweru nie puszcza.

Uderzam go znowu w głowę, ale nie ustępuje. Porywa mnie wściekłość. Widzę, że kobieta, za którą gonię, już znikła, może udało się jej uciec... i częściej go bokserskim ciosem w brodę tak, że wykręca się i pada. Teraz jestem znowu w posiadaniu roweru... ale kiedy chcę się pojechać, nie mogę ruszyć z miejsca... przy tym gwałtownym szamotaniu koło wygięło się w ósemkę... Próbuję gorączkowo je wyprostować... nie daje się... rzucam rower w poprzek szosy obok tego gałgana, który wstaje skrzwawiony i usuwa się z drogi... I potem – nie, nie może pan odczuć całej śmieszności tej sytuacji – ja, Europejczyk... ale już nie wiedziałem, co robię... kierowała mną tylko jedna myśl: za nią... dopaść ją... biegłem, biegłem jak opętany drogą, a ta żółta hołota wyległa z domostw i wytrzeszczała oczy ze zdumienia, widząc jak biały człowiek, doktor... goni... Wreszcie zziajany dotarłem do stacji...

Moje pierwsze pytanie:

„Gdzie auto?”

„Właśnie odjechało”.

Ludzie patrzają na mnie zdziwieni, musiałem mieć wygląd szaleńca. Przybiegłem mokry i obłocony. Już z daleka wykrzykiwałem pytanie... Na drodze opadającej od stacji w dół widzę biały dym samochodu. Wygrała!... wygrała, jak zawsze musi wygrywać to bezwzględne, bezlitosne wyrachowanie.

Ale ucieczka nic jej nie pomoże... Pod zwrotnikiem nie ma tajemnic między Europejczykami... Jeden zna drugiego, najmniejsza rzecz urasta do rozmiarów zdarzenia. Nie darmo rządowy bungalow gościł jej szofera przez godzinę... Po kilku minutach wiem wszystko... Wiem, kim jest... mieszka w... powiedzmy, w mieście rządowym, osiem mil drogi koleją – jest, powiedzmy, żoną wielkiego hurtownika, szalenie bogatą, dystygowaną Angielką... Wiem, że jej mąż był teraz przez kilka miesięcy w Ameryce i wraca w najbliższych dniach, żeby ją zabrać do Europy.

Ona jednak – jak trucizna pali mnie ta myśl w żyłach – ona musi być w odmiennym stanie najwyższej od dwóch, trzech miesięcy...

Dotychczas próbowałem to panu jeszcze jakoś wytłumaczyć. Być może do tej chwili rozumiałem jeszcze siebie... jako lekarz w pewien sposób kontrolowałem swój stan. Ale odtąd całkowicie straciłem władzę nad sobą..., to znaczy wiedziałem dobrze, że popełniam szaleństwo, ale to nie mogło mnie powstrzymać... nie rozumiałem już siebie... obłąkany pędziłem do celu... Zresztą... może potrafię to panu przecież wytłumaczyć... Czy pan wie, co to jest a m o k ?

– Amok?... zdaje się, że słyszałem... rodzaj zamroczenia alkoholowego u Malajów...

– Tysiąc razy więcej... Szał, rodzaj ludzkiej wścieklizny... Napad morderczej monomanii, która się nie da porównać z żadnym innym, zwłaszcza alkoholowym odurzeniem... Sam zbadałem kilka wypadków podczas mego pobytu w Indiach – dla innych jest się zawsze bardzo mądrym i bardzo rzeczowym – ale nie odkryłem strasznej tajemnicy źródła tej choroby... Być może pozostaje ona w związku z klimatem, z tą duszną, ściśniętą atmosferą, która ciąży na nerwach jak burza, aż w końcu się łamie... A więc amok... amok objawia się tak: Malaj, taki zwyczajny, dobroduszny Malaj pije swój trunek spokojnie jak zawsze... siedzi tępy, obojętny, zmęczony... podobnie jak ja siedziałem w moim pokoju... naraz zrywa się, porywa sztylet i pędzi... pędzi przed siebie, zawsze tylko przed siebie... nie wiedząc dokąd... Obala, co mu wejdzie w drogę, obojętnie czy człowiek, czy zwierzę, sztylet usuwa mu wszystko z drogi, a krwawe upojenie podwaja jeszcze gorączkę... Piana toczy się z ust, wyje jak oszalały... ale pędzi, pędzi, pędzi, nie patrzy w prawo, nie patrzy w lewo, pędzi tylko z wrzaskiem i z krwią ociekającym sztyletem w rękę przed siebie... Ludzie po wsiach wiedzą, że żadna siła nie jest w stanie wstrzymać opętanego szaleńca amoka – więc krzyczą, ostrzegając naprzód, gdy widzą pędzącego z daleka:

„Amok! Amok!”.

I wszystko ucieka... ale on pędzi, nie słysząc, pędzi, nie widząc, obala wszystko, co mu wejdzie w drogę... aż go zastrzelą jak wściekłego psa albo aż sam upadnie, tocząc pianę...

Raz widziałem takiego człowieka z okien mojego bungalowu... straszny to był widok... ale tylko dlatego, że sam to widziałem, rozumiem mój stan wtedy... bo zupełnie tak samo, z wytrzeszczonymi oczami, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo, pędziłem jak opętany za tą kobietą... Nie wiem, co się działo ze mną podczas tego szalonego biegu, w tak szalonym tempie odbywało się to wszystko... Dziesięć minut, nie, pięć, nie... dwie... upłynęło, kiedy się już wszystkiego dowiedziałem o tej kobiecie, o jej nazwisku, gdzie mieszka, a już pędziłem z powrotem do domu na wypożyczonym rowerze, cisnąłem ubranie do kufra, wyjąłem pieniądze ze schowka i pojechałem na dworzec... Wyjechałem, nie meldując się u miejscowego urzędnika, nie wyznaczając zastępcy, zostawiłem dom na opatrzności bożej ze wszystkim, co w nim było... Otoczyła mnie służba, kobiety dziwiły się i pytały, nie odpowiadałem, nie odwracałem się... Pojechałem na dworzec i następnym pociągiem na dół do miasta... Nie upłynęła godzina, odkąd ta kobieta przestąpiła próg mego pokoju, a już przekreśliłem całą swą egzystencję i goniłem opętany szalem amoka.

Pędziłem... wałęsając głowę o mur... o szóstej wieczór przyjechałem... o szóstej dziesięć byłem w jej domu i kazałem się zameldować... było to... nietrudno panu zrozumieć... najgłupsze, najidiotyczniejsze, co mogłem zrobić... ale opętany amokiem ma bielmo na oczach, nie widzi dokąd pędzi... Po kilku minutach wróci! służący, grzeczny i chłodny...

„Pani jest niezdrowa i nie przyjmuje...”.

Zatoczyłem się jak pijany i wyszedłem. Godzinę snułem się jeszcze koło domu opanowany obłąkaną nadzieją, że może wyjdzie... Dopiero potem wziąłem pokój w hotelu i dwie flaszki whisky na górę... Alkohol i podwójna doza weronalu sprawiły, że zasnąłem nareszcie... i tępy, mazisty sen był jedyną przerwą w tych wyścigach na śmierć i życie.

Zegar okrętowy wydzwonił dwa pełne, twarde uderzenia. Drżały one jeszcze przez chwilę w miękkim, prawie nieruchomym powietrzu i opadły w cichy nieustanny szum, uparcie od dołu towarzyszący namiętnemu ludzkiemu głosowi. Człowiek w ciemnościach naprzeciw mnie umilkł. Znowu słyszałem dzwonienie daszek, wokół których ręka manipulowała; znowu ciche gulgotanie. A potem rozpoczął pewniejszym głosem, jak gdyby uspokojony.

– Nie potrafię panu chyba opisać, co się potem stało. Z pewnością miałem gorączkę, w każdym razie byłem w stanie podniecenia, które graniczyło z obłądem – opętany amokiem, jak panu powiedziałem. Ale niech pan nie zapomina, że to była noc z wtorku na środę, kiedy tam przyjechałem, a w sobotę, jak się dowiedziałem, miał przyjechać jej mąż okrętem P&O z Jokohamy, pozostawały zatem tylko trzy dni, skąpe trzy dni na jej ocalenie. Niech pan to zrozumie: wiedziałem, że muszę ją ratować bez zwłoki, a nie mogłem zamienić z nią żadnego słowa na osobności czy choćby dać jakikolwiek znak. I właśnie ta chęć wytłumaczenia jej mego szalonego postępowania popychała mnie do coraz to głępszych wyskoków. Wiedziałem, jak drogocenna była każda chwila, wiedziałem, że chodziło tu o jej śmierć i życie, a nie miałem możliwości zbliżyć się do niej, bo właśnie ta gwałtowność, ta głupota mego pościgu przeraziła ją. Było to tak... zaraz... jak by to powiedzieć... jakby ktoś gonił człowieka, którego chce ostrzec przed morderstwem, a ścigany jego samego podejrzewa o to, więc tamten pędzi za nim na swoją zglębę... Ona widziała we mnie tylko człowieka opętanego amokiem, ścigającego ją, żeby ją upokorzyć, a mnie... tu tkwił potworny paradoks... ani to było w głowie... Byłem do cna przez nią pokonany, chciałem jej tylko pomóc, tylko jej służyć... Mógłbym nawet dopuścić się dla niej morderstwa, zbrodni... Ale ona nie rozumiała mnie. Kiedy rano zbudziłem się i zaraz pobiegłem do niej, w drzwiach domu stał boy, ten sam, którego uderzyłem w twarz, i gdy tylko ujrzał mnie z daleka – widocznie czekając na mnie – czmychnął w głąb domu. Może zrobił to tylko, żeby mnie dyskretnie zameldować... może... jakże dręczy mnie teraz ta niepewność... może było już wszystko przygotowane, żeby mnie przyjąć... ale kiedy go zobaczyłem i uprzytomniłem sobie wczorajszą obelgę, wtedy z kolei i ja nie miałem

odwagi powtórzyć jeszcze raz mojej wizyty. Kolana ugięły się pod mną, tuż przy progu zawróciłem i odszedłem... odszedłem, kiedy może ona mnie w podobnych mękach oczekiwała...

Nie wiedziałem teraz, co począć w obcym mieście, które paliło mi stopy jak ogień... Naraz wpadło mi coś do głowy: zwołałem na dorożkę i kazałem się zawieźć do wicerezydenta, tego samego, którego operowałem... Musiało go już coś zastanawiać w moim wyglądzie, bo patrzył na mnie przestraszony, a jego grzeczność miała w sobie coś niepokojącego... może już zdawał sobie sprawę z mojego opętania... amok... Powiedziałem mu, nagle zdecydowany, że proszę go o przeniesienie do miasta, nie mogę już dłużej wytrzymać na mojej posiadzie i że muszę przeprowadzić się natychmiast...

Popatrzył na mnie... nie mogę panu opisać, jak na mnie patrzył... tak jak lekarz na chorego...

„Rozstrój nerwowy, kochany doktorze – powiedział – rozumiem to aż nadto dobrze. To się da zrobić, ale musi pan poczekać, no, powiedzmy... cztery tygodnie... muszę najpierw znaleźć zastępcę”.

„Nie mogę czekać ani jednego dnia” – odpowiedziałem.

Znowu to samo badawcze spojrzenie.

„Musi pan poczekać – powiedział z powagą – bo nie można przecież zostawiać stacji bez lekarza. Ale obiecuję panu, że jeszcze dziś zarządę, co trzeba”.

Stałem, zagryzając wargi, po raz pierwszy miałem uczucie, że jestem raz na zawsze sprzedany, że jestem niewolnikiem. Bunt wzbierał już we mnie, ale układowy rezydent wyprzedził mnie.

„Pan odwykł od ludzi, doktorze, to staje się z czasem chorobą. Dziwiliśmy się wszyscy, że pan tu nigdy nie przyjeżdża, nigdy nie bierze udziału w żadnej naszej zabawie. Niech pan przyjdzie przynajmniej dziś wieczór. Mamy tu bankiet rządowy, znajdzie pan całą kolonię, a wiele osób życzyło sobie poznać pana, pytali niejednokrotnie i pragnęli pańskiego przyjazdu”.

Ostatnie słowa wyrwały mnie z apatii. Pytali o mnie? Czy to nie ona? Stałem się naraz inny, podziękowałem za zaproszenie i upewniłem, że będę punktualnie. I byłem też punktualny, aż nadto punktualny. Tak, pędzony niecierpliwością przybyłem pierwszy do pałacu rządowego. Otoczyli mnie milczący, żółci sługusi, którzy kołysząc się na bosych stopach krzatali się tam i z powrotem i – jak mi się zdawało w przyćmionej świadomości – wyśmiewali mnie, poza plecami. Przez kwadrans byłem jedynym Europejczykiem pośród tych bezgłośnych przygotowań i tak się czułem samotny, że słyszałem tykanie mego zegarka w kieszeni kamizelki. Potem nadeszło nareszcie kilku urzędników z rodzinami, w końcu także gubernator, który mnie zaszczylił dłuższą rozmową, bo mu, jak mi się zdawało, płynnie i zręcznie odpowiadałem, aż... aż nagle opanowała mnie dziwna nerwowość, utraciłem całą elokwencję i zacząłem się jąkać.

Choć byłem oparty plecami o drzwi sali, uczułem naraz, że ona weszła, że musi tu być niedaleko. Nie umiałbym panu powiedzieć, jak to się stało, ale już podczas rozmowy z gubernatorem, kiedy jeszcze dźwięk jego głosu wibrował mi w uszach, poczułem nagle wstrząśnięcie i pewność, że musi tli być. Na szczęście gubernator wkrótce zakończył rozmowę. Jestem zresztą pewien, że i tak odwróciłbym się obcesowo – tak silne było to tajemnicze wołanie moich nerwów, tak palące pragnienie. I rzeczywiście, zaledwie odwróciłem się, ujrzałem ją właśnie w miejscu, gdzie ustawiła ją moja podniecona wyobraźnia. Stała, rozmawiając, pośrodku jakiejś grupy w żółtej balowej sukni, która uwydatniała jej szczupłe ramiona ślicznie zarysowane, połyskujące matowo jak kość słoniowa. Uśmiechała się, ale mnie się zdawało, że rysy jej twarzy były napięte. Przystąpiłem bliżej – nie mogła czy nie chciała mnie zobaczyć – i patrzyłem na ten uśmiech grzeczny i ujmujący, który drżał wkoło jej wąskich warg. I uśmiech ten upoił mnie na nowo, bo... bo wiedziałem, że był kłamstwem, sztuką czy techniką, mistrzostwem udawania. Dzisiaj jest środa – przeleciało mi przez głowę – w sobotę przybywa jej mąż... Jak ona się może tak śmiać, tak... beztrąsko śmiać i bawić się niedbale wachlarzem, zamiast go zgnieść kurczowo ze strachu? Ja... ja, obcy... drżałem od dwóch dni, ja, obcy, żyłem jej obawą, jej przerażeniem, wszystkimi wybrykami uczucia... a ona szła na bal i uśmiechała się, uśmiechała, uśmiechała...

W głębi sali zaczęła grać muzyka. Rozpoczęły się tańce. Jakiś starszy oficer prosił ją do walca. Przeprosiwszy oddaliła się z grona rozmawiających, przeszła obok mnie do drugiej sali oparta na jego ramieniu. Kiedy mnie spostrzegła, rysy jej stężyły, ale tylko na sekundę, potem skinęła mi głową, poznała mnie uprzejmie jak przypadkowego znajomego, zanim się jeszcze zdecydowałem, czy ukłonić się jej, czy nie. Rzuciła tylko:

„Dobry wieczór, doktorze” – i przeszła.

Nikt nie mógł się domyślić, co się kryło w tym szarozielonym spojrzeniu. Ja sam, ja sam nawet nie wiedziałem. Dlaczego ukłoniła mi się? Dlaczego poznała mnie zaraz?... Czy był to znak odtrącenia, czy zbliżenia? Czy tylko zmieszanie z powodu nagłego, niespodziewanego spotkania? Brak mi wprost słów, żeby panu powiedzieć, jakie mną owładnęło rozdrażnienie, jak we mnie wszystko grało, jak groziło eksplozją. Niedbale wsparta na ramieniu oficera tańczyła z chłodnym wyrazem beztroski na czole, a przecież wiedziałem, że... że ona tak samo jak ja tylko o tym myśli... tylko o ty m... że tylko my dwoje posiadamy tę straszną wspólną tajemnicę... a mimo to walcowała... W tych sekundach mój strach, żądza i uwielbienie dochodziły do zenitu. Nie wiem, czy mnie kto obserwował, ale z pewnością zdradzałem się w dużo większym stopniu, niż ona się maskowała. Wręcz nie mogłem patrzeć gdzie indziej... musiałem... tak, musiałem patrzeć na nią, wsyłałem się z daleka oczyma w jej maskę i szarpałem ją, oczekując, że spadnie na sekundę. Musiała nieprzyjemnie odczuwać to moje ustawiczne wpatrywanie się, bo kiedy wracała, prowadzona przez dansera, popatrzyła na mnie przez mgnienie oka ostro, rozkazująco, jakby żądała, żebym poszedł. Na jej czole znowu pojawiła się dumna, gniewna zmarszczka, znana mi już z pierwszego spotkania.

Ale... ale... powiedziałem panu przecież... był to stan opętania... amok... Widziałem tylko cel przed sobą. Zrozumiałem w lot, co znaczy to spojrzenie: panuj nad sobą, nie urządzaj przedstawienia. Wiedziałem, że żądała ode mnie, jak by to powiedzieć, dyskrecji tu, w publicznym miejscu... Zrozumiałem, że jeśli teraz odejdę stąd spokojnie, mogę być pewien, że jutro będę przez nią przyjęty... że tylko teraz nie chciała być narażona na moją wpadającą w oko poufałość, chciała jej uniknąć... Wiedziałem, że bała się – Bóg świadkiem, jak słusznie! – jakiejś sceny wywołanej moją niezaradnością... Pan widzi, wiedziałem wszystko, rozumiałem, co znaczy to rozkazujące szare spojrzenie, ale... ale... to, co mnie gnało ku niej, było za silne... musiałem z nią mówić. Zbliżyłem się do grupy, z którą gawędziła, i pomimo że znałem tylko kilka osób, wsunąłem się w luźny krąg, żeby tylko posłyszeć jej głos, kuląc się jednocześnie jak obity pies przed jej spojrzeniem, kiedy ślizgało się po mnie obojętnie, jak gdyby chodziło o portierę, o którą się opierałem, albo powietrze, które się z lekka ruszało. Stałem wśród nich, bo byłem spragniony słowa, które powinna była powiedzieć, znaku, którego oczekiwałem, stałem, stałem jak posąg między rozmawiającymi. Bez wątpienia moje zachowanie musiało już zwrócić uwagę wszystkich, bo nikt się nie odzywał do mnie, a ona musiała cierpieć niesłuchane katusze z powodu mojej obecności.

Jak długo stałbym tak, nie wiem, może wieczność... i nie mogłem uwolnić się z tego zaklęcia. Właśnie upór mój paraliżował mnie... Ale ona nie mogła wytrzymać tego dłużej... nagle zwróciła się z właściwą jej wytworną swobodą do otaczających panów i powiedziała:

„Jestem trochę zmęczona... chciałabym wcześniej się położyć... Dobranoc...” – i już przeszła koło mnie z zimnym skinieniem głowy... Widziałem jeszcze pionową zmarszczkę na jej czole, a potem już tylko plecy, te białe, chłodne, nagie plecy. Sekundę trwało, zanim zrozumiałem, że odeszła... że nie będę jej więcej widział ani mówił z nią tego wieczoru, kiedy jeszcze możliwe było ocalenie... przez chwilę stałem osłupiały, póki nie zrozumiałem... i wtedy...

Ale w tym miejscu muszę przerwać... inaczej nie rozumiałby pan całej absurdalności ani głupoty tego, co zrobiłem... muszę panu dać jakby szkic topograficzny. Przyjęcie odbywało się w wielkiej sali pałacu rządowego rzęsiście oświetlonej, zresztą prawie pustej, olbrzymiej... Pary poszły tańczyć... panowie grali w karty... tylko po kątach gwarzyło parę osób... Sala była więc pusta, każdy ruch wpadał w oko i nie dał się ukryć w jaskrawym oświetleniu... Otóż przez tę wielką pustą salę szła powoli i lekko, z dumnie podniesionymi ramionami, kiedy niekiedy kłaniając się w sposób nie dający się opisać, z tym wspaniałym, królewskim spokojem, który mnie tak zachwycał. A ja... ja... pozostałem, powiedziałem już panu, byłem jak sparaliżowany, pókim nie zrozumiał, że odeszła... a kiedy to zrozumiałem, była już na drugim końcu i zbliżała się do drzwi. Wtedy... och! jeszcze w tej chwili wstydzę się, kiedy myślę o tym... wtedy napadło mnie i zacząłem biec – słyszy pan – biec! Nie szedłem już, tylko biegłem, biegłem, stukając butami aż echo niosło... biegłem w poprzek sali, ścigając ją... Słyszałem własne kroki, widziałem oczy wszystkich na mnie zwrócone... Palilem się ze wstydu... Biegając byłem świadom mego obłąkania, ale nie mogłem się zatrzymać...

Dogoniłem ją przy drzwiach... odwróciła się, jej oczy wpiły się we mnie jak szara stal, nozdrza drżały z gniewu... Chciałem coś wyjąkać... wtedy... wtedy... roześmiała się wesołym, jasnym, niefrasobliwym śmiechem i powiedziała głośno... tak głośno, żeby ją wszyscy słyszeli...

„Ach, doktorze, dopiero teraz przypomniał pan sobie o recepcie dla mego syna... Ach, ci uczeni...”.

Jakaś para stojąca w pobliżu roześmiała się także dobrodusznie... Zrozumiałem... zatoczyłem się, podziwiając mistrzostwo, z jakim uratowała sytuację... Chwyciłem za portfel, wyrwałem pustą kartkę papieru, którą niedbale wzięła, dziękując z zimnym uśmiechem... W pierwszej chwili ulżyło mi... Widziałem, że moje fatalne zachowanie naprawiło jej mistrzostwo, że sytuacja jest uratowana... ale wiedziałem jednocześnie, że dla mnie wszystko stracone, że ta kobieta znienawidziła mnie za moje niepoczytalne wariactwo... że mogę teraz po sto razy przychodzić pod jej drzwi i że mnie za każdym razem wyrzuci jak psa.

Wracalem chwiejnym krokiem... ludzie zerkali na mnie... musialem wygladac straszliwie... Podszedlem do bufetu, wychylolem dwa, trzy, cztery kieliszki koniaku, jeden za drugim... To mnie uratowalo... Moje stargane nerwy nie mogly juz wiecej wytrzymac... Potem wymknamem sie bocznymi drzwiami tajemnie jak zloczynca... Za zadne skarby swiata nie bylbym przeszedl jeszcze raz przez sale, gdzie jej glowny smiech trzymal sie jeszcze scian... Poszedlem... nie umiem juz teraz dokladnie powiedziec, gdzie bylem... w kazdym razie w paru knajpach... i pilam jak ktos, kto chce zapic w sobie kazda nitke swiadomosci... ale moje zmysly pozostaly czujne... jej zly przenikliwy smiech tkwil jeszcze we mnie... tego smiechu, tego przekletego smiechu... nie potrafilem niczym zagluszyc... Walesalem sie pozniej jeszcze po porcie... rewolwer zostawilem w domu, inaczej bym sie zastrzelil. Nie myslalem o niczym innym. Gdy wracalem do domu, przesladowala mnie tylko jedna mysl... o szufladzie, w ktorej lezal rewolwer... tylko o tym...

Przysięgam panu, że to nie było tchórzostwo z mej strony, że się wtedy nie zastrzeliłem... To byłoby dla mnie wybawieniem... ale jak mam to panu wytłumaczyć... czułem w sobie jeszcze obowiązek... tak, ten obowiązek niesienia pomocy, ów przeklęty obowiązek... myśl, że mogła mnie jeszcze potrzebować, że mnie może teraz potrzebowała, przyprawiała o obłąkanie... Był to już czwartek... a w sobotę... wspomniałem już panu... w sobotę przybijał okręt. Wiedziałem, że ta kobieta, ta dumna, wyniosła kobieta nie przeżyje wstydu przed mężem... przed światem... Ach, jakie katusze przechodziłem na myśl o bezpowrotnie straconych drogich minutach, o mojej obłąkanej porywczosci, która unicestwiła ocalenie w porę... Godzinami, godzinami, przysięgam panu, chodziłem po pokoju tam i z powrotem, wyteżając mózg, jak mogę się do niej zbliżyć, jak mogę wszystko naprawić, jak ją ratować... bo o tym byłem przekonany, że mnie więcej nie przyjmie w swym domu... Miałem jeszcze w nerwach jej śmiech i drgające od gniewu nozdrza... Godzinami, rzeczywiście godzinami chodziłem tam i z powrotem po wąskim, trzymetrowym pokoju... zrobił się dzień... zrobiło się południe...

I naraz rzuciłem się do stołu... Wydarłem arkusz papieru listowego i zacząłem pisać do niej... list pokorny, skomlący jak pies. Prosiłem w nim o przebaczenie, nazywałem się obłąkanym, złoczyńcą, błagałem, żeby mi zawierzyła... Przysięgałem, że jeżeli zechce, zniknę zaraz potem z miasta, z kolonii, ze świata... żeby mi tylko uwierzyła i przebaczyła, żeby się dała ratować w ostatniej, najostatniejszej chwili. Przez dwadzieścia stron gorączkowałem... musiałem go pisać w mąglinie, bo kiedy wstałem od stołu, byłem oblany potem... cały pokój kręcił mi się w oczach... musiałem się napić wody. Dopiero potem próbowałem przeczytać ten list jeszcze raz, ale po pierwszych słowach porwał mnie wstręt... drżąc, złożyłem go, wziąłem już nawet kopertę... Nagle rozjaśniło mi się w głowie... w jednej chwili pojąłem, jak powinienem teraz list ułożyć. Chwyciłem jeszcze raz za pióro i napisałem na ostatniej stronie: „Czekam tu w hotelu na słowo przebaczenia. Jeżeli nie będę miał do siódmej odpowiedzi – zastrzelę się”.

Potem wziąłem list, zadzwoniłem na boya i kazałem mu zaraz odnieść. Wreszcie zostało powiedziane... wszystko!

Coś zadźwięczało i potoczyło się koło nas... Gwałtownym ruchem przewrócił flaszkę, słyszałem, jak jego ręka gorączkowo macała podłogę, i widziałem, szerokim łukiem wyrzucił pustą flaszkę do morza. Głos ucichł na kilka minut, potem gorączkowo zaczął mówić dalej, jeszcze bardziej podniecony niż przedtem:

– Nie jestem wierzącym chrześcijaninem... Dla mnie nie ma już nieba ani piekła... a jeśli jest, to się go nie boję, bo nie może być nic straszniejszego od godzin, które wtedy przeżyłem od południa do wieczora... Niech pan sobie tylko wyobrazi mały pokój, gorący w słońcu, coraz gorętszy w skwarze południa... mały pokoik, tylko stół, krzesło i łóżko... A na stole tylko zegarek i rewolwer, a przed stołem człowiek... człowiek, który nie robi nic innego, tylko ciągle patrzy na sekundnik zegarka... człowiek, który ani nie je, ani nie pije, ani nie pali, ani się nie rusza... który ustawicznie, słyszy pan, bez przerwy przez trzy godziny patrzy na białą okrągłą tarczę zegarka i na małą wskazówkę, która tykając obiega swoje kółko. Tak... tak... Tak w tym dniu tylko czekałem... czekałem... czekałem..., ale jak czekałem... tak właśnie, z tym zwierzęcym obłąkanym uporem, wytrwałością, bez rozumu, bez sensu, jak opętany szaleńcem amoka.

Nie będę panu opisywał tych godzin... to się nie da opisać... Sam teraz nie rozumiem, jak mogłem to przeżyć i... nie dostać obłądzenia... A więc... o trzeciej minut dwadzieścia i dwie... wiem dokładnie, bo nie odrywałem oczu od zegarka... ktoś puka do drzwi... Zrywam się... zrywam się i rzucam jak tygrys na swoją ofiarę jednym skokiem przez cały pokój, szarpnięciem drzwi... mały Chińczyk stoi na korytarzu ze złożoną kartką w rękach. Łapię ją chciwie, Chińczyk zmyka tymczasem.

Rozrywam kartkę, chcę czytać i nie mogę... robi mi się czerwono przed oczyma... Niech pan sobie tylko wyobrazi moją mękę... nareszcie słowo od niej... litery tańczą mi przed oczyma... Zlewam głowę wodą... rozjaśnia mi się... jeszcze raz biorę kartkę i czytam: „Za późno! Ale niech pan poczeka w domu, może jeszcze pana przywołam”.

List był bez podpisu, napisany na zmiętym kawałku papieru, oddartego z jakiegoś starego prospektu. Kilka szybkich energicznych pociągnięć ołówkiem... Nie wiem, dlaczego mnie ta kartka tak wzruszyła...

Była w niej jakaś tajemnica, jakaś groza... jakby pisał ktoś w panice, na poczekaniu, we framudze okna albo w dorozce... Coś nieopisanego szło z tej tajemniczej kartki i mroziło duszę... jakiś niepokój, gorączkowy pośpiech, przerażenie... a jednak... jednak byłem szczęśliwy: napisała, nie muszę umierać, wolno mi ją ratować... może... może... ale gubiłem się w niedorzecznych przypuszczeniach... Sto, tysiąc razy czytałem małą karteczkę, całowałem ją... studiowałem, szukałem jakiegoś niedostrzeżonego, zapomnianego słowa... Moje marzenia stawały się coraz bałamutniejsze, opętał mnie fantastyczny sen na jawie... rodzaj paraliżu... coś zupełnie tępego a jednak niepokojącego... trwało to może kwadrans, a może godziny...

Naraz przeraziłem się... Czy nie pukano do drzwi? Wstrzymałem oddech... Minęły dwie minuty nieruchomej ciszy... A potem znowu ciche jakby skrobanie myszy, ciche, ale gwałtowne pukanie... Skoczyłem, jeszcze zataczając się, otworzyłem drzwi – na korytarzu stał boy, jej boy, ten sam, którego wtedy uderzyłem pięścią w twarz... Jego brunatna twarz była trupio blada, zmieszane spojrzenie zwiastowało nieszczęście. W tej chwili uczułem zgrozę...

„Co... co się stało?” – zdołałem wyjąkać.

„*Come quickly*”⁶ – powiedział.

Tylko tyle... Natychmiast zbiegłem ze schodów, on za mną... *Sado*, taki mały wózek, czekał przed bramą, wsiedliśmy...

6 *Come quickly* (ang.) – Niech pan idzie zaraz

„Co się stało?” – pytałem go...

Patrząc na mnie drżał i milczał z zagryzionymi wargami... zapytałem jeszcze raz, milczał i milczał... Byłbym go najchętniej znowu uderzył pięścią w twarz, ale... właśnie jego psia wierność dla niej wzruszyła mnie... przestałem pytać... Wózek tak szybko mijał tę płataninę krętych uliczek, że ludzie z przekleństwem pierzchali na wszystkie strony; przeleciał tak z europejskiej części nad wybrzeżem do miasta położonego niżej i dalej, dalej aż do krzykliwej i tłumnej chińskiej dzielnicy. Nareszcie znaleźliśmy się w jakiejś wąskiej uliczce, leżącej na uboczu... Wózek stanął przed niskim domkiem... Dom był brudny i jakby skurczony, z frontu mały sklepik oświetlony łójówką... jedna z tych bud, gdzie ukrywają się lokale palaczy opium albo burdele, gniazda złodziei albo piwnice paserów... Boy gwałtownie zapukał... W szparze zaledwie odemkniętych drzwi zasyczał jakiś głos, pytał i pytał... Nie mogłem wytrzymać, zeskoczyłem z siedzenia, pchnąłem przymknięte drzwi... stara Chinka uciekła z krzykiem... za mną szedł boy i poprowadził mnie przez sień... chwycił za klamkę od innych drzwi... innych drzwi do ciemnej komórki, gdzie czuć było niemiłą woń alkoholu i zastygłej krwi... Usłyszałem jęk... Szedłem po omacku...

Znowu głos ucichł. A kiedy potem wybuchnął, był już raczej szlochem niż mową.

– Szedłem... szedłem po omacku... i tam... na brudnej macie... skurczone z bólu leżało ludzkie ciało... wydawało jęki... To była... ona...

Nie mogłem dojrzeć w ciemności twarzy. Moje oczy nie były jeszcze przyzwyczajone... domacałem się tylko ręki... gorącej, gorącej jak ogień... Gorączka, wysoka gorączka... Dreszcz mnie przeszedł... W pierwszej chwili zrozumiałem wszystko... uciekła tam przede mną... Pozwoliła się krajać jakiejś brudnej Chince tylko dlatego, że wierzyła, iż tu zachowają lepiej jej tajemnicę... Pozwoliła się zamordować jakiejś diabelskiej czarownicy, wołała to niż mi zaufać... tylko dlatego, że obłąkany nie uszanowałem jej dumy, że nie chciałem jej zaraz ratować... Mniej obawiała się śmierci niż mnie!

Krzyknąłem: „Światła!”. Boy skoczył, obrzydliwa Chinka przyniosła drżącymi rękami kopcającą naftową lampę... Musiałem panować nad sobą, żeby tej żółtej kanalii nie chwycić za gardło... Postawili lampę na stole... Światło padało żółte i jasne na udęczone ciało... I naraz wszystko ze mnie opadło, cała ta nieczysta posoka nagromadzonej namiętności... Byłem już tylko ratującym lekarzem, czujnym człowiekiem wiedzy... Zapomniałem o sobie... To nagie ciało, którego pożądałem w marzeniach, czułem już tylko jako... jako materię, jako organizm... Nie myślałem o niej, tylko o życiu, które się broniło przeciwko śmierci, o człowieku, który się kurczył w męczarniach... Jej krew, gorąca, święta krew zalewała mi ręce... ale nie czułem tego ani jako rozkoszy, ani jako zgrozy... byłem tylko lekarzem... widziałem tylko cierpienie... i wiedziałem... i wiedziałem od razu, że wszystko jest stracone, jeżeli nie stanie się cud... Prawie wszystka krew z niej uszła pod zbrodniczą niezdarną ręką, a ja nie miałem nic w tej cuchnącej jaskini, żeby tę krew zatamować, nawet czystej wody... Wszystko, czego się dotknąłem, lepiło się od brudu.

„Musimy ją zaraz przenieść do szpitala” – powiedziałem.

Ale zaledwie wymówiłem te słowa, udręczone ciało podniosło się kurczowo.

„Nie, nie... wolę umrzeć... nikt nie może się dowiedzieć... nikt... do domu... do domu...”.

Zrozumiałem... chodziło teraz już tylko o honor, nic o życie... I usłuchałem jej. Boy przyniósł nosze... ułożyliśmy ją... i tak bladą jak trup, wycieńczoną i gorączkującą... nieśliśmy nocą... do domu..., odsuwając pytającą i przerażoną służbę... Jak złodzieje przenieśliśmy ją do jej pokoju i zamknęliśmy za sobą drzwi... A potem zaczęła się walka, długa walka ze śmiercią...

Nagle jego ręka wpiła się w moje ramię, tak że prawie krzyknąłem z bólu i ze strachu. W mroku twarz, która zbliżyła się do mnie, miała wygląd wręcz karykaturalny; zobaczyłem wytrzeszczone białe zęby, zobaczyłem okulary, które jarzyły się w blasku księżyca jak dwoje olbrzymich kocich oczu. I teraz nie mówił już, ale krzyczał, wrzeszczał ze złości:

– Czy pan wie, pan, obcy człowiek, który tu siedzi na pokładzie, który jeździ po świecie dla przyjemności, czy pan wie, jak to jest, kiedy człowiek umiera? Czy oglądał pan kiedy człowieka umierającego, czy widział pan, jak ciało się kurczy, jak sine palce chwytają powietrze, jak gardło charczy, jak każdy członek broni się, każdy palec opiera się tej Zgrozie i jak oko błyska w przerażeniu, na które nie ma słów? Czy przeżył pan kiedy coś podobnego, pan, który podróżuje dla przyjemności, pan, który jeździ po świecie, pan, który mówi o niesieniu pomocy, o obowiązku? Jako lekarz widziałem śmierć nieraz, i jako kliniczny przypadek, i jako fakt... Studiowałem ją w pewnym sensie, ale przeżyłem ją tylko raz. Współżyłem i współumarłem tylko wtedy, tej nocy... tej strasznej nocy, kiedy głowiłem się, jak zatamować krew, która płynęła i płynęła bez końca... Kiedy koniecznie chciałem coś znaleźć, coś wymyślić przeciw tej gorączce, która ją spalała w moich oczach... przeciw śmierci, która się coraz bardziej przybliżała i której nie mogłem odepchnąć od łóżka. Czy pan rozumie, co to znaczy być lekarzem, znać wszystkie lekarstwa na wszystkie choroby, czuć obowiązek niesienia pomocy, jak pan to ładnie wyraził, a mimo to siedzieć bezsilnie przy umierającej, wiedzieć, a nie móc pomóc... wiedzieć tylko, że nie można pomóc, choćby sobie człowiek żyły otworzył... widzieć ukochane ciało, które ginie męczone cierpieniem, czuć puls, który pędzi, a jednocześnie ustaje... który człowiekowi rozplywa się pod palcami... być lekarzem i nic nie wiedzieć, nic, nic, nic... Tylko siedzieć i mrużyć jakąś modlitwę jak stara żebraczka w kościele i znowu potem zaciskać pięści przeciwko nędznemu Bogu, o którym się wie, że nie istnieje... Rozumie pan to? Rozumie pan to?... Ja... ja tylko jednej rzeczy nie rozumiem, jak się to dzieje, że się też nie umiera w takich chwilach, że człowiek na drugi dzień jeszcze wstaje z

łóżka, myje zęby i zawiązuje krawat... że można jeszcze żyć potem, jeżeli się to przeżyło. Wiedziałem, że ten oddech, że ten człowiek, o którego walczyłem ze śmiercią, którego chciałem zatrzymać wszystkimi siłami mej duszy, że ten człowiek usuwał mi się spod rąk... coraz prędzej, minuta za minutą, a ja nie znajdowałem w rozgorączkowanym mózgu nic, co by go mogło zatrzymać...

A na domiar, aby zdwoić szatańsko moje katusze, na domiar jeszcze i to... Kiedy siedziałem u jej wezgłowia – wstrzyknąłem jej morfinę, żeby złagodzić bóle, leżała z rozpalonymi policzkami, trupio blada... kiedy tak siedziałem, czułem z tyłu przez cały czas parę oczu wpatrzonych we mnie z okropnym wyrazem oczekiwania... To boy skurczony siedział na podłodze, mrużąc modlitwy... Gdy nasze oczy spotkały się czasem – nie, nie mogę opisać tego spojrzenia – tyle w nim było błagania... tyle wdzięczności, a jednocześnie podnosił ręce ku mnie, jakby zaklinał, żeby ją ratować... Do mnie podnosił ręce jak do Boga... do mnie, bezsilnego niedołęgi, który wiedział, że wszystko stracone... że jestem tu tak samo niepotrzebny jak mrówka, która pełza po ziemi... Ach, jak mnie to psie spojrzenie męczyło, ta fantastyczna, zwierzęca wiara w moją sztukę!... Chciałem na niego krzyknąć, zdeptać go... a jednak czułem, że my dwaj należeliśmy do siebie przez naszą miłość do niej... przez jej tajemnicę... Jak czyhające zwierzę siedział tuż za mną... zanim jeszcze czegoś zażądałem, zrywał się, kołyszając się na swych nagich, cichych stopach i podawał mi drżąc, wyczekując, jakby to była właśnie ta oczekiwana pomoc i ratunek... Wiem, że byłby dał sobie żyły porozcinać, żeby ją uratować... Taka była ta kobieta, taką władzę miała nad ludźmi... a ja... ja nie miałem władzy, żeby choć jedną kroplę krwi jej uratować... Ach, ta noc, ta straszna noc walki między życiem a śmiercią!

Przed świtem przebudziła się jeszcze raz... otworzyła oczy... teraz nie były już zimne i dumne... gorączka tała się w nich wilgotnym blaskiem... jak obca obmacywała wzrokiem ściany pokoju... Wtem spojrzała na mnie, zdawała się namyślać, chciała sobie przypomnieć moją twarz... i naraz... widziałem to... przypomniała sobie... bo jakiś strach, chęć obrony... coś nieprzyjemnego napięło rysy... poruszała rękami, tak jakby chciała uciec gdzieś... z dała, z dała ode mnie... Widziałem, że myśli o tym... o tej chwili u mnie... Ale potem przyszło zastanowienie... popatrzyła na mnie spokojniej, oddychała ciężko... czułem, że chce mówić, powiedzieć coś... Znowu ręce zaczęły się prężyć... chciała się podnieść, ale była za słaba... wtedy spojrzała na mnie z udręką... jej usta poruszyły się cicho... był to już ostatni gasnący dźwięk...

„Czy nikt się nie dowie?... Nikt?...”

„Nikt... – rzekłem z całą siłą przekonania – obiecuję pani...”

Ale jej oczy były jeszcze niespokojne... Spieczonymi wargami ledwie dosłyszalnie szeptała:

„Niech mi pan przysięgnie... przysięgnie... Nikt się nie dowie...”

Podniosłem palec jak do przysięgi. Popatrzyła na mnie... przedziwnym spojrzeniem, miękkim, ciepłym, wdzięcznym... tak, doprawdy wdzięcznym... Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale było jej już za trudno. Długo, długo leżała zupełnie wycieńczona z natężenia, z zamkniętymi oczyma. A potem zaczęło się to... najstraszniejsze... najstraszniejsze... przez całą długą godzinę walczyła jeszcze i dopiero nad ranem skończyła.

Umilkł. Zauważyłem to dopiero, kiedy zegar okrętowy wydzwonił w ciszy jedno, dwa, trzy twarde uderzenia – była trzecia. Światło księżycza zbladło, ale jakaś inna żółta jasność drżała już niepewnie w powietrzu. Czasem lekko powiał wietrzyk. Jeszcze pół godziny, jeszcze godzina, a szarość roztopi się w jasnym świetle dnia. Widziałem teraz dokładniej jego rysy, bo cienie nie padały już tak gęsto w nasz kąt – zdjął czapkę, pod tą łysą czaszką wykrzywiona cierpieniem twarz wydawała się jeszcze straszniejsza. Ale błyszczące okulary zwróciły się już ku mnie, wyprostował się, a głos nabrał ironicznego, ostrego zabarwienia.

– Ona skończyła, ja nie. Pozostałem sam z trupem, ale sam w obcym domu, sam w mieście, które nie cierpi tajemnicy, i... miałem nad tą tajemnicą czuć... Niech pan sobie wyobrazi: kobieta z *highlife'u* w kolonii, zupełnie zdrowa, która tańczyła jeszcze dzień przedtem na balu, teraz leży naraz w łóżku martwa... przy niej obcy lekarz, rzekomo wezwany przez służącego... nocą przyniesiono ją w lektyce i zamknięto drzwi... a rano jest nieżywa... za chwilę wezwie się służbę i cały dom będzie huczał... w lot dowiedzą się sąsiedzi, całe miasto...

I jest tylko jeden człowiek, który to wszystko ma wyjaśnić... ja, obcy, lekarz z odległej stacji... Rozkoszna sytuacja, prawda?

Wiedziałem, co mnie czeka. Na szczęście był boy, który zgadywał wszystkie moje życzenia – nawet to żółte, tępe stworzenie rozumiało, że mamy jeszcze dużo do zrobienia.

Powiedziałem mu tylko:

„Pani chce, żeby nikt się nie dowiedział, co się stało”.

Popatrzył na mnie swym psim, na wszystko zdecydowanym wzrokiem.

„Yes, sir” – rzekł, i więcej nic.

Ale zmył ślady krwi z podłogi, poustawiał wszystko w największym porządku – ta jego energia wróciła mi opanowanie.

Nigdy w życiu nie miałem w sobie tyle skoncentrowanej energii jak wtedy – i nigdy mieć już nie będę. Kiedy się wszystko traci, walczy się o to, co się da jeszcze uratować, a tym właśnie był jej testament, tajemnica. Przyjmowałem ludzi z pełnym spokojem, opowiadałem każdemu tę samą wymyśloną historię, jak boya posłała po doktora, jak spotkał mnie po drodze przypadkiem... Ale wciąż czekałem... czekałem ciągle na to, co najważniejsze... na urzędowego lekarza, który w końcu musiał przyjść dla skonstatowania zgonu, dopiero wtedy będzie można zamknąć trumnę z jej ciałem i z jej tajemnicą... Był już, niech pan nie zapomina, czwartek, a w sobotę przybywał mąż...

O dziesiątej zameldowano mi, że przyszedł lekarz urzędowy; kazałem prosić. Był ode mnie rangą starszy, a jednocześnie moim konkurentem. Musiał to być ten sam lekarz, o którym ona sama wyrażała się tak pogardliwie, i widocznie wiedział o moim zamiarze przeniesienia się, bo od pierwszej chwili czułem, że rozmawiam z wrogiem. Ale to właśnie dodało mi siły.

Już w przedpokoju pytał:

„Kiedy pani (wymienił jej nazwisko) umarła?”.

„O szóstej rano”.

„Kiedy przysłała po pana?”.

„O jedenastej wieczór”.

„Czy pan wiedział, że jestem jej lekarzem?”.

„Tak, ale pośpiech był konieczny... zresztą najwyraźniej żądała mnie. Zabroniła wzywać innego lekarza”.

Patrzył na mnie badawczo; jego blada, trochę otłuszczona twarz zaczerwieniła się, czułem, że jest rozgoryczony. Ale tego właśnie mi było potrzeba – całe moje jestestwo domagało się szybkiej decyzji – pragnąłem szybkiego zakończenia sprawy, bo wiedziałem, że moje nerwy długo nie wytrzymają.

Chciał odpowiedzieć coś nieprzyjemnego, ale tylko powiedział niedbale:

„Jeżeli pan sądził, że się beze mnie obejdzie, to muszę pana wyprowadzić z błędu. Moim obowiązkiem jest stwierdzić zgon... i przyczynę...”.

Nie odpowiedziałem, przepuściłem go przodem. Potem cofnąłem się, zamknąłem drzwi i położyłem klucze na stół. Zdumiony zmarszczył czoło.

„Co to ma znaczyć?”.

Stałem spokojnie naprzeciwko niego.

„Tu nie chodzi o to, aby stwierdzić przyczynę zgonu, lecz o to, aby znaleźć rozsądny powód. Zostałem zawezwany po nieudanej operacji... nie mogłem jej uratować. Ale obiecałem ratować jej honor, i uczynię to. A pana proszę o pomoc...”.

Wytrzeszczył oczy.

„Pan nie może wymagać ode mnie – wyjąkał – żebym jako lekarz urzędowy ukrywał czyjąś zbrodnię”.

„Tak jest, wymagam tego, wymagam...”.

„Czyżby dlatego, że pan się jej dopuścił?”.

„Powiedziałem już, że nie tknąłem tej kobiety, bo wtedy... wtedy nie stałbym tu przed panem. Wtedy skończyłbym dawno ze sobą. Ona odpokutowała za swój występki, jeżeli pan chce to tak nazywać, odpokutowała i świat nie powinien się o tym dowiedzieć. A ja nie pozwolę, żeby honor jej teraz brukano niepotrzebnie”.

Mój energiczny ton drażnił go jeszcze bardziej.

„Nie pozwoli pan... hm... jest pan moim zwierzchnikiem... albo przynajmniej zdaje się panu, że nim jest... No, niech pan spróbuje rozkazać... od razu pomyślałem, że musi się kryć coś nieczystego za tym wyciąganiem pana z tego zapadłego kąta. Śliczną praktykę pan tu zaczyna, próbka niczego sobie!... Ale od czego ja tu jestem... przede mną nic się nie ukryje... protokół, pod którym figuruje moje nazwisko, będzie tylko prawdziwy. Nie podpisuję kłamstw!”.

Zachowałem zupełny spokój.

„A jednak pan to robi, inaczej nie wyjdzie pan z tego pokoju”.

Sięgnąłem ręką do kieszeni. Rewolweru nie miałem przy sobie. Ale doktor drgnął. Zrobiłem krok w jego stronę i popatrzyłem mu badawczo w oczy.

„Niech pan posłucha... żeby nie doszło do ostateczności. Mnie absolutnie nie zależy na życiu... również na życiu innego człowieka... do tego już doszedłem... zależy mi tylko na tym, żeby dotrzymać obietnicy, żeby nikt nie dowiedział się o przyczynie tego zgonu... Niech pan mnie posłucha. Daję słowo honoru, jeżeli pan podpisze ten dokument, że ta kobieta umarła... nagłą śmiercią... ja jeszcze w tym tygodniu wyjadę w ogóle z Indii!... Jeżeli pan zażąda, zastrzelę się, kiedy trumna będzie już w ziemi i kiedy będę miał pewność, że nikt... rozumie pan... nikt... nie może niczego dochodzić. To chyba panu wystarczy... to musi panu wystarczyć”.

Musiałoby być coś groźnego, coś niesamowitego w moim głosie, bo kiedy mimo woli przystąpiłem jeszcze bliżej, cofnął się z takim przerażeniem jak ludzie uciekający przed amokiem, który pędzi, wywijając sztyletem... I jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zachwiała się jego pewność siebie. Wymamrotał, próbując tylko resztek oporu:

„Byłby to pierwszy wypadek w moim życiu... w każdym razie chyba znajdzie się jakieś wyjście... Różnie bywa na świecie... Ale przecież nie mogłem tak bez niczego...”

„Naturalnie, pan nie mógł – powiedziałem, żeby mu tylko pomóc (tylko prędko, tylko prędko – tykało mi w uszach) – ale teraz, kiedy pan widzi jak na dłoni, jak sprawy stoją, teraz nie będzie się pan już wahał, prawda?”

Kiwnął głową. Podeszliśmy do stołu. Po kilku minutach protokół był gotów (ogłoszono go potem w gazetach) i zawierał wiarygodną przyczynę zgonu: aneurizm serca.

Potem wstał i spojrzał na mnie.

„Wyjedzie pan jeszcze w tym tygodniu, prawda?”

„Słowo honoru”.

Znowu spojrzał na mnie. Widać było, że nie udaje mu się ułożyć twarzy tak, aby rysy tchnęły powagą i surowością.

„Postaram się zaraz o trumnę – powiedział, żeby pokryć zmieszanie. Ale – czemu... czemu odczułem wtedy tak straszliwy ucisk w sercu – nagle wyciągnął rękę i uściśnął ją z wylaną serdecznością. – Niech pan się z tym upora...” – powiedział.

Nie wiedziałem, o czym myśli. Czy byłem może chory? A może... obłąkany? Odprowadziłem go, otworzyłem drzwi, ale już ostatkami sił zamknąłem je za nim. Potem wróciło to tykanie w skroniach, wszystko kręciło się i tańczyło wokoło... i nagle przed jej łóżkiem osunąłem się na ziemię, tak... tak, jak człowiek opętany amokiem pada w końcu z pękniętymi nerwami.

Znowu zamilkł. Zrobiło mi się zimno – może był to chłód porannego wiatru, który teraz z cichym szumem wiał nad okrętem? Ale wykrzywiona bólem twarz, rozjaśniona w tej chwili brzaskiem rodzącego się dnia, naprężyła się znowu.

– Jak długo leżałem tak na macie... nie wiem. Ktoś dotknął mnie. Zerwałem się. Był to boy, który nieśmiało, z prawie nabożnym gestem stał przede mną i patrzył mi niespokojnie w oczy.

„Ktoś chce wejść... chce ją zobaczyć...”.

„Nikommu nie wolno tu wejść”.

„Tak... ale...”.

Był widocznie przestraszony. Chciał coś powiedzieć i brakło mu odwagi. Wierne zwierzę wiło się.

„Kto to jest?”.

Popatrzył na mnie z drżeniem, jakby się bał, że go uderzę. A potem powiedział – skąd w takim nędznym stworzeniu bierze się naraz tyle inteligencji, skąd to pochodzi, że czasem w takich tępych istotach objawia się taka subtelność? – potem powiedział..., nie wymieniając żadnego nazwiska... bardzo, bardzo bojaźliwie:

„To on”.

Zerwałem się, zrozumiałem i natychmiast chciałem zobaczyć tego nieznanego. Bo widzi pan, jakie to dziwne... wśród tych wszystkich mąk, w tej gorączce pragnienia, lęku i niecierpliwości zapomniałem o nim, zapomniałem, że w grę wchodzi jeszcze jeden człowiek... człowiek, którego ona kochała, któremu namiętnie ofiarowała to, czego mnie odmówiła... Przed dwudziestu, przed dwudziestu czterema godzinami byłbym go jeszcze nienawidził, byłbym go w stanie rozszarpać... Teraz... nie... nie mogę panu opisać, jak pragnąłem go ujrzeć, jak pragnąłem go pokochać za to, że ona go kochała...

Momentalnie byłem przy drzwiach. Stał tam młody, bardzo młody oficer z jasnymi włosami, bardzo szczupły, bardzo blady... Wyglądał jak dziecko... tak wzruszająco młody... Rozrzewniało mnie prawie, gdy widziałem, jak starał się być mężczyzną, pokazać, że umie panować nad sobą... i ukryć wzburzenie... Widziałem, jak ręka mu drżała, gdy podnosił ją do czapki... Najchętniej byłbym go objął... bo był zupełnie taki... jakim, wyobrażałem sobie, powinien być człowiek, który tę kobietę posiadał... Nie był to dumny uwodziciel... nie, dziecko prawie, czysta anielska dusza, której się oddała.

Do najwyższego stopnia zmieszany stał przede mną. Moje dzikie spojrzenie i mój gwałtowny gest powiększały jeszcze jego onieśmienie. Mały wąsik nad wargą drżał zdradziecko... Ten młody oficer, to dziecko musiało dokonywać nieludzkich wysiłków, żeby nie wybuchnąć płaczem.

„Niech pan wybaczy – powiedział w końcu – czy mógłbym jeszcze zobaczyć... raz jeszcze... panią...”.

Bezwiednie objąłem go – obcego człowieka! – i poprowadziłem tak, jak się prowadzi chorego. Popatrzył na mnie z wdzięcznością, nieskończenie wdzięcznie... Już w tej pierwszej sekundzie nasze dusze porozumiały się ze sobą... Poszliśmy do umarłej... Leżała w białej bieliźnie. Czulem, że moja obecność krępuje go... cofnąłem się, żeby go zostawić samego. Szedł drżącym, bojaźliwym krokiem, ramiona mu konwulsyjnie drgały, szedł jak człowiek idący na spotkanie jakiejś wielkiej nawałnicy... i naraz runął przed łóżkiem na kolana... jak ja przedtem...

Znalazłem się natychmiast przy nim, podniosłem go i poprowadziłem do krzesła. Znikło onieśmienie, tylko szlochał głośno. Nie umiałem nic powiedzieć, jedynie gładziłem go po jasnych, miękkich jak u dziecka włosach. Wziął mnie za rękę... delikatnie, a jednak trwożliwie... i naraz spostrzegłem jego wzrok wlepiony we mnie...

„Niech mi pan powie prawdę, doktorze – wyjąkał – czy sama odebrała sobie życie?”

„Nie” – odpowiedziałem.

„A czy... ktoś jest winien jej śmierci?”

„Nie – powiedziałem znowu, chociaż dławiło mnie w gardle, żeby wrzasnąć; ja! ja! ja!... i ty! My obaj! I jej upór, jej nieszczęsny upór! Ale zapanowałem nad sobą. Powtórzyłem jeszcze raz: – Nie... nikt nie jest winien... Przeznaczenie!”

„Nie mogę w to uwierzyć – jęczał – nie mogę uwierzyć. Jeszcze przedwczoraj była na balu, uśmiechała się, dawała mi znaki... Czy to możliwe? Jak się to mogło stać?”

Zacząłem kłamać. Jemu także nie zdradziłem jej tajemnicy. Jak dwaj bracia rozmawialiśmy przez te wszystkie dni, opromienieni niejako uczuciem, które nas łączyło... i którego nie wyznaliśmy sobie wzajemnie, choć czuliśmy, że całe nasze życie było z nią związane... Niekiedy prawda gwałtownie dopominała się ujścia, wtedy zaciskałem zęby, i nigdy nie przeszła mi przez usta – nie dowiedział się, że jego dziecko nosiła pod sercem... że ja to dziecko, jego dziecko miałem zgładzić, że ono zabrało ją z sobą...

A jednak mówiliśmy tylko o niej podczas tych dni, kiedy to ukrywałem się u niego... Bo – o tym zapomniałem panu powiedzieć – szukano mnie... Mąż przyjechał, kiedy trumna już była zamknięta... Nie chciał uwierzyć orzeczeniu lekarskiemu... Ludzie przebąkiwali rozmaicie... więc szukano mnie... Ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby ujrzeć człowieka, o którym wiedziałem, że cierpiała z jego powodu... Ukrywałem się przez cztery dni, nie wychodziłem z domu, on zamówił kabinę na zmyślone nazwisko... Jak złodziej dostałem się na okręt w nocy, wszystko zostawiłem, co miałem... dom z całą pracą tych siedmiu lat, cały dobytek – wszystko stoi otworem dla każdego... a rząd holenderski już pewnie wymazał mnie z listy swych urzędników, bo bez pozwolenia opuściłem stanowisko... Ale nie mogłem żyć dłużej w tym domu, w tym mieście... w tym świecie, gdzie wszystko ją przypominało... Uciekłem w nocy jak złodziej tylko dlatego, żeby o niej zapomnieć...

Ale... kiedy przyszedłem na pokład... była północ... mój przyjaciel był ze mną... coś prostokątnego, czarnego... wciągano właśnie w górę... trumnę... słyszy pan... jej trumnę!... Ściga mnie aż tu, tak jak ja ją ścigałem... i musiałem tu stać, udawać obcego, bo on, jej mąż, przybył z nią... towarzyszy jej do Anglii... Może chce tam dać zrobić sekcję... odebrał ją nam... teraz należy znowu do niego... Już nie do nas, do nas obydwóch... Ale ja jeszcze istnieję... Nie odstąpię jej aż do ostatniej chwili... On się nigdy nie dowie, nie może się dowiedzieć... Potrafię obronić jej tajemnicę przeciw wszelkim usiłowaniom... przeciw temu łotrowi, przed którym uciekła ze świata... Nie, nie, nigdy się nie dowie... jej tajemnica należy do mnie... do mnie!...

Czy pan rozumie teraz, dlaczego unikam ludzi... nie mogę słuchać ich śmiechów... patrzeć, jak flirtują, łączą się w pary... bo tam na dole, w magazynie, między pakami herbaty i workami orzechów, poniewiera się ta trumna... Nie mogę się tam dostać, bo drzwi są zamknięte, ale czuję jej obecność wszystkimi nerwami i myślę o niej w każdej sekundzie... kiedy tu grają walce i tanga... Pewnie, że to głupota, bo morze kryje w falach miliony umarłych, a w każdej piędzi ziemi, po której się stąpa, gnije jakiś trup... ale mimo to nie mogę patrzeć, jak tu się odbywają maskarady i ludzie się śmieją tak głośno... Wciąż czuję jej obecność, wiem, czego chce ode mnie... wiem, mam jeszcze obowiązek, jeszcze nie koniec... jej tajemnica jeszcze nie została uratowana... jeszcze mnie nie zwolniła z danego słowa...

Z pokładu słychać było odgłos ciężkich kroków i pluskanie. To marynarze zaczęli szorować pokład. Zerwał się jak oparzony. Wymamrotał:

– Czas już na mnie... czas...

Męką było patrzeć na niego, na jego zmęczone zapuchnięte oczy, czerwone z pijaństwa czy z łez. Nie szukał mego współczucia. W jego zgarbionej postaci czaił się wstyd, bezgraniczny wstyd, że się zdradził – przede mną, przed tą nocą. Mimo woli powiedziałem:

– Czy mogę przyjść do pana po południu do kabiny?...

Spojrzał na mnie. Ostry, cyniczny wyraz skurczył jego wargi.

– Aha... to pański wspaniały obowiązek... Aha... Tą mądrością rozwiązał mi już pan język. Panie, nie, mój panie, dziękuję. Niech pan sobie nie wyobraża, że jest mi teraz lepiej, odkąd rozdarłem wnętrze przed panem... Mego złamanego życia nikt nie może mi złożyć... za darmo służyłem holenderskiemu rządowi... moją pensję diabli wzięli, wracam do Europy ogołocony ze wszystkiego jak pies... pies, który skomlać biegnie za trumną... a przecież tak długo bezkarnie nie może biec człowiek opętany przez amoka... w końcu on przecież człowieka obala, a mam nadzieję, że zbliżam się już do końca... Nie, dziękuję panu za chęć odwiedzenia mnie. Mam innych towarzyszy w kajucie, kilka dobrych starych butelek, które mnie czasem pocieszają, i mam jeszcze starego druha, do którego się, niestety, nie zwróciłem na czas: pocziwy browning... Ten mi lepiej pomoże niż wszystkie gadania... Ostatecznym prawem człowieka, które nam pozostaje, jest zdechnąć, jak się komu podoba... i bez czyjejkolwiek pomocy...

Popatrzył jeszcze raz na mnie ironicznie, po prostu wyzywająco, ale czułem, że był to tylko wstyd, bezgraniczny wstyd. Potem zgarbił się jeszcze bardziej, odwrócił bez pożegnania i szedł dziwnie, ciągnąc nogi za sobą przez jasny już pokład. Nie zobaczyłem go więcej. Daremnie szukałem go tej nocy i następnej. Nigdzie go nie było i mógłbym przypuścić, że to był sen albo halucynacja, gdybym nie zauważył między pasażerami jakiegoś pana z krepą na ramieniu: holenderski hurtownik, jak mi powiedziano, któremu żona umarła na jakąś gorączkę podzwrotnikową.

Widziałem go, jak chodził tam i z powrotem, poważny i strapiiony, z dala od innych, a myśl, że znałem jego najtajniejszą troskę, napawała mnie tajemniczym strachem. Schodziłem mu z drogi, żeby nie zdradzić wzrokiem, że więcej wiedziałem o jego losach niż on sam.

W Neapolu, w porcie zdarzył się ów dziwny wypadek. Większość pasażerów opuściła okręt, ja sam byłem tego wieczoru w operze, a potem w jednej z jasnych kawiarni na via Roma. Kiedy wracaliśmy łódką na statek, spostrzegłem, że kilka łodzi z pochodniami i lampami acetylenowymi obszukiwało dookoła statek, a na górze na ciemnym pokładzie był jakiś tajemniczy ruch, widać było żandarmów i karabinierów. Zapytałem jednego marynarza, co się stało. Odpowiedział wymijająco, ale w taki sposób, że od razu można było poznać, że ma nakazane milczenie. Nawet następnego dnia, kiedy okręt, jak gdyby nic się nie stało, odpłynął spokojnie dalej do Genui, nie można się było niczego dowiedzieć. Dopiero w gazetach przeczytałem potem romantycznie zabarwioną relację o nieszczęśliwym wypadku, który się wydarzył w porcie neapolitańskim.

Nocną porą, żeby nie niepokoić pasażerów, przenoszono do podstawionej łodzi trumnę ze zwłokami pewnej damy z holenderskich kolonii, właśnie opuszczano ją po drabinie ze sznurów w obecności męża, gdy coś ciężkiego spadło naraz z pokładu i trumnę wraz z dźwigającymi i mężem porwało i strąciło do morza. Jedna z gazet twierdziła, że obłąkany rzucił się ze schodów na trap, inna uniewinniła go i pisała, że trap zerwał się sam pod zbyt wielkim ciężarem; w każdym razie Towarzystwo Okrętowe zrobiło wszystko, żeby ukryć prawdziwy stan rzeczy. Uratowano nie bez trudu tragarzy i męża zmarłej. Metalowa trumna jednak poszła na dno i nie można jej było odnaleźć.

W innej notatce pisano, że znaleziono w porcie trupa mniej więcej czterdziestoletniego mężczyzny, co – dla czytających – mogło nie pozostawać w żadnym związku z romantycznym wypadkiem. Ale mnie, jak tylko spojrziałem na nią, wydało się, że z drukowanych liter patrzy na mnie jeszcze raz upiorna księżycowo biała twarz w błyszczących okularach.

Przełożyła
Zofia Rittnerowa

LIST OD NIEZNAJOMEJ

Znany literat R., odświeżony trzydniową wycieczką w góry, powrócił pewnego dnia wcześniej rano do Wiednia i gdy tylko kupił na dworcu gazetę i rzucił okiem na nagłówek, uprzytomnił sobie, że dziś jest dzień jego urodzin. Czterdziesty pierwszy rok życia – pomyślał szybko – nie było to dla niego ani szczególnie przyjemne, ani bolesne. Prędko przerzucił szeleszczące kolumny gazety i pojechał samochodem do domu. Służący zameldował mu, że w czasie jego nieobecności były dwie wizyty i kilka telefonicznych zapytań, i przyniósł na tacy górę listów. Pisarz niechętnie spojrzął na korespondencję, rozerwał parę kopert, gdzie zainteresowało go nazwisko nadawcy; jeden z listów, który mu się wydał zbyt gruby, zaadresowany nie znanym mu charakterem, odłożył na razie na bok. Tymczasem wypił herbatę, usadowił się wygodnie w fotelu, przerzucił jeszcze raz gazetę i kilka prospektów, potem zapalił cygaro i zabrał się do czytania obszernego listu, który odłożył.

Było to kilkanaście kartek nerwowo zapisanych obcym kobiecym pismem – raczej rękopis niż list. Zajrzał jeszcze raz do koperty, czy tam w środku nic nie zostało, ale koperta była pusta. Nie było również adresu ani podpisu wysyłającego. Pomyślał, że jest to co najmniej dziwne, i wziął powtórnie pismo do ręki.

„Do Ciebie, który mnie nigdy nie znałeś” – tak brzmiała apostrofa, nagłówek.

Zdziwiony podniósł głowę: czy tu rzeczywiście chodzi o niego, a nie o jakiegoś wymaginionowanego odbiorcę? Zaintrygowany zaczął czytać:

Moje dziecko umarło wczoraj – trzy dni i trzy noce walczyłam o życie tej drobnej, delikatnej istoty. Przez czterdzieści godzin, kiedy grypa trzęsła jego biednym ciałem, siedziałam przy łóżku. Dawałam mu zimne okłady na rozpaloną głowę, trzymałam jego niespokojne rączka w dzień i w nocy. Trzeciego wieczoru siły mnie opuściły, powieki zamknęły się mimo woli. Trzy, może cztery godziny spałam na krześle – i wtedy śmierć mi je zabrała. Teraz leży tam, mój słodki, biedny chłopczyka w wąskim, dzieciennym łóżeczku, leży tak, jak wczoraj umarł, tylko oczy mu zamknęły, jego rozumne, ciemne oczy; ręce splełli mu ponad białą koszulką i wysoko w czterech rogach łóżka zapalili cztery świece. Nie mam odwagi spojrzeć tam, nie mam odwagi się ruszyć, bo kiedy płomyki świec zamigocą, przelatują cienie po jego twarzy i po zaciśniętych ustach i wtedy wydaje się, że rysy jego ozywają, i mogłabym przypuścić, że nie umarł, że zbudzi się znowu i powie do mnie kilka pieszczotliwych słów swym kochanym, dzieciennym głosem. Ale wiem, że nie żyje, i nie chcę więcej patrzeć tam, by nie mieć złudzeń i jeszcze raz nie doznać rozczarowania. Wiem, niestety, wiem na pewno, że moje dziecko umarło wczoraj, teraz mam już tylko Ciebie na świecie, tylko Ciebie, który mnie nie znasz, który teraz zbijasz bąki albo na całego bawisz się, nic nie przeczuwając. Tylko Ty mi zostałeś, Ty, który mnie nigdy nie znałeś, a którego zawsze kochałam.

Wzięłam piątą świecę i postawiłam na stole, na którym piszę do Ciebie. Bo nie mogę być sama z moim zmarłym dzieckiem, bo mi się serce rozdziera; do kogóż mam mówić w tej strasznej chwili, jeżeli nie do Ciebie, który mi byłeś i jesteś wszystkim. Może nie potrafię mówić do Ciebie wyraźnie, może mnie nie zrozumiesz – w głowie mam pustkę, krew wali mi jak miotem w skroniach, wszystko mnie boli. Zdaje mi się, że mam gorączkę, może mam także gripę, która podstępnie się skrada od drzwi do drzwi, byłby to jedyny ratunek, bo wtedy poszłabym razem z moim dzieckiem i nie musiałabym sama... Czasem robi mi się całkiem ciemno w oczach, może nie będę mogła nawet skończyć tego listu – ale chcę zebrać wszystkie siły, żeby raz, tylko ten jeden raz, przemówić do Ciebie, ukochany mój, który mnie nigdy nie znałeś.

Chcę mówić tylko do Ciebie, chcę Ci po raz pierwszy opowiedzieć wszystko; musisz poznać całe moje życie, które zawsze należało do Ciebie i o którym Ty nigdy nic nie wiedziałaś. Ale Ty masz poznać moją tajemnicę dopiero, kiedy mnie już nic będzie, kiedy już nie będziesz mógł odpowiedzieć – jeżeli te dreszcze, co mną teraz wstrząsają, naprawdę oznaczają koniec. Gdybym musiała żyć jeszcze, podrę ten list i będę milczeć dalej, jak milczałam dotychczas. Ale jeżeli list ten dojdzie do Twych rąk, będzie to znak, że ktoś, kto już nie żyje, opowiada Ci o minionym życiu, które było Twoim życiem od pierwszej aż do ostatniej chwili mego prawdziwego istnienia. Nie obawiaj się moich słów, umarła już niczego nie żąda, ani miłości, ani współczucia, ani pociechy. Żądam od Ciebie tylko, żebyś wierzył we wszystko, co odkrywa Ci tu zbolące serce szukające ucieczki w Tobie. Nie kłamie się w chwili śmierci jedynego dziecka.

Chcę przed Tobą odkryć całe moje życie, które się od tego dnia dopiero naprawdę zaczęło, kiedy Ciebie poznałam. To, co przedtem było, jest tak mętne, że moja pamięć nie jest w stanie wytworzyć sobie wyraźnego obrazu, jakbym żyła w jakiejś piwnicy, pełnej zakurzonych i pokrytych pajęczyną rzeczy i ludzi, o których moje serce nic nie wie. Kiedy Ty wszedłeś w moje życie, miałam trzynaście lat i mieszkałam w tym samym domu, gdzie Ty teraz mieszkasz, w tym samym domu, w którym teraz trzymasz ten list w rękach, to ostatnie tchnienie mego życia. Mieszkałam na tym samym korytarzu naprzeciw drzwi Twego mieszkania. Z pewnością nie przypominasz sobie już nas: biednej wdowy po radcy (nosiła zawsze żałobę) i szczupłego podlotka – żyłyśmy cicho, w małomieszczańskim niedostatku. Nie słyszałeś pewnie nigdy naszego nazwiska, bo nie miałyśmy tabliczki na drzwiach mieszkania i nikt nigdy nie przychodził, nikt nie pytał o nas. Już tak dawno temu, piętnaście, szesnaście lat, nie, Ty już z pewnością nie pamiętasz tych czasów, aleja, ja przypominam sobie każdą drobnostkę, pamiętam jeszcze jak dziś ów dzień, nie, ową chwilę, kiedy po raz pierwszy usłyszałam Twoje nazwisko i po raz pierwszy Ciebie zobaczyłam, i jakże mogłoby być inaczej? Przecież wtedy dopiero zaczęło się dla mnie życie. Przeczytaj cierpliwie, ukochany mój, wszystko od początku, błagam Cię, niech Ci się nic sprzykrzy wysłuchiwanie mnie do końca, mnie, której nie sprzykrzyło się kochać Cię przez całe życie.

Zanim sprowadziłeś się do naszego domu, mieszkali za tymi samymi drzwiami ludzie źli, kłótlivi i brzydcy. Ponieważ byli biedni, najbardziej nienawidzili biedy, sąsiadującej z nimi, a więc nas, bo nie chciała mieć nic wspólnego z ich proletariuszowską, nieokrzesaną siostrzycą. Mąż to był pijak i bił swoją żonę; często budził nas w nocy hałas upadających stołków i rozbijanych talerzy. Raz żona wybiegła do sieni z potarganymi włosami, a za nią rycząc jej pijany mąż, aż ludzie powychodzili z innych mieszkań i zagrozili im policją. Moja matka unikała od początku wszelkich stosunków z nimi i zakazała mi rozmawiać z ich dziećmi, które z tego powodu mściły się na mnie przy każdej sposobności. Na ulicy wołały za mną ordynarnymi wyrazami, a kiedyś tak mnie zbiły twardymi kulami ze śniegu, że mi się krew lała z czoła. Cały dom jakimś ogólnym, zbiorowym instynktem nienawidził tych ludzi, a kiedy pewnego razu coś ich spotkało – zdaje mi się, że to jego zamknęli za kradzież – i cała rodzina musiała się wynieść z wszystkimi manatkami, odetchnęliśmy wszyscy. Przez kilka dni wisiła na bramie kartka „mieszkanie do wynajęcia”, potem zdjęli ją i przez stróża rozeszła się wiadomość, że wynajął je jakiś spokojny kawaler, literat. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam Twoje nazwisko.

Po kilku dniach przyszli malarze, dekoratorzy, tapicerzy, żeby doprowadzić do porządku mieszkanie po brudnych poprzednich lokatorach; przez cały dzień słyhać było przybijanie, pukanie, czyszczenie, skrobanie, ale moja matka była z tego zadowolona, mówiła, że teraz nareszcie skończy się to niechlujne gospodarstwo. Ciebie nie widziałam podczas całej przeprowadzki; wszystkich robót doglądał Twój służący, poważny, siwy lokaj, który wszystkim kierował cicho i rzeczowo. Imponował nam wszystkim bardzo, najpierw dlatego, że lokaj w naszym na przedmieściu stojącym domu był w ogóle nowością, a potem, że był dla wszystkich tak nadzwyczajnie grzeczny, a jednocześnie nie poufalił się z inną służbą i nie wdawał w niepotrzebne rozmowy. Mojej matce kłaniał się od pierwszego dnia, jak się należy damie, a nawet mnie, smarkatkę, traktował uprzejmie i z powagą. Gdy wymawiał Twoje nazwisko, czynił to zawsze z pewnym uszanowaniem, ze specjalnym respektem – widać było, że był przywiązany do Ciebie ponad granicę zwykłego przywiązania służącego. A jak ja go za to kochałam, tego poczciwego, starego Jana, chociaż mu zazdrościłam, że zawsze mógł być przy Tobie i że Tobie służy...

Opowiadam Ci to wszystko, ukochany mój, wszystkie te drobne, prawie śmieszne szczegóły, żebyś zrozumiał, jak wielką moc miałeś już od samego początku nad tym bojaźliwym onieśmielonym dzieckiem, jakim byłam wtedy. Zanim się sam pojawiłeś, już Cię otaczał promienny nimb, atmosfera bogactw, oryginalności, tajemnicy – my wszyscy, mieszkańcy domu na przedmieściu, ludzie, których życie obraca się w ciasnym kole, zawsze ciekawi nowości, czekaliśmy niecierpliwie na Twoje sprowadzenie się. I jak to zaintrygowanie Twoją osobą spotęgowało się we mnie, kiedy pewnego popołudnia wracałam ze szkoły do domu, a wóz meblowy stał przed domem... Tragarze wynieśli już na górę większą część rzeczy, same ciężkie sztuki, a teraz nosili już tylko pojedyncze drobiazgi; stanęłam przed drzwiami, żeby podziwiać to wszystko, bo Twoje rzeczy były tak osobliwe, jakich nigdy dotąd nie widziałam; jakieś indyjskie bożki, włoskie rzeźby, wielkie, o jaskrawych barwach obrazy, a w końcu książki, takie śliczne, że nie przypuszczałam nigdy, że istnieje coś podobnego. Wszystkie książki zostały najpierw złożone jedna na drugą przy drzwiach, tam odbierał je Twój służący, oczyszczał i okurzał każdą z osobna dokładnie trzepaczką i piórkiem. Krążyłam ciekawie naokoło ciągle rosnącego stosu książek, lokaj mnie nie odganiał, ale też i nie zachęcał wcale; wobec tego nie miałam odwagi dotknąć żadnej. Oglądałam tylko nieśmiało z boku ich tytuły, były wśród nich francuskie i angielskie, a niektóre w językach, których wcale nie znałam. Myślę, że mogłabym godzinami im się przyglądać; wtem mnie matka zawołała do pokoju.

Przez cały wieczór potem myślałam o Tobie, jeszcze zanim Cię zobaczyłam... Sama miałam tylko kilka tanich książek, oprawnych w wypłowiałą tekturę, lecz książki te kochałam ponad wszystko i wciąż na nowo je odczytywałam. A teraz myślałam ciągle, jaki musiał być ów człowiek, który posiadał i znał tyle cudnych książek, który znał tyle języków i był taki bogaty i uczony zarazem... Rodzaj nadziemskiej czci łączył się we mnie z pojęciem tylu książek. Starłam się wyobrazić sobie Ciebie: byłeś starcem w okularach, z długą białą brodą, podobnie jak nasz profesor geografii, tylko o wiele lepszy, piękniejszy, łagodniejszy – nie wiem dlaczego już wtedy, kiedy jeszcze myślałam o Tobie jako o starym człowieku, byłam pewna, że jesteś piękny. Wówczas, tej samej nocy, śniłam o Tobie po raz pierwszy, nie znając Cię jeszcze.

Nazajutrz wprowadziłeś się, ale chociaż Cię wszędzie wypatrywałam, nie udało mi się zobaczyć Ciebie, to zwiększyło tylko moją ciekawość. Nareszcie trzeciego dnia zobaczyłam Cię – I jakże wstrząsająca była dla mnie ta niespodzianka... Byłeś zupełnie inny, tak daleki od dziecinnego obrazu „pana z brodą” – wymarzyłam sobie Ciebie jako starca w okularach, a naraz przyszedłeś taki, taki, jakim jesteś dziś jeszcze, człowiek o obliczu, które się prawie nie zmienia, po którym lata zdają się przechodzić bez śladu. Miałeś na sobie jasnobrózowy sportowy garnitur i biegłeś po schodach nieźrównanie lekko i zgrabnie jak młody chłopak, po dwa schody na raz. Kapelusz niosłeś w rękę i ze zdziwieniem nie do opisania stwierdziłam, że miałeś młodą, ożywioną twarz i jasne włosy; naprawdę, że przeleżałam się ze zdumienia, taki byłeś młody, piękny, taki sprężysty i elegancki. I czy to nie dziwne? Poczułam wyraźnie to, co wiele innych osób wciąż od nowa w Tobie odczuwa: że jest w Tobie jakby dwóch ludzi, jeden gorący, lekkomyślny, oddany zabawom i igraszkom młodzieńcem, a drugi – poważny, obowiązkowy, czytany i wykształcony mężczyzna. Mimo woli wyczułam to, co każdy czuł w Tobie, że prowadzisz podwójne życie: jedno o powierzchni jasnej, zwróconej jawnie ku światu, i drugie ciemne, które znasz tylko sam. Od pierwszego spojrzenia zauważyłam tę głęboką dwoistość, tę tajemnicę Twojej natury, ja, trzynastoletnie dziecko, magicznie tajemnicą tą pociągnięte.

Czy rozumiesz więc teraz, ukochany mój, jakim cudem, jaką kuszącą zagadką musiałeś być dla mnie już od dziecka? Czy rozumiesz, co znaczy ta rewelacja, że człowiek, przed którym miało się respekt, bo pisał książki, bo był sławny w owym innym, wielkim świecie – jest w rzeczywistości młodym, eleganckim, dziecinnie wesołym, dwudziestopięcioletnim mężczyzną? Czy muszę jeszcze dodawać, że od tej chwili poza Tobą nic mnie więcej nie zajmowało w naszym domu, w moim biednym, dziecięcym świecie, i że z całym uporem, z wytrwałością trzynastoletniej dziewczynki krążyłam wokół Twojego życia, wokół Twojej egzystencji? Obserwowałam Twoje zwyczaje, obserwowałam ludzi, którzy do Ciebie przychodzili, a wszystko to, zamiast zmniejszać, potęgowało tylko ciekawość poznania Ciebie samego, bo dwoistość Twojej istoty odbijała się w pstrokaciźnie tych wizyt. Przychodzili młodzi ludzie, Twoi koledzy, z którymi śmiałaś się i dokazywałaś, przychodzili obszarpani studenci, a potem znowu damy zajeżdżające samochodami, raz by i dyrektor opery, wielki kapelmistrz, którego widywałam tylko z daleka, jak dyrygował orkiestrą. Potem znowu małe dziewczęta, które chodziły jeszcze do szkoły wydziałowej, wślizgiwały się nieśmiało. W ogóle dużo, bardzo dużo kobiet. Widząc to nie myślałam sobie nic nadzwyczajnego nawet wtedy, kiedy idąc raz do szkoły rano zobaczyłam jakąś szczególnie zawoalowaną damę, wychodzącą od Ciebie – miałam dopiero trzynaście lat, a namiętna ciekawość, z jaką śledziłam Cię i czatowałam na Ciebie, nie skryształizowała się jeszcze w świadomości dziecka, że to już była miłość.

Ale pamiętam dobrze, ukochany mój, ów dzień i godzinę, kiedy raz na zawsze oddałam Ci moje serce. Byłam na przechadzce z koleżanką, stałyśmy rozmawiając przed bramą. Naraz zajechał samochód i w tej samej chwili Ty zeskoczyłeś ze stopnia owym niecierpliwym, elastycznym ruchem, który mnie do dziś dnia zachwyca. Chciałeś wejść do domu. Mimo woli zmusiło mnie coś, żeby Ci otworzyć drzwi tak, że zastąpiłam Ci drogę, zderzyliśmy się prawie. Spojrzałeś na mnie ciepłym, miękkim wzrokiem, który był jakby pieszczotą, uśmiechnąłeś się do mnie – doprawdy, nie mogę tego inaczej określić – z miłością – i powiedziałeś cicho i prawie poufałym tonem:

– Dziękuję panience.

To było wszystko. Ale od tej chwili, odkąd tylko poczułam na sobie owo miękkie pieszczotliwe spojrzenie, zginęłam. Później, nawet dość prędko dowiedziałam się, że darzysz owym przyciągającym do siebie, obejmującym a jednocześnie rozbierającym spojrzeniem zawodowego zdobywcy każdą kobietę, która się do Ciebie zbliży, każdą dziewczynę sprzedającą w sklepie, każdą pokojówkę, która Ci drzwi otwiera, że to spojrzenie bynajmniej nie wypływa świadomie z woli czy z upodobania, tylko że Twoja czułość wobec kobiet sama sprawia, iż Twoje spojrzenie staje się tak miękkie i ciepłe. Ale ja, trzynastoletni brzdąc, nie przypuszczałam tego wtedy: byłam cała jak w ogniu. Myślałam, że ten pieszczotliwy wzrok dotyczy tylko mnie, mnie jedynej, i w jednej sekundzie zbudziła się we mnie, dopiero na pół rozwiniętej, kobieta, która odtąd na zawsze już miała należeć do Ciebie...

– Kto to był? – spytała moja przyjaciółka.

Nie mogłam jej zaraz odpowiedzieć. Nie byłam w stanie wymówić Twego nazwiska, które już w tej jedynej, tej jedynej chwili stało się moją tajemnicą.

– Ach, jakiś pan, który tu mieszka w kamienicy – wyjąkałam niezręcznie.

– Ale dlaczego się tak strasznie zaczerwieniłaś, kiedy spojrzał na ciebie? – zaśmiała się ze złośliwością ciekawego dziecka.

I ponieważ czułam, że szydziła z mojej tajemnicy, krew jeszcze bardziej uderzyła mi do głowy.

– Głupia gęś – powiedziałam zirytowana i najchętniej bym ją zadusiła, ale ona zaśmiała się jeszcze głośniejsze i z jeszcze większą ironią, aż łzy stanęły mi w oczach z bezsilnego gniewu. Zostałam ją na ulicy i pobiegłam na górę.

Od tej chwili kochałam Cię. Wiem, że nieraz kobiety wymawiały te słowa, szeptały je Tobie, rozpieszczonemu zdobywcy serc. Ale wierz mi, nikt nie kochał Cię tak niewolniczo, tak wiernie jak pies i z takim oddaniem jak ja wtedy. Bo nic na świecie nic dorówna utajonej miłości dziecka; taka jest beznadziejna, służalcza, uległa, taka czatująca i namiętna jak nigdy pożądana i wymagająca miłość dojrzałej kobiety. Tylko samotne dzieci potrafią zamknąć swoją namiętność w sobie, inne rozpuszczają wodze językom, rozcieńczają uczucie w zwierzeniach; słyszały wiele i czytały o miłości, i wiedzą, że jest ona wspólnym przeznaczeniem wszystkich. Bawią się nią jak zabawką, chełpią się nią jak chłopcy pierwszym papierosem. Aleja nie miałam nikogo, przed kim mogłabym się zwierzyć, nikt mnie niczego nie uczył i nie przestrzegł przed niczym, byłam niedoświadczona i nie miałam pojęcia o życiu. Wpadłam w moje przeznaczenie jak w przepaść. Wszystko, co we mnie rosnęło i dojrzewało, czuło tylko Ciebie, marzyłam o Tobie jako o zaufanym przyjacielu. Mój ojciec umarł dawno, matka stała się dla mnie obca wskutek niewesołego usposobienia, wiecznego przygnębienia i bojaźni, jaka charakteryzuje rencistów. Moje na pół zepsute koleżanki były mi wstrętne, bo bawiły się tak lekko tym, co dla mnie było najwyższą namiętnością. Oddałam Tobie wszystko, wszystko, co się zazwyczaj dzieli i rozdrabnia, cała moja nieśmiała a jednak już rozwijająca się istota rwała się niecierpliwie do Ciebie. Byłeś dla mnie... – jakże mam Ci to opisać? Wszelkie porównanie jest za słabe: byłeś dla mnie wszystkim, moim całym życiem. Wszystko istniało tylko wtedy, jeżeli pozostawało w jakimkolwiek związku z Tobą. Ty zmieniłeś moje całe życie. Dotychczas obojętna i mierna uczennica w szkole, stałam się naraz pierwsza w klasie, czytałam tysiące książek do późna w nocy, bo wiedziałam, że Ty kochasz książki, zaczęłam, ku największemu

zdumieniu mojej matki, z zawziętą wytrwałością uczyć się na fortepianie, bo myślałam, że Ty lubisz muzykę. Czyściłam i naprawiałam moje suknie, i robiłam wszystko, żeby przed Tobą wyglądać schludnie. Strasznie nieprzyjemnie było mi, że na starym fartuszk szkolnym (był skrojony z szlafroka mojej matki) miałam po lewej stronie wstawioną kwadratową łatę. Bałam się, że mógłbyś ją zobaczyć i pogardzać mną z tego powodu, dlatego przyciskałam zawsze do niej teczkę z książkami, kiedy biegłam po schodach na górę, drżąc ze strachu, żebyś tej łatę nie spostrzegł. Ale jakaż to była głupota z mej strony, przecież Ty nigdy prawie na mnie nie patrzyłeś...

Ale jednak przez cały dzień nie robiłam właściwie nic innego, tylko czekałam na Ciebie i szpiegowałam. W naszych drzwiach wejściowych było wycięte okrągłe metalowe okienko, przez które można było zobaczyć Twoje drzwi. To okienko – nie, nie śmieć się, ukochany mój, jeszcze dziś, jeszcze dziś nie wstydzę się tego – to okienko było moim okiem na świat, tam, w lodowato-zimnym przedpokoju bojaźliwie ukryta przed matką, siedziałam z książką w ręku przez całe popołudnie na czatach, w naprężeniu jak struna, która dźwięczała wtedy, gdy Ty się ukazywałeś. Byłam zawsze przy Tobie, zawsze w napięciu, zawsze w ruchu, ale Ty tak samo nie odczuwałeś tego, jak nie odczuwałeś napięcia sprężyny zegarka ukrytego w Twej kieszonce, który w cieniu cierpliwie liczy i mierzy godziny Twego życia, towarzyszy Ci zawsze z niedosłyszalnym biciem serca i na który tylko raz na milion tykających sekund padnie Twój wzrok. Wiedziałam wszystko o Tobie, znałam wszystkie Twoje przyzwyczajenia, wszystkie Twoje krawaty, wszystkie Twoje ubrania, znałam także, w najkrótszym przeciągu czasu, wszystkich Twoich znajomych i dzieliłam ich na sympatycznych i wstrętnych. Każdą chwilę mego życia, od trzynastego do szesnastego roku, żyłam tylko Tobą. Ach, jakież głupstwa popełniałam! Całowałam klamkę, której Twoja ręka dotknęła, ukradłam resztkę wypalonego papierosa, który rzuciłeś, wchodząc do kamienicy, i schowałam jak świętość, bo Twoje wargi dotykały go... Sto razy wybiegałam wieczorem pod jakimkolwiek pozorem na ulicę, żeby zobaczyć, w którym z Twych okien świeci światło, by w ten sposób niby namacalniej czuć Twoją obecność, Twoją niewidoczną obecność. A kiedy opuszczałeś dom na dłużej – serce przestawało mi bić ze strachu już, gdy widziałam, jak Twój poczciwy Jan znosi ze schodów żółtą podróżną walizkę – w tym czasie moje życie zamierało i stawało się czymś zupełnie bez sensu. Chodziłam wtedy

mrukliwa, znudzona, zła i musiałam tylko bardzo uważać, żeby moja matka nie spostrzegła rozpaczy w moich zapłakanych oczach.

Wiem, że to wszystko, co tu opowiadam, to brzmi przesadnie i trąci dziecinadą. Powinna bym się tego wstydzić – ale nie wstydzę się, bo nigdy moja miłość nie była bardziej niewinna, a zarazem bardziej namiętna jak wówczas. Godzinami mogłabym Ci opowiadać, jak wtedy żyłam Tobą, choć Ty zaledwie wiedziałeś, jak wyglądam, bo jeżeli spotkałam Cię na schodach i nie mogłam się już cofnąć, to ze strachu przed Twym pałającym wzrokiem mijałam Ciebie pędem ze spuszczoną głową jak człowiek, który woli rzucić się do wody, niż spalić się w ogniu. Godzinami, dniami całymi mogłabym Ci opowiadać o tych dawno minionych czasach, mogłabym przerzucić cały kalendarz Twego życia, ale nie chcę Cię znudzić, nie chcę Cię męczyć. Chcę Ci się tylko zwierzyć jeszcze z tego najpiękniejszego przeżycia w moim dzieciństwie i proszę Cię, żebyś nie śmiał się ze mnie, bo dla mnie, dziecka, było to wtedy czymś nieskończenie ważnym.

Było to w niedzielę. Zdaje mi się, Ty bawiłeś wtedy w podróży, Twój służący właśnie wtaszczał ciężkie dywany, które wytrzepał, przez otwarte drzwi mieszkania. Trudno mu było, biedakowi samemu, i dziwiąc się własnej śmiałości przystąpiłam do niego i spytałam, czy nie mogłabym mu pomóc. Był zdziwiony, ale nie bronił mi. I tym sposobem zobaczyłam – gdybym Ci tylko umiała opisać, z jaką pokorą, po prostu pobożną czcią! – zobaczyłam Twoje mieszkanie od wewnątrz, Twój świat, biurko, przy którym siedziałeś zwykle i na którym było kilka kwiatków w kryształowym wazonie. Twoje szafy, Twoje obrazy, Twoje książki. Rzuciłam tylko jedno przelotne spojrzenie w Twoje życie, choć wierny Jan byłby z pewnością pozwolił mi dłużej przypatrzeć się wszystkiemu, ale tym jednym spojrzeniem wchłonęłam całą atmosferę tego mieszkania i miałam pokarm dla moich nieskończonych marzeń o Tobie, na jawie i we śnie.

Ta chwila, ta jedna krótka chwilka była najszczęśliwszą w całym moim dzieciństwie. O tym chciałam Ci opowiedzieć, żebyś zaczął rozumieć nareszcie Ty, który mnie nie znasz, jak związane z Tobą do ostatniej godziny było to życie... O tej chwili chciałam Ci opowiedzieć, i o jeszcze jednej, najstraszniejszej w moim życiu, która przyszła, niestety, tak szybko po tamtej. Mówiłam Ci już, że zajęta Tobą zapomniałam o wszystkim, nie zwracałam uwagi na matkę, nie troszczyłam się o nikogo. Nie zauważyłam, że pewien starszy człowiek, kupiec z Innsbrucku, który był z nią w dalekim powinowactwie, przychodził do nas coraz częściej i zawsze zostawał dłużej, byłam z tego nawet bardzo zadowolona, bo zabierał mamę czasem do teatru, a ja mogłam zostać w domu sama, mogłam myśleć o Tobie, czatować na Ciebie, co było moim najwyższym, jedynym szczęściem. Pewnego dnia matka zawołała mnie z wielkimi ceregielami do swego pokoju, żeby mi zakomunikować coś bardzo ważnego. Zbladłam i usłyszałam naraz potężne bicie serca: czy może coś przeczuła, coś odkryła? Moją pierwszą myślą byłeś Ty, moja tajemnica, która mnie łączyła ze światem. Ale matka była sama zaaferowana, pocałowała mnie (czego zresztą nie czyniła nigdy) czule, raz i drugi, pociągnęła mnie do siebie na kanapę i zaczęła opowiadać, że jej daleki krewny, wdowiec, oświadczy! się jej i że jest zdecydowana, głównie ze względu na mnie, przyjąć oświadczyzny. Goręcej napłynęła mi krew do serca, tylko jedna myśl zaprzętała mnie: myśl o Tobie.

– Ale zostaniemy tutaj? – zdołałam jeszcze wyjąknąć.

– Nie, przeprowadzimy się do Innsbrucku, Ferdynand ma tam willę.

Więcej już nie słyszałam. Zrobiło mi się ciemno w oczach. Potem dowiedziałam się, że zemdlałam; słyszałam, jak matka opowiadała o tym ojczymowi, który czekał za drzwiami, że z rozpostartymi rękami przechyliłam się do tyłu, aby za chwilę runąć jak długa na ziemię. Co się działo potem i w następnych dniach, jak się broniłam, bezsilne dziecko, przeciw ich przewadze, tego już dziś nie umiem powiedzieć, ale jeszcze teraz drży mi ręka na myśl o tym. Mojej prawdziwej tajemnicy nie mogłam zdradzić, toteż moje przeciwstawianie się wydawało się tylko krnąbrnością, złośliwością, uporem. Nikt ze mną już więcej nie mówił o tym, wszystko odbywało się poza moimi plecami. Korzystali z godzin, kiedy byłam w szkole, żeby pchnąć naprzód przeprowadzkę, a kiedy wracałam do domu, widziałam za każdym razem, jak coraz to inny mebel zniknął sprzedany lub był zapakowany. Musiałam patrzeć na to, jak umiera nasze mieszkanie, a z nim moje życie, aż przyszła chwila, kiedy wróciłam do domu na obiad i w mieszkaniu nie zastałam już żadnych mebli. W pustych pokojach stały zapakowane kufry i dwa składane łóżka dla mamy i dla mnie: na nich miałyśmy przespąć tę ostatnią noc, a nazajutrz wyjechać do Innsbrucku.

Tego ostatniego dnia rozumiałam z nagłą determinacją, że nic mogę żyć z dala od Ciebie. A nic widziałam innego ocalenia prócz Ciebie. Jak sobie to wyobrażałam, czy w ogóle zdołałam wszystko sobie jasno przedstawić wówczas, tego nie potrafię powiedzieć, ale w pewnej chwili – matka wyszła – tak jak stałam, w szkolnym mundurku, poszłam do Ciebie. Nie, nic poszłam, ale coś popchnęło mnie z magiczną siłą ku Twoim drzwiom. Powiedziałam Ci już, że nie wiedziałam dokładnie, czego właściwie chcę: upaść Ci do nóg, prosić Cię, żebyś mnie zatrzymał u siebie jako sługę, jako niewolnicę? Obawiałam się, że będziesz śmiał się z tego niewinnego fanatyzmu piętnastoletniej dziewczyny, ale nic uczyniłbyś tego, ukochany mój, gdybyś mógł sobie uprzytomnić, jak stałam wówczas w lodowato-zimnej sieni, skostniała ze strachu, a jednak popychana przez ową magiczną siłę, i jak dygotała mi ręka... były to okropne, nieskończenie długie sekundy zmagania się wewnętrznego, nim zdecydowałam się zadzwonić. Jeszcze dzisiaj słyszę przenikliwy głos tego dzwonka, a potem ciszę, kiedy serce przestało bić, a cała moja istota tylko nasłuchiwała, czy Ty podchodzisz do drzwi...

Ale nie wyszedłeś. Nikt nic otworzył drzwi. Widocznie nie było Cię w domu tego popołudnia, a Jan musiał wyjść do miasta; i tak z martwym dźwiękiem dzwonka, huczącego mi w uszach, wróciłam chwiejąc się na nogach do naszego rozbitego, opustoszałego mieszkania i rzuciłam się wyczerpana na jakiś pled, zmęczona tymi kilkoma krokami tak, jakbym godzinami brnęła po najgłębszym śniegu. Ale pod tym wyczerpaniem żarzyło się postanowienie zobaczenia Ciebie, pomówienia z Tobą, zanim mnie stąd zabiorą. Nie było w tym, przysięgam Ci, żadnej zmysłowej myśli, byłam jeszcze zupełnie niewinna właśnie dlatego, że o niczym innym nie myślałam, tylko o Tobie; tylko widzieć Cię chciałam, jeszcze raz zobaczyć Cię, ucześcić się Ciebie. Przez całą noc, przez całą straszną noc czekałam na Ciebie, ukochany mój. Zaledwie matka położyła się do łóżka i zasnęła, udało mi się wydostać ukradkiem do przedpokoju, ażeby nasłuchiwać, jak będziesz wracał do domu. Czekałam przez całą noc, a była to mroźna noc styczniowa. Byłam zmęczona, bolały mnie kości, a nie było już krzesła, żeby usiąść na nim; położyłam się więc na podłodze, gdzie wiało od szpary pod drzwiami. Leżałam tak tylko w lekkiej sukni na twardej, lodowatej podłodze, bo nie wzięłam żadnego przykrycia, nic chciałam, żeby mi było ciepło, z obawy, iż mogłabym zasnąć i nie dosłyszeć Twoich kroków. Zimno było nie do wytrzymania, drżałam cała, musiałam ciągle wstawać, ale czekałam, czekałam, czekałam na Ciebie jak na przeznaczenie.

Nareszcie – musiała być już druga albo trzecia w nocy – usłyszałam hałas otwierającej się bramy na dole, a potem kroki idące w górę po schodach. Nie czułam już zimna, gorąco mnie oblało, cicho otworzyłam drzwi, żeby paść Tobie pod nogi... Czyja wiem, co byłabym zrobiła wtedy, głupie niedoświadczone dziecko!... Kroki zbliżały się, z dołu zamigotał płomyk świecy, drżąc trzymałam rękę na klamce, czy to Ty idziesz?

Tak, to byłeś Ty, ukochany – ale nie sam. Słyszałam cichy, łaskotliwy śmiech, szelest jedwabnej sukni i Twój przytłumiony głos – wróciłeś do domu z kobietą...

Jak przeżyłam resztę nocy, nie wiem. Na drugi dzień o ósmej rano zabrali mnie do Innsbrucku; nie miałam już siły bronić się dłużej.

Moje dziecko umarło wczoraj w nocy – gdybym miała żyć dłużej, musiałabym być znowu sama. Jutro przyjdą obcy, czarni, nieokrzesani ludzie, przyniosą trumnę, włożą do niej moje biedne, jedyne dziecko. Może przyjdą także znajomi i złożą wieńce, ale co znaczą kwiaty na trumnie? Będą mnie pocieszać słowami, słowami; ale w czymże oni mogą mi pomóc? Wiem, że potem znowu zostanę sama. A nic ma nic strasznieszego niż samotność wśród ludzi. Doświadczyłam tego podczas tych dwóch nieskończenie długich lat w Innsbrucku, w latach od szesnastego do osiemnastego roku mego życia, kiedy żyłam jak uwięziona wśród mojej rodziny. Ojczym, człowiek bardzo spokojny, małowówny, był dla mnie bardzo dobry, matka była gotowa spełnić każde moje życzenie, jakby pragnąc odpokutować jakąś mimowolnie wyrządzoną mi krzywdę; młodzi ludzie kręcili się koło mnie, ale ja odtrącałam wszystkich z jakąś namiętą niechęcią. Nie chciałam być szczęśliwa, żyć zadowolona z dala od Ciebie, zakopałam się w mrocznym świecie samotności i zgryzoty.

Nie chciałam nawet patrzeć na nowe barwne sukienki, które mi kupowali, nie chciałam chodzić na koncerty, do teatru albo na wycieczki w wesołym towarzystwie. Zaledwie czasem wychodziłam na ulicę. Czy uwierzysz, ukochany mój, że nie znam nawet dziesięciu ulic w tym miasteczku, w którym mieszkałam dwa lata!...

Byłam smutna i chciałam być smutna. Upajałam się każdym osobistym wyrzeczeniem i dołączałam je do mego największego wyrzeczenia: niewidzenia Ciebie. A zresztą nie chciałam być pozbawiona mojej namiętności, chciałam żyć tylko dla Ciebie. Siedziałam sama w domu, godzinami, dniami całymi, i nic nie robiłam, tylko myślałam o Tobie, przeżywałam ciągle na nowo, ciągle na nowo owe drobne niezliczone wspomnienia o Tobie, odnawiałam w pamięci i przedstawiałam sobie na scenie mojej wyobraźni każde spotkanie z Tobą, każde oczekiwanie Ciebie. A ponieważ każdą z tamtych sekund powtarzałam sobie niezliczoną ilość razy, całe moje dzieciństwo pozostało mi w tak żarliwej pamięci, że czuję dziś jeszcze każdy z owych minionych dni tak gorąco i żywo, jakby dopiero minął wczoraj...

Tylko Tobą żyłam wtedy. Kupiłam sobie wszystkie Twoje książki; dzień, kiedy Twoje nazwisko figurowało w gazecie, był dla mnie świętem. Czy uwierzysz, że znam na pamięć wszystkie Twoje książki, tak często je czytałam? Gdyby mnie ktoś zbudził w nocy i kazał dokończyć jakiś oderwany fragment, potrafiłabym dziś jeszcze, po trzynastu latach, recytować dalej jak lunatyczka: każde słowo było dla mnie ewangelią i modlitwą. Świat istniał tylko w związku z Tobą; czytając w wiedeńskich gazetach o koncertach i premierach w teatrze, myślałam tylko o tym, co Ciebie może najwięcej zajmować, a kiedy się zbliżał wieczór, myśl moja towarzyszyła Ci z daleka: teraz wchodzi do sali, teraz siada... Tysiąc razy marzyłam tak tylko dlatego, że jeden jedyny raz ujrzałam Cię na koncercie...

Ale po co opowiadam Ci o tym wszystkim, o tym szalonym, wymierzonym przeciwko samej sobie tragicznym a tak beznadziejnym fanatyzmie dziecka, po co opowiadam o nim człowiekowi, który nigdy tego nie przeczuwał, nigdy o tym nie wiedział? Ale czyż doprawdy byłam wtedy jeszcze dzieckiem? Miałam siedemnaście, potem osiemnaście lat – młodzi ludzie zaczęli oglądać się za mną na ulicy, ale to napełniało mnie tylko goryczą. Bo miłość albo choćby flirt, z myślą o kimś innym niż Ty, to były dla mnie rzeczy tak niepojęte, tak niezrozumiałe, obce, że sama chęć już wydawałaby mi się zbrodnią. Moja namiętność dla Ciebie pozostała wciąż jednakowa, zmieniała się tylko razem z moim ciałem, z moimi rozbudzonymi zmysłami, stawała się bardziej cielesna, żarząca, bardziej kobieca. I to, co nawet na myśl nie przyszło nieświadomemu dziecku wtedy, kiedy trzymało w ręku Twoją kłamkę, to było teraz moim jedynym marzeniem: ofiarować Ci siebie, oddać się Tobie.

W moim otoczeniu myślano, że jestem bojaźliwa, nazywano mnie nieśmiałą (nie zdradziłam nikomu mojej tajemnicy). Ale żelazna wola rosta tymczasem we mnie. Wszystkie myśli i pragnienia napięte były w jednym kierunku: wrócić do Wiednia, powrócić do Ciebie. I udało mi się postawić na swoim, jakkolwiek niedorzeczne i niezrozumiałe musiało się to wydawać innym. Ojczym był zamożnym człowiekiem i traktował mnie jak własne dziecko... Aleja uparcie nalegałam, że chcę sama zarabiać na siebie i osiągnęłam mój cel nareszcie; wróciłam do Wiednia, do krewnych, gdzie dostałam posadę ekspedientki w wielkim magazynie konfekcji damskiej.

Domyślisz się zapewne, dokąd udałam się najpierw, gdy przyjechałam – nareszcie! nareszcie! – do Wiednia pewnego mglistego jesienno-wieczoru? Zostawiłam kufry na dworcu, a sama wskoczyłam do tramwaju – jakże pomału jechał, jak niecierpliwiał mnie każdy przystanek! – i pobiegłam jak szalona przed nasz dom. Twoje okna były oświetlone – serce mi zabiło! Dopiero teraz zaczęło żyć dla mnie to miasto, które w pierwszej chwili wydawało się tak obce; tak bezmyślne... Dopiero teraz zaczynałam żyć, kiedy Ciebie poczułam blisko, Ciebie, moje wieczne marzenie! Nie wiedziałam, że w rzeczywistości byłam teraz nie mniej daleka od Ciebie niż przedtem, za górami, za lasami, rzekami – teraz, kiedy tylko cienka, oświetlona szyba okna dzieliła Ciebie od mojego roziskrzonego wzroku. Spoglądałam w górę, w Twoje okna: tam było światło, tam był Twój dom, tam był mój świat. Przez dwa lata marzyłam o tej chwili... Cały, długi, mglisty wieczór spędziłam pod tymi oknami, dopóki w nich światło nie zgasło. Dopiero potem poszłam do domu.

Co wieczór stałam tak przed Twoim domem. Do szóstej pracowałam w magazynie. Miałam ciężką, męczącą pracę, która mi jednak dawała zadowolenie, bo nerwowe zajęcie nie dawało mi odczuć tak boleśnie własnego podniecenia. I gdy tylko żaluzje sklepu zamykały się za mną, pędziłam do mego ukochanego celu. Miałam tylko jedno, jedyne życzenie: raz Cię spotkać, raz Cię zobaczyć, raz tylko móc objąć wzrokiem choć z daleka Twoją twarz. Dopiero po tygodniu spotkałam Cię nareszcie w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewałam; gdy wpatrywałam się jak zwykle w Twoje okna, przeszedłeś na ukos ulicę, udając się do domu. I naraz, jakbym była znowu trzynastoletnim dzieckiem, czułam, jak krew przypływa mi do twarzy, i wbrew wewnętrznemu pragnieniu łakącemu widzenia Twoich oczu spuściłam głowę i czym prędzej, jakby ścigana, minęłam Ciebie. Potem wstydziłam się tej dziecinnej ucieczki, bo teraz wszystko zrozumiałam: chcę Cię spotkać, chcę być przez Ciebie poznana po tylu latach tęsknoty, chcę być przez Ciebie zauważona, chcę być przez Ciebie kochana...

Ale długo nie zauważałeś mnie, pomimo że każdego wieczoru stałam pod oknami, nawet gdy wiała śnieżycyca i dął dokuczliwy wiedeński wicher. Nieraz czekałam całymi godzinami na próżno, nieraz wychodziłeś w końcu z domu w towarzystwie znajomych, dwa razy także w towarzystwie kobiet, i wtedy po nagłym skurczu serca, kiedy ujrzałam kobietę idącą tak pewnie z Tobą pod rękę, czułam, że jestem już dorosła, czułam inny, nowy odcień mojej miłości do Ciebie. Nie dziwiło mnie to, znałam przecież z lat dziecinnych Twoje upodobania, ale teraz czułam jakby fizyczny ból, coś zazdrośnie buntowało się we mnie przeciw każdej twojej cielesnej poufałości z inną! Na drugi dzień nic poszłam tam – zdraśnięta w mojej dumie dziecięcej, ale jak straszny był dla mnie ów wieczór buntu i nieposłuszeństwa!... Nazajutrz wieczór stałam znowu pod Twoimi oknami, czekając, czekając, tak jakby mym przeznaczeniem było czekać zawsze przed Twoim zamkniętym dla mnie życiem...

Aż nareszcie pewnego wieczoru spostrzegłeś mnie. Widziałam Cię już z daleka i napięłam całą wolę, by tym razem nic uniknąć spotkania z Tobą. Przypadek chciał, że ulicę zatarasowały wozy ciężarowe, i byłeś zmuszony przejść tuż obok mnie. Twój roztargniony wzrok mimo woli zatrzymał się na mnie i od razu stał się owym czułym, obejmującym a jednocześnie rozbierającym spojrzeniem, którym darzyłeś kobiety, owym spojrzeniem, które we mnie, dziecku, po raz pierwszy rozbudziło kobietę-kochankę. Przez jedną czy dwie sekundy oczy Twoje utonęły w moich, które nie mogły i nie chciały oderwać się od Ciebie – a potem przeszedłeś obok mnie. Serce mi biło; mimo woli zwolniłam kroku, a kiedy z nie dającej się przemóc ciekawości odwróciłam się, zobaczyłam, że zatrzymałeś się także i oglądałeś za mną. I po sposobie, z jakim mi się przyglądałeś, zorientowałam się od razu: nie poznałeś mnie.

Nie poznałeś mnie wtedy ani później, nigdy mnie nie poznałeś. Jakże potrafię Ci opisać rozczarowanie tej jednej chwili – a przecież przeżyłam z tym życie całe i z tym umieram: niepoznana, nigdy nie poznawana przez Ciebie... W jakich słowach opisać Ci moje rozczarowanie! Bo widzisz, podczas tych dwóch lat w Innsbrucku, kiedy nie było godziny, żebym nie myślała o Tobie, i kiedy nic nie robiłam, tylko wyobrażałam sobie to pierwsze nasze spotkanie w Wiedniu, to zależnie od nastroju śniłam najgorsze i najradośniejsze. Wszystko było, że tak powiem, już prześnione, w przykrych chwilach wyobrażałam sobie, że mnie odtrącisz, pogardzisz, bo nie jestem równa Tobie, nie jestem dość piękna, zanadto nachalna... wszystkie formy Twojej niechęci, oziębłości, obojętności, wszystko przeżyłam w namiętnych wizjach – ale nawet w tych najgorszych chwilach nie przypuściłam najstraszniejszego, że w ogóle nie zauważysz nigdy mego istnienia! Dzisiaj potrafię to już pojąć – ach, jak Ty mnie dużo nauczyłeś! – że twarz dziewczyny, kobiety, musi być dla mężczyzny czymś niesłychanie ruchliwym, bo najczęściej jest tylko zwierciadłem, raz namiętności, to znowu naiwności czy zmęczenia, że rozplywa się tak łatwo jak obraz w lustrze i że mężczyzna łatwiej może zapomnieć oblicze kobiety, bo lata odbijają się na nim grą światła i cieni, bo ubiór za każdym razem inaczej je obramowuje. Ludzie, którzy zrezygnowali, ci dopiero wiedzą naprawdę. A ja, młoda dziewczyna, nie mogłam wtedy pojąć Twojego zachowania, bo w tym ciągłym, nigdy nie ustającym zajmowaniu się Tobą doszłam do jakiegoś obłądnego przypuszczenia, że Ty także musisz nieraz myśleć o mnie i czekać na mnie; nigdy w mojej głowie nie powstała myśl zapierająca dech w piersi, że mogę dla Ciebie być niczym, że nigdy nawet najlżejsze wspomnienie o mnie nie zadrgało w Twojej duszy. I to przebudzenie, kiedy skrzyżowały się nasze spojrzenia i uprzytomniłam

sobie, że jestem Ci już zupełnie obca, że nawet pajęczka nitka nie wiąże Twego życia z moim... to było moje pierwsze zderzenie z rzeczywistością, pierwszy zwiastun mego przeznaczenia.

Nie poznałeś mnie wtedy, a kiedy dwa dni potem, przy ponownym spotkaniu Twój wzrok spoczął na mnie z widoczną poufałością, nie widziałeś we mnie znowu tej, która Cię kocha i w której tę miłość wzbudziłeś, tylko przypominałeś sobie, że to ta ładna osiemnastoletnia dziewczyna, którą spotkałeś dwa dni temu na tym samym miejscu. Utkwiłeś we mnie przyjemnie zdziwione spojrzenie, lekki uśmiech okrążył Twe usta i znowu przeszedłeś mimo, ale natychmiast zwolniłeś kroku, ja drżałam, chciałam krzyknąć z radości i modliłam się – żebyś tylko zawrócił. Po raz pierwszy byłam dla Ciebie żywą istotą: też zwolniłam kroku, nie zdezerterowałam. I naraz, nie oglądając się, wiedziałam, że idziesz za mną, wiedziałam, że usłyszę wreszcie Twój ukochany głos zwrócony do mnie. Oczekiwanie odbierało mi władzę w członkach i w chwili, gdy truchlałam z przerażenia, że nie zdołam już zrobić kroku – serce mi biło tak gwałtownie – zobaczyłam Cię u mego boku. Rozmowę zacząłeś tak lekko i wesoło, jak gdybyśmy byli dawno zaprzyjaźnieni – ach, Ty przecież nigdy nic o mnie nie wiedziałeś, nic nie wiedziałeś o moim życiu! Zagadnąłeś mnie z tak czarującą swobodą, że nawet zdobyłam się na odpowiedź. Szliśmy razem do rogu ulicy. Potem zapytałeś, czy nie poszlibyśmy gdzieś na kolację. Nic powiedziałam: nie. Czyż mogłam odmówić Tobie?

Jedliśmy kolację w małej restauracyjce – czy przypominasz sobie w której? Ach nie, dla Ciebie wieczór ten z pewnością nie różnił się od innych podobnych wieczorów, bo kim byłam dla Ciebie? Jedną z tysięcy, nową przygodą w niekończącym się łańcuchu. Co zresztą mogłoby Ci mnie przypominać: mówiłam bardzo mało, bo byłam nieskończenie szczęśliwa, że mam Ciebie przy sobie, że słucham, jak mówisz do mnie. Nie chciałam nic z tego tracić przez nieopatrzone pytanie czy niedorzeczne słowo. Nigdy Ci nie zapomnę, żeś wówczas tak hojnie spełnił moje pełne bojaźni oczekiwanie, żeś był tak delikatny, tak subtelny, tak pełen taktu, daleki od natręctwa i tych niecierpliwych egoistycznych czułości – i od pierwszej chwili zwracający się do mnie z taką pewnością i przyjacielską poufałością, że pozyskałbyś mnie nawet, gdybym od dawna nie należała już do ciebie całą duszą!... Ach, nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak olbrzymiej rzeczy dokonałeś, nie rozczarowując mnie wtedy, po pięciu latach oczekiwania!

Zrobiło się późno. Wstaliśmy. W drzwiach restauracji spytałeś, czy się śpieszę, czy rozporządzam jeszcze czasem. Czy mogłam powiedzieć: nie, skoro tak długo czekałam na Ciebie? Powiedziałam, że mam jeszcze czas. Potem spytałeś, pokonując lekkie wahanie, czy nie zechciałabym pójść na chwilę do Ciebie, by porozmawiać trochę.

– Chętnie – powiedziałam z taką naturalnością, jaką mi nakazywało uczucie, i spostrzegłam, że szybkością tej zgody byłeś wyraźnie zaskoczony, może niemile, może radośnie. Dzisiaj rozumiem to; wiem, że kobiety nie przyznają się do namiętności, choćby płonęły z chęci oddania, że muszą się bronić i udawać strach albo oburzenie i że każą się zdobywać przy użyciu prośb, kłamstw, przysięg albo przyrzeczeń. Wiem, że z taką radosną otwartością na tego rodzaju zaproszenie odpowiadają tylko kochanki zawodowe, prostytutki albo całkiem naiwne dzieci. Przez moje usta jednak – ale jakże Ty mogłeś się tego domyślać – przemawiała dawno ukształtowana wola, skoncentrowana, grożąca wybuchem tęsknota każdego z przeminionych tysięcy dni. W każdym razie: byłeś zaintrygowany, zdumiony, zaczęłam Cię interesować. Kiedy ruszyliśmy, czułam, obserwowałeś mnie z boku ze zdumieniem. Twoja intuicja, Twoja we wszystkich ludzkich sprawach tak niezawodna intuicja wietrzyła coś niezwykłego, jakąś tajemnicę w tej ładnej usługowej dziewczynie. Psycholog ocknął się w Tobie, i ze sposobu, w jakim mi stawiałeś pytania, zorientowałam się, że chciałeś okrężnie dotrzeć do tej tajemnicy. Ale ja uchyliłam się: wolałam wydać Ci się głupią gąską, niż zdradzić Ci moją tajemnicą.

Weszliśmy do Ciebie na górę. Wybacz, ukochany mój, jeżeli Ci powiem, że Ty nigdy nie pojmiesz tego, czym dla mnie była ta sień, te schody – burza, wichur, szalone, odurzające szczęście. Jeszcze teraz ledwie mogę myśleć o tym bez rozrzewnienia, lecz wszystkie moje łzy już się wylały. Ale pomyśl tylko: tam każdy przedmiot był jakby nasycony moją miłością, każdy symbolem mego dzieciństwa i mojej tęsknoty: brama, pod którą tysiącokrotnie czekałam na Ciebie, schody, z których nasłuchiwałam zawsze Twoich kroków i na których zobaczyłam Cię po raz pierwszy, okrągły metalowy judasz, przez który oczy sobie wypatrywałam, słomianka pod Twymi drzwiami, na której raz klęczałam, wreszcie ów zgrzyt klucza, na odgłos którego zrywałam się zawsze. Całe moje dzieciństwo, cała moja miłość zawarła się w tej przestrzeni o kilku metrach sześciennych, tu znajdowało się całe moje życie, które teraz runęło na mnie jak burza, bo wszystko, wszystko spełniło się, szłam z Tobą, ja z Tobą, w Twoim, w naszym domu!... Pomyśl – choć brzmi to trochę banalnie, ale nie umiem tego inaczej wyrazić – aż tu do Twoich drzwi, wszystko przez całe życie było tylko zwyczajną rzeczywistością, głuchym tępym światem dnia powszedniego, a tam dopiero zaczynało się zaczarowane królestwo dziecka, królestwo Aladyna. Pomyśl: tysiące razy pałającymi oczyma wpatrywałam się w te drzwi, w te drzwi, przez które teraz, zataczając się wchodziłam, a wtedy wyobrazisz sobie – ale tylko wyobrazisz sobie częściowo, nigdy nie będziesz wiedział naprawdę, ukochany mój! – jaki ciężar ta dramatyczna chwila zdjęła z mego życia!...

Zostałam wtedy u ciebie przez całą noc. Nie wiedziałeś, że mnie dotąd nie dotknął jeszcze żaden mężczyzna, żaden nie widział ani nie znał mojego ciała. Ale jakże mógłbyś się tego domyślić, ukochany mój, nie stawiałam Ci przecież żadnego oporu, tłumiałam w sobie każde wahanie wstydu, żebyś tylko nie odgadł tajemnicy mojej miłości do Ciebie, która by Cię była z pewnością przestraszyła – bo Ty lubisz tylko błahostką, igraszką, to, co nie ma znaczenia, boisz się zaplątać w czyjeś przeznaczenie!... Pragniesz się rozdać całemu światu, ale nie chcesz ofiar. Błagam Cię, nie rozum mnie fałszywie, jeżeli Ci teraz powiem, ukochany mój, że byłeś pierwszy, któremu się oddałam! Nie oskarżam Cię, nie uwiodłeś mnie wcale, nie oszukałeś – ja, ja sama przyszłam do Ciebie, rzuciłam się Tobie w objęcia, rzuciłam się w moje przeznaczenie! Nigdy, nigdy nie będę Cię oskarżała, nie, zawsze będę Ci tylko wdzięczna za tę noc tak bogatą, tak rozkoszną, tak bardzo dla mnie szczęśliwą. Kiedy otworzyłam oczy w ciemności i czułam Cię u mego boku, dziwiłam się, że nie ma gwiazd nade mną, tak bardzo czułam się w niebie. Nie, ukochany mój, nigdy nie żałowałam tej pierwszej nocy. Pamiętam jeszcze dziś: gdy zasnęłeś i słyszałam Twój oddech i czułam Twoje ciało tak blisko siebie, płakałam w ciemności ze szczęścia.

Rano musiałam wyjść wcześniej, żeby zdążyć do magazynu; zresztą nie chciałam spotkać się z twoim służącym, wołałam, żeby mnie nie widział. Kiedy stanęłam przed Tobą już ubrana, wzięłeś mnie w ramiona. Patrzyłeś na mnie długo: czy to może wspomnienie zafalowało w Tobie, czy wydawałam Ci się tylko ładna? Potem pocałowałeś mnie w usta. Uwolniłam się delikatnie z Twojego uścisku i chciałam odejść. Wtedy spytałeś:

– Czy nie wzięłabyś kilku róż?

Powiedziałam, że tak. Wtedy wyjąłeś cztery białe róże z kryształowego wazonu na biurku (ach, znałam go już z czasów dzieciństwa) i wręczyłeś mi. Całowałam je jeszcze długo, długo.

Umówiliśmy się przedtem, że spotkamy się znowu pewnego wieczoru. Przyszłam, i znowu było rozkosznie. I jeszcze trzecią noc mi darowałeś. Potem powiedziałeś, że musisz wyjechać – ach, jakże nienawidziłam tych podróży jeszcze w dzieciństwie! I przyrzekłeś mi, że mi dasz natychmiast znać po powrocie. Dałam Ci adres na poste restante – nazwiska nie chciałam wyjawić. Nie chciałam zdradzić mojej tajemnicy. I znowu dałeś mi kilka róż na pożegnanie – na pożegnanie...

Codziennie przez dwa miesiące pytałam na poczcie... ale po cóż opisywać tę gehennę oczekiwania, rozpaczy! Nie oskarżam Cię, Kocham Cię takim, jakim jesteś, gorącym i łatwo zapominającym, oddanym i niewiernym. Kocham Cię takim, tylko takim, jakim byłeś zawsze i jakim jesteś dziś jeszcze. Wróciłeś już od dawna, widziałam to po Twoich oświetlonych oknach, ale nie napisałeś. Nie mam teraz w tej ostatniej godzinie życia ani jednego słowa od Ciebie, któremu oddałam życie. Czekałam, czekałam jak na torturach. Ale nie zawołałeś mnie, ani jednego słowa nie napisałeś... ani jednego słowa...

Moje dziecko umarło wczoraj – to było też Twoje dziecko. To było Twoje dziecko, ukochany mój, owoc jednej z owych trzech nocy, przysięgam Ci, a nie kłamie się, gdy się umiera!... Ono było naszym dzieckiem, przysięgam Ci, że inny mężczyzna nie dotknął mnie od chwili, kiedy się Tobie oddałam, do chwili, kiedy wydałam to dziecko na świat!... Zbliżenie się nasze uważałam za świętość: jakże mogłabym dzielić się między Ciebie, który mi byłeś wszystkim, i innych, którzy tylko mijali mnie bezszelestnie w życiu? Dziecko to było naszym dzieckiem, ukochany mój, dzieckiem mojej świadomej miłości i Twojej lekkomyślnej, rozrzutnej, prawie mimowolnej pieczy, naszym dzieckiem, naszym synem, moim jedynym dzieckiem! Ale zapytasz teraz może przestraszony, może tylko zdziwiony – zapytasz mnie, ukochany mój, dlaczego nie mówiłam Ci o nim przez tyle lat i czynię to dopiero dzisiaj, kiedy ono tu w ciemności śpi, śpi na zawsze, i niebawem odejdzie bez powrotu, bez powrotu! Ale czy mogłam to uczynić? Nigdy byś nie wierzył, mnie, obcej, zanadto skorej towarzyszce tych trzech nocy, która oddała Ci się bez oporu, bez sprzeciwu... Nigdy nie wierzyłybyś owej przypadkiem spotkanej obcej osobie bez nazwiska, że była wierna Tobie niewiernemu!... Nigdy byś bez wątpliwości nie uznał tego dziecka za swoje! Nigdy byś nie pozbył się tajemnego podejrzenia, choćby nawet moje słowa wydawały Ci się prawdą, że zamierzam Tobie, zamożnemu człowiekowi, podsunąć owoc nocy spędzonej z innym! Posądzałbyś mnie, pozostałby między nami choćby przelotny cień niedowierzania! Tego nic chciałam. A zresztą znam Ciebie może nie gorzej niż Ty siebie, wiem, że dla Ciebie, uznającego tylko lekką, niefrasobliwą zabawę miłosną, byłoby przykro, bardzo przykro naraz zostać ojcem, odpowiadać za czyjeś losy. Musiałbyś się czuć związany, Ty, który tylko w wolności umiesz oddychać. I – wiem, że byłoby tak,

mimo Twojej woli! – znenawidziłbyś mnie za to związanie. Może trwałoby to tylko parę dni, może tylko przez parę minut byłabym Ci ciężarem, ściągając na siebie Twoją nienawiść, ale duma moja wymagała, żebyś przez całe życie mógł myśleć o mnie bez troski. Wołałam raczej znosić wszystko, niż stać się ciężarem Tobie – być między Twymi kochankami tą jedyną, o której możesz myśleć tylko z miłością i wdzięcznością. Ale Ty przecież o mnie nie myślałeś nigdy, zapomniałeś...

Nie oskarżam Cię, ukochany mój, nie oskarżam Ciebie! Przebacz mi, jeżeli mi czasem kropla goryczy spłynie na pióro, przebacz mi. Moje dziecko, nasze dziecko leży tu w migocących płomykach świec. Bogu groziłam pięściami, nazywałam Go mordercą, nie jestem w pełni przytomna, przebacz mi moją skargę, przebacz mi!... Wiem, wiem o tym, że w głębi duszy jesteś dobry i uczynny, pomagasz każdemu, nawet ludziom, których nie znasz wcale... Tak, jesteś dobry, ale w specjalnym tego słowa znaczeniu: każdy może korzystać z Twojej dobroci, każdy może wziąć z niej, ile tylko zechce, tak, Twoja dobroć jest wielka, nieskończenie wielka, ale ona jest – wybacz słowo – ona jest leniwa. Trzeba się do niej zwracać, przypominać się. Pomagasz, kiedy się Ciebie woła, prosi; pomagasz ze wstydu, ze słabości, a nie z ochoty. Nie kochasz – pozwól sobie powiedzieć otwarcie – nie kochasz człowieka, który cierpi lub jest w niedostatku, bardziej niż brata opływającego w szczęściu. A ludzi tego pokroju, choćby najlepszych z nich, niełatwo jest prosić. Kiedyś, jeszcze jako dziecko, widziałam przez drzwi, jak dawałeś coś żebrakowi, który zapukał do Ciebie. Nie musiał długo czekać i nawet nie żałowałaś mu, ale zrobiłaś to z taką trwogą i z takim pośpiechem, jakbyś go wysyłał do wszystkich diabłów. Wyglądało to tak, jakbyś się bał spojrzeć mu w oczy. Nigdy nie zapomnę Twojego niespokojnego, bojaźliwego, uciekającego przed wdzięcznością rodzaju dobroci. I dlatego nigdy nie zwróciłam się do Ciebie. Jestem pewna, że podałyś mi wtedy rękę nawet nie będąc przekonany, że to jest Twoje dziecko, starałyś się mnie pocieszyć, dałyś pieniądze, wiele pieniędzy, ale zawsze z tą ukrytą niecierpliwością, żeby pozbyć się czegoś niewygodnego. Ba, namawiałaś mnie nawet, żebym pozbyła się dziecka przed czasem. A właśnie tego bałam się najbardziej – bo czegoż nie zrobiłabym dla Ciebie, gdybyś Ty tego zażądał, czyż potrafiłabym Ci

czegokolwiek odmówić! Ale to dziecko było wszystkim dla mnie, pochodziło przecież od Ciebie, było nowym Tobą, ale nie tym szczęśliwym, beztroskim, którego nie umiałam przywiązać do siebie, tylko Tobą – tak sobie wyobrażałam – na zawsze mnie oddanym, uwięzionym we mnie, złączonym z moim życiem. Posiadałam Cię nareszcie, mogłam czuć, jak Twoje życie rośnie we mnie, mogłam Cię żywić, poić, pieścić, całować, ile tylko dusza zapagnie. Widzisz, najdroższy, dlatego czułam się tak szczęśliwa, kiedy się dowiedziałam, że będę matką Twego dziecka, dlatego milczałam: teraz nie mogłeś mi już uciec.

Oczywiście, mój ukochany, te miesiące nie były tak błogie, jak je sobie z początku wyobrażałam, były to także miesiące ciężarne cierpieniem, strachem, wstrętem do ludzkiej podłości. Nie było mi lekko, o nie!... W ostatnich miesiącach musiałam przerwać pracę w magazynie, żeby nie podpaść krewnym i żeby nie napisali do domu. Od mamy nie chciałam brać grosza – więc aż do porodu żyłam ze sprzedaży odrobiny kosztowności, które miałam. Na tydzień przed rozwiązaniem praczka ukradła mi z szafy ostatnie korony – więc musiałam odbyć poród w poliklinice. Tam przyszło na świat moje dziecko, Twoje dziecko, tam, dokąd nędza pchała tylko najbiedniejszych, wyklętych, zapomnianych, tam, wśród ostatnich szumowin. Władzę sprawowała tam śmierć: obce, obce, obce było tu wszystko, obce byliśmy sobie nawzajem, samotne i pełne nienawiści. Tylko nędza, tylko te same katusze rzuciły nas na tę wspólną salę, przesyconą krwią i chloroformem, rozbrzmiewającą jękiem i krzykami. Musiałam tam znosić wszystkie upokorzenia, jakie są udziałem biedy: moralny i fizyczny wstyd obcowania z prostytutkami i z chorymi, którzy z wspólnego losu czynią przedmiot prostackich dowcipów, cynizm młodych lekarzy, którzy z ironicznym uśmiechem odkrywają ciało bezbronnej pacjentki i obmacują je, udając specjalistów, chciwość wreszcie pielęgniarek – ach, tam wstyd człowieka biczowany jest zarówno spojrzzeniami, jak i słowami! Tabliczka z moim nazwiskiem to jedynie jeszcze jestem Ja, bo to, co leży w łóżku, jest już tylko drgającym kawałkiem mięsa, obmacywanym przez ciekawych, obiektem pokazu i studiów – ach, te kobiety, które swemu czułemu małżonkowi ofiarowują dzieci w domu, nie wiedzą, co to znaczy rodzić dziecko samotnie, bezbronne, niejako na stole doświadczalnym! A kiedy znajduję dziś jeszcze w jakiejś książce słowo: piekło, to mimo woli myśl

moja zaraz zwraca się ku tej dusznej, pełnej zapachu krwi, westchnień i jęków sali, w której tyle wycierpiałam, ku tej rzeźni wstydu!...

Wybacz mi, wybacz, że o tym mówię. Ale to tylko ten jeden jedyny raz, nigdy więcej, nigdy więcej... Przez jedenaście lat milczałam, a wkrótce zamilknę na wieki. Ale kiedyś musiałam wykrzyknąć, jak drogo kosztowało mnie to dziecko, które było moim szczęściem. O tych chwilach dawno zapomniałam – sprawił to uśmiech tego dziecka, sprawił to jego głosik, sprawiło moje szczęście, ale teraz, po jego śmierci, męka odżyła na nowo, musiałam ulżyć sobie, ten jeden, jedyny raz! Nie ciebie oskarżam, przysięgam, nigdy cień gniewu przeciwko Tobie nie zmaćcił mej duszy. Nawet w tej godzinie, kiedy moje ciało wilo się w bólach, nawet w tej sekundzie, kiedy ból rozdarł mi duszę, nie oskarżyłam Ciebie przed Bogiem; nigdy, nigdy nie żałowałam tych nocy spędzonych u Ciebie, nigdy nie przeklinałam mojej miłości do Ciebie, zawsze Cię kochałam, zawsze błogosławiłam chwilę, w której Ciebie spotkałam... A gdybym miała się jeszcze raz narazić na piekło tych chwil i gdybym wiedziała, co mnie czeka, zrobiłabym to jeszcze raz, kochany mój, jeszcze raz, tysiąc razy!

Nasze dziecko umarło wczoraj – Tyś go nigdy nie poznał. Nigdy, nawet w przelotnym, przypadkowym spotkaniu nie musnąłeś wzrokiem Twego syna! Jak tylko przyszło na świat, chowałam się długo przed Tobą. Moja tęsknota do Ciebie stała się mniej bolesna, ba, myślę, że kochałam Cię teraz mniej namiętnie, w każdym razie nie cierpiałam tak bardzo z powodu mojej miłości, odkąd zostało mi ono darowane. Nie chciałam dzielić się między Was, poświęciłam się więc nie Tobie, szczęśliwcowi, który żyłeś obok mnie, lecz dziecku, które mnie potrzebowało, które musiałam żywić, które mogłam całować i ścisnąć. Odnosiłam nawet wrażenie, że to Twoje drugie Ja, które należało całkowicie do mnie, wyzwoliło mnie z niepokoju, który Ty we mnie wzniciłeś, z mego przeznaczenia – rzadko, bardzo rzadko już czułam wewnętrzną potrzebę pójścia pod Twoje okno. Z jednego tylko nie chciałam zrezygnować – w dniu Twoich urodzin posyłałam Ci zawsze bukiet białych róż, takich samych, jakie mi ofiarowałeś po naszej pierwszej nocy. Czy zastanowiłeś się kiedy, podczas tych dziesięciu, jedenastu lat, kto Ci je przysyła? Czy wspomniałeś kiedy przy tej okazji o dziewczynie, której darowałeś takie róże? Nic wiem i nigdy się nie dowiem. Mnie wystarczało, że raz w roku mogło zakwitnąć wspomnienie owej chwili – to mi wystarczało.

Nigdy nie widziałeś tego biednego chłopczyny, nie widziałeś, jak się śmiał, jak otwierał powieki i mądrymi, Twoimi oczyma rzucał jasne, wesołe światło na mnie, na cały świat. Ach, jaki on był wesół i miły, Twoja lekkość powtórzyła się w nim!... Twoja szybka, ruchliwa fantazja odnowiła się w nim. Godzinami mógł bawić się swoimi zabawkami, tak jak Ty się bawisz życiem, a potem siedział znowu poważny ze ściągniętymi brwiami nad książką. Coraz częściej był Tobą: zaczynało się już w nim ujawniać owo przeciwieństwo powagi i zabawy, tak charakterystyczne dla Ciebie, a im stawał się podobniejszy do Ciebie, tym bardziej go kochałam. Uczył się dobrze, po francusku paplał jak sroka, jego zeszyty były najporządniejsze w klasie, a jaki ładny był przy tym, jaki wytworny w swoim czarnym, aksamitnym ubranku lub białym marynarskim... Gdzie tylko się pokazał, był najelegantszym dzieckiem. Na wybrzeżu w Gardo, gdy spacerowałam z nim, kobiety zatrzymywały się, gładząc jego długie jasne włosy. Na Seinmeringu, kiedy saneczkował, ludzie oglądali się za nim z podziwem. Był taki ładny, delikatny, uprzejmy. Kiedy w ostatnim roku został przyjęty do internatu „Theresianum”, nosił swój mundurek i szpadę niczym paż osiemnastowieczny – teraz nic już nie ma na sobie, prócz koszulki, biedny, leży blady, ze złożonymi rączkami...

Ale będziesz pewnie ciekaw, jak mogłam wychować go w takim dobrobycie, jak potrafiłam otworzyć mu bramy wielkoświatowego życia? Najdroższy mój, mówię do Ciebie ze świata ciemności; nie mam żadnego wstydu, powiem Ci, nie przerażaj się – sprzedawałam się. Nie byłam właściwie tym, co się przyjęło nazywać kobietą uliczną, dziewczką, ale sprzedawałam się. Miałam bogatych przyjaciół, bogatych kochanków, najpierw ja ich szukałam, potem oni mnie, bo byłam – czyś to kiedykolwiek zauważył? – bardzo ładna. Mężczyźni kochali mnie, dziękowali mi, byli do mnie przywiązani, tylko nie Ty, tylko nie Ty, ukochany mój!

Czy pogardzasz mną teraz po tym wyznaniu? Nie, wiem, że mną nie pogardzasz, wiem, że rozumiesz wszystko i rozumiesz także i to, że zrobiłam to dla Ciebie, dla Twego drugiego Ja, dla Twego dziecka. W tej strasznej sali polikliniki położniczej otarłam się o największą okropność nędzy, zrozumiałam, że na tym świecie biedny będzie zawsze poniżony, deptany, będzie zawsze ofiarą, a ja nie mogłam za nic dopuścić do tego, żeby Twoje dziecko, Twoje jasne, piękne dziecko dorastało w piwnicach społeczeństwa, wśród gawiedzi ulicznej, w zatrutym powietrzu podwórza! Jego delikatne usteczka nie powinny były znać mowy rynsztoku, jego białe ciało nie powinno było nosić grubej, lichej bielizny nędzarzy – Twoje dziecko powinno było mieć wszystko, miało Tobie dorównać i wznieść się w atmosferę Twego życia.

Dlatego, tylko dlatego, ukochany mój, sprzedawałam się. Nie było to poświęceniem się, bo to, co potocznie nazywa się wstydem, nie miało dla mnie znaczenia; nie kochałeś mnie Ty, jedyny, do którego to ciało należało naprawdę, więc było mi zupełnie obojętne, co się z nim działo. Pieszczoty mężczyzn, nawet ich najprawdziwsza miłość, nie wzruszały mnie głęboko, mimo że miałam dla niektórych z nich szacunek, a moje współczucie dla ich nieodwzajemnionej miłości kojarzyło się u mnie z wstrząsającym wspomnieniem własnego losu. Wszyscy oni byli bardzo dobrzy dla mnie, wszyscy mnie rozpieszczali, wszyscy mnie szanowali; jeden szczególnie zasługuje na wymienienie; hrabia, wdowiec, ten sam, któremu udało się wyrobić przyjęcie do „Theresianum” naszego syna, dziecka bez ojca, Twego dziecka – człowiek ten kochał mnie jak córkę. Trzy czy cztery razy oświadczył mi się – mogłabym być dziś hrabiną; panią wspaniałego zamku w Tyrolu, mogłabym być wolna od wszystkich kłopotów, bo dziecko miałoby kochającego ojca, który je ubóstwiał, a ja – dobrego, cichego męża – ale nie uczyniłam tego, choć tak bardzo, tak często nalegał – a tak wielki zadawałam mu ból odmową. Może to była głupota z mej strony, bo żyłabym gdzieś cicho i bez troski, a to dziecko ukochane byłoby ze mną, ale – dlaczego nie mam wyznać? – nie chciałam się wiązać, chciałam być wolna dla Ciebie. Gdzieś w głębi duszy, pod świadomością, żyło we mnie jeszcze ciągle dawne marzenie, że może mnie jednak kiedyś do siebie zawołasz, choćby na chwilę. Dla tej jednej, niepewnej chwili odrzuciłam wszystko, żeby tylko być wolna na każde Twoje skinienie! Odkąd zbudziłam się ze snu dzieciństwa, całe moje życie było czekaniem, tylko czekaniem na Twój rozkaz!...

I ta chwila nadeszła. Ale ty nie wiesz kiedy, nie domyślasz się, ukochany mój! I w tej chwili nie poznałeś mnie – nigdy, nigdy mnie nie poznawałeś! Spotykałam Cię nieraz w teatrze, na koncercie, w Praterze, na ulicy – za każdym razem coś targało mi serce, ale Ty nigdy nie patrzyłeś na mnie. Mój wygląd zmienił się radykalnie: z nieśmiałego podlotka zrobiłam się kobietą, ładną, jak mówiono, w drogich toaletach, otoczoną wielbicielami. Czyż mogłeś przypuszczać, że to ta sama bojaźliwa dziewczyna, którą obejmowałeś w półmroku sypialni? Czasem kłaniał Ci się któryś z panów idących ze mną, odkłoniłeś się i spojrzawszy na mnie, ale Twoje spojrzenie było obojętne, grzeczne, uznające, ale nie poznające, obce, okropnie obce. Pewnego razu, pamiętam – to niepoznanie, do którego się już prawie przyzwyczaiłam, było dla mnie straszną katuszą – siedziałam w operze, w łoży, z przyjacielem, a obok w sąsiedniej łoży – Ty. Gdy zaczęła się uwertura, światła zgasły, nie mogłam już widzieć Twojej twarzy, czułam tylko Twój oddech tak blisko siebie jak wtedy w nocy, a na aksamitnej poręczy między naszymi łóżkami spoczęła Twoja ręka, Twoja delikatna, wypielęgnowana ręka. I zapragnęłam gorąco schylić się i pocałować pokornie tę rękę, która pieściła mnie niegdyś tak czule. Wokoło mnie falowały tony muzyki, a we mnie coraz namiętniej rosło pragnienie ucałowania tej ręki, musiałam z całej siły powściągnąć się, tak gwałtownie rwały się moje usta do tej ukochanej ręki jak do magnesu. Po pierwszym akcie poprosiłam przyjaciela, żebyśmy wyszli. Nie mogłam dłużej znieść tego, że jesteś tak bliski, a jednocześnie taki daleki...

Ale ta chwila przysła i opromieniła raz jeszcze moje przegrane życie. Było to prawie dokładnie rok temu, w dniu po Twoich urodzinach, które obchodziłam zawsze jak święto. Rano wyszłam z domu i kupiłam białe róże, które posłałam Ci, jak co roku, na pamiątkę chwili, o której już zapomniałeś! Po południu wyjechałam z moim chłopczykiem, zawiozłam go do cukierni, a wieczorem – do teatru, chciałam, żeby on także od młodości – choć nie wiedział dlaczego – odczuwał w tym dniu jakiś mistyczny nastrój świąteczny. Nazajutrz odwiedził mnie przyjaciel, młody fabrykant z Brna, z którym żyłam od dwóch lat i który mnie ubóstwiał, rozpieszczał i chciał się koniecznie żenić jak tamci, a któremu tak samo jak tamtym odmawiałam, pozornie bez powodu, chociaż obsypywał mnie i dziecko prezentami, a i sam zasługiwał na miłość za swą może trochę zbyt niewolniczą dobroć. Poszliśmy razem na koncert, spotkaliśmy wesołe towarzystwo, zjedliśmy kolację w restauracji na Ringu i wśród wesołego przekomarzania się rzuciłam projekt odwiedzenia jeszcze nocnego lokalu – Tabarinu. Miałam właściwie wstręt do takich lokali za ich sztuczną, obowiązkową wesołość – i broniłam się zwykle przeciw tego rodzaju projektom, tym razem jednak coś niepojętego, tajemniczego spowodowało, że sama to zaproponowałam. Podniecone towarzystwo ochoczo zgodziło się – czułam niewytłumaczoną konieczność pójścia, jakby tam coś osobliwego czekało na mnie. Towarzystwo, przyzwyczajone słuchać mnie bez zastrzeżeń, podniosło się natychmiast, udaliśmy się tam, zamówiliśmy szampana, a ja wpadłam wtedy w bolesny prawie szał wesołości, jakiej nie pamiętałam. Piłam i piłam, śpiewałam oklepane piosenki, rwało mnie do tańca i głośnej zabawy. Ale nagle jakby ktoś położył na serce lód – zerwałam się; przy sąsiednim stoliku siedziałeś Ty z kilkoma panami i utkwiałeś we mnie

spojrzenie pełne podziwu i pożądania, spojrzenie, które zawsze zapalało w moim ciele ogień. Po raz pierwszy od dziesięciu lat patrzyłeś znowu na mnie z całą nieświadomą siłą Twojej namiętności. Zadrżałam, o mało nie wypadł mi z ręki kieliszek, który właśnie wznosiłam do góry. Na szczęście towarzystwo nie spostrzegło mego zmieszania, odurzone huczną muzyką i głośnym śmiechem.

Twoje spojrzenie stawało się coraz gorętsze i rozogniało mnie coraz bardziej. Nie wiedziałam, czy mnie wreszcie poznałeś, czy też pożądałeś na nowo jako inną, obcą? Policzki mnie paliły, z roztargnieniem odpowiadałam towarzystwu, musiałeś widzieć, jak bardzo byłam zmieszana Twoim wzrokiem. Niepostrzeżenie dałeś mi znak głową, żebym na chwilę wyszła do garderoby. Potem zapłaciłeś ostentacyjnie, pożegnałeś się z Twoimi przyjaciółmi i wyszedłeś, dając przedtem jeszcze raz znak, że będziesz czekał. Drżałam, jakby był trzaskający mróz, czy jakbym była w gorączce, nic mogłam już odpowiadać na pytania, nic mogłam już zapanować nad wzburzoną krwią. Przypadkiem zaczęła tańczyć para Murzynów jakiś nowy taniec, krzycząc przeraźliwie i stukając obcasami, wszyscy zwrócili oczy na nich: skorzystałam z tego, wstałam, powiedziałam przyjacielowi, że zaraz wrócę, i poszłam za Tobą.

W holu, przed garderobą, stałeś i czekałeś na mnie; Twój wzrok rozjaśnił się, kiedy przyszedłam. Z uśmiechem pośpieszyłeś naprzeciw mnie, widziałam od razu, że mnie nic poznałeś, nie poznałeś ani tamtego dziecka, ani tamtej dziewczyny, jeszcze raz wyciągnąłeś po mnie rękę jak po coś nowego, nieznanego.

– Czy będziesz i dla mnie miała kiedy wolną chwilę? – spytałeś poufale. Po pewności, z jaką zadałeś to pytanie, czułam, żeś wziął mnie za jedną z tych kobiet, sprzedających się na jedną noc.

– Tak – powtórzyłam owo drżące i samo przez się rozumiejące się „tak”, jak wtedy, przed dziesięciu laty owa młoda dziewczyna na ciemnej ulicy.

– A kiedy będziemy mogli się zobaczyć? – spytałeś.

– Kiedy tylko zechcesz – odpowiedziałam, przed Tobą nie czułam wstydu.

Popatrzyłeś na mnie nieco zdziwiony tak samo niedowierzająco ciekawie jak i wtedy.

– Czy możesz wyjść ze mną razem? – spytałeś z lekkim wahaniem.

– Tak – odpowiedziałam – chodźmy.

Chciałam iść do garderoby po płaszcz. Ale przypomniałam sobie, że numerek schował mój przyjaciel. Nie mogłam wracać teraz na salę po numerek bez wzbudzenia podejrzeń, z drugiej zaś strony nie chciałam zrezygnować z tej od lat wymarzonej i z tęsknotą oczekiwaną chwili. Dlatego nic zawahałam się ani sekundy, zarzuciłam tylko szal na wieczorową suknię i wyszłam w mglistą wilgotną noc, nie troszcząc się o płaszcz, nie troszcząc się o tego dobrego, przywiązanego do mnie człowieka, z którym żyłam od dawna i którego poniżałam teraz w oczach jego przyjaciół, robiąc z niego błazna, człowieka, którego kochanka opuszcza na pierwsze skinienie obcego natręta.

Ach, byłam w pełni świadoma, jakiej podłości, jakiej niewdzięczności dopuszczałam się wobec tego prawdziwego przyjaciela, czułam śmieszność mego kroku, wiedziałam, że ranię śmiertelnie porządnego człowieka, że przekreślam własną egzystencję – ale czym była dla mnie przyjaźń, czym było życie wobec niecierpliwiej nadziei dotknięcia jeszcze raz Twoich ust, ukojenia uszu muzyką Twoich melodyjnych słów. Tak Ciebie kochałam, teraz mogę to wyznać, kiedy wszystko przepadło i przeminęło. I na pewno, gdybym usłyszała Twe wołanie na łożu śmierci, znalazłabym nagle siłę, żeby jeszcze wstać i pójść z Tobą.

Przed lokalem stała dorożka, pojechaliśmy do Ciebie. Słyszałam znowu Twój głos, chłonełam Twoją bliskość i byłam tak samo upojona, tak samo dziecinnie uszczęśliwiona i zażenowana jak wówczas... Jak weszłam po dziesięciu latach znowu na te schody – nie, nie, tego nie potrafię Ci opisać, jakie podwójne przeżywałam emocje w tej chwili: przeszłość i terażniejszość, a wszędzie byłeś tylko Ty i Ty... W Twoim pokoju niewiele się zmieniło, kilka nowych obrazów, dużo nowych książek, gdzieśgdzie nowe meble, ale wszystko witało mnie jak starzy znajomi, a na biurku stał wazon, a w nim róże... Przysłałam Ci je dzień przedtem jako wspomnienie osoby, której nic pamiętałeś, której nigdy nie poznawałeś, nawet teraz, kiedy Ci była tak bliska, kiedy jej dłoń była w Twojej dłoni, usta na Twoich ustach. Jednak byłam zadowolona, że pielęgnowałeś te kwiaty, w ten sposób oddychałeś przecież tchnieniem mojej miłości.

Objąłeś mnie. Znowu zostałam u Ciebie przez całą, cudowną noc. Ale nawet nagość mojego ciała nie obudziła Twego wspomnienia. Szczęśliwa poddawałam się Twoim cudownym, wciąż nowym pieszczotom, widziałam, że Twoja namiętność nie czyni różnicy między kochanką a kobietą sprzedającą się, oddawałeś się pożądaniu z całą rozrzutnością Twojej wspaniałej natury. Byłeś taki czuły, taki delikatny dla mnie, dla mnie, kobiety zabranej z nocnego lokalu, taki wykwinny, subtelny i taktowny w braniu i dawaniu rozkoszy: upojona dawnym szczęściem, znowu przeżywałam ową charakterystyczną dwoistość Twojej natury, duchową namiętność w zmysłowej cielesności, którą to dwoistość to dziecko już miało po Tobie. Nigdy nie widziałam w mężczyźnie takiego całkowitego uczuciowego oddania się chwili, takiego rozpłomienienia i wybuchu najwewnętrzniejszej istoty – po którym przyszedł stan całkowitego prawie nieludzkiego zatracenia. Ale i ja nie wiedziałam, kim byłam wtedy w ciemności przy Tobie. Czy owym rozognionym dzieckiem z sąsiedztwa, czy matką Twojego syna, czy – kimś w ogóle obcym? Ach, w tej namiętnej nocy wszystko było takie znajome, już kiedyś przeżyte, a mimo to tak oszałamiająco nowe! I modliłam się, żeby ta noc nie miała końca.

Ale przyszedł ranek, wstaliśmy późno. Pragnąłeś jeszcze, żebym zjadła z Tobą śniadanie. Razem wypiliśmy herbatę, którą niewidzialna ręka dyskretnie przygotowała w jadalni, i gawędziliśmy. Znowu mówiłeś do mnie z tą właściwą Tobie serdecznością i bezpośredniością, bez niedyskretnych pytań i bez ciekawości o to, kim jestem. Tak samo jak wtedy nie spytałeś mnie ani o nazwisko, ani gdzie mieszkam, znowu byłam dla Ciebie tylko ową bezimienną przygodą, owym wybuchem namiętności, ulatującym bez śladu w dymie zapomnienia. Opowiadałeś, że wybierasz się w daleką podróż, do północnej Afryki, na dwa, trzy miesiące. Przed chwilą jeszcze niezmiernie szczęśliwa – teraz zadrżałam: bo już łomotało mi w uszach: odjedzie, odjedzie, zapomni...

Najchętniej upadłabym Ci do nóg i krzyczała:

– Zabierz mnie z sobą, poznaj mnie, poznaj nareszcie po tylu latach.

Ale byłam taka bojaźliwa, taka tchórzliwa, tak bezwolna i słaba wobec Ciebie... Wyjąkałam tylko:

– Jaka szkoda!

Spojrzałeś na mnie z uśmiechem:

– Czy naprawdę ci żal?

Wtedy nagle coś mnie poderwało. Wstałam, popatrzyłam na Ciebie długo i wymownie, potem powiedziałam:

– Człowiek, którego kochałam, też wiecznie jeździł. – I wbiłam wzrok w Twoje źrenice.

„Teraz, teraz mnie pozna” – drżało we mnie oczekiwanie. Ale Tyś się tylko uśmiechnął i aby mnie pocieszyć, rzekłeś:

– Z podróży się wraca.

– Tak – odpowiedziałam – wraca się, ale się wtedy nie pamięta.

Musiałoby być coś niesamowitego, coś tragicznego w głosie, jakim to powiedziałam, bo podniosłeś się także i utkwiełeś we mnie pełne zdumienia i dobroci spojrzenie. Potem położyłeś mi ręce na ramiona.

– Dobrych rzeczy nie zapomina się – powiedziałeś. – Ciebie nigdy nie zapomnę.

Wtedy spojrzaleś na mnie z takim natężeniem, jak gdybyś pragnął utrwalić mój obraz mocno w pamięci. I kiedy Twój wzrok wchodził we mnie, szukał, tropił, wsysał w siebie całą moją istotę, wtedy pomyślałam, że nareszcie zdjęta została ze mnie klątwa Twojej ślepoty. „Teraz mnie pozna, teraz pozna”. Cała dusza moja drgała tą myślą.

Ale nie poznałeś. Nie poznałeś mnie, nigdy nie byłam dla Ciebie bardziej obca niż w tej chwili, bo inaczej nie uczyniłbyś tego, co w kilka minut potem zrobiłeś. Najpierw pocałowałeś mnie, pocałowałeś jeszcze raz namiętnie. A kiedy podeszłam do lustra, aby poprawić sobie włosy, zobaczyłam – jeszcze dziś mdleję ze wstydu i przerażenia – zobaczyłam, jak za moimi plecami wsunął kilka grubszych banknotów do mego zarękawka. Dlaczego wtedy nie wybuchnęłam, czemu nie uderzyłam Cię w twarz – mnie, która Cię kochała od dziecka, mnie, matce Twego syna, mnie płaciłeś za tę noc. Byłam dla Ciebie tylko dziwką z Tabarinu, niczym więcej – kupiłeś mnie, kupiłeś. Nie dość, żeś zapomniał, musiałeś jeszcze upokorzyć.

Zaczęłam nerwowo szukać moich rzeczy. Chciałam wyjść, wyjść jak najprędzej. Cios był zbyt silny. Chwyciłam kapelusz, który leżał na biurku obok wazonu z białymi różami, z moimi różami. Nie mogłam się powstrzymać, jeszcze raz chciałam obudzić w Tobie wspomnienie.

– Czy mógłbyś mi dać jedną z tych białych róż?

– Owszem – odpowiedziałeś i wyjąłeś od razu kilka.

– Ale może one pochodzą od kobiety... od kobiety kochającej? – powiedziałam.

– Nie wiem, kto mi je przysyła – powiedziałeś – i dlatego lubię je tak bardzo.

Spojrzałam na Ciebie.

– Może ta kobieta, o której zapomniałeś?

Popatrzyłeś zdziwiony. Nie spuszczałam z Ciebie wzroku.

„Poznaj mnie, poznaj mnie!” – krzyczał mój wzrok. Ale Twoje oczy uśmiechały się uprzejmie i nieświadomie. Pocałowałaś mnie jeszcze raz. Ale nie poznałeś mnie.

Pobiegłam szybko do drzwi, bo czułam, że łzy mi napływają do oczu – a tego nie powinienesz być widzieć. Do przedpokoju wpadłam z takim impetem, że zderzyłam się prawie z Janem, Twoim służącym. Bojaźliwie i usłużnie odskoczył na bok i otworzył drzwi, żeby mnie wypuścić, i wtedy – w tej jednej sekundzie, słyszysz? w tej jednej sekundzie, kiedy spojrzałam na niego zażawionymi oczyma, na niego, podstarzałego lokaja, drgnęło nagle coś w jego spojrzeniu. W tej jednej sekundzie – słyszysz? – w tej jednej sekundzie poznał mnie ten człowiek, który mnie nie widział od czasu mego dzieciństwa. Chciałam uklęknąć przed nim i ucałować jego rękę. Ale tylko wyjęłam szybko banknoty, którymi mnie spoliczkowałaś, i wsunęłam mu je w rękę, zadrzał, spojrzał na mnie przestraszony i w tej chwili lepiej może rozumiał mnie niż Ty w ciągu całego Twojego życia.

Wszyscy, wszyscy rozpieszczali mnie, wszyscy byli dla mnie dobrzy – tylko Ty, tylko Ty zapomniałeś, tylko Ty nie poznawałeś nigdy...

Moje dziecko umarło, nasze dziecko – teraz nie mam już nikogo na świecie, kogo bym mogła kochać, nikogo prócz Ciebie. Ale czym Ty jesteś dla mnie? Ty, który mnie nigdy nie poznajesz, Ty, dla którego jestem powietrzem, który deptasz mnie jak kamień na gościńcu, który idziesz wciąż dalej i dalej – a mnie pozostawiasz w wiecznym oczekiwaniu? Raz uroiłam sobie, że Cię zatrzymam – Ciebie, wieczny podróżniku, w dziecku. Ale to było Twoje dziecko: odeszło ode mnie w nocy, bez litości, wyjechało w daleką podróż, zapomniało o mnie i nie wróci już więcej. Jestem znowu sama, bardziej sama niż kiedykolwiek – nic nie mam, nic od Ciebie – ani dziecka, ani słówka, ani listu, ani pamiątki, a jeśli kto wymówi przed Tobą moje nazwisko, obje się obcym dźwiękiem o Twoje uszy. Czemu nie miałabym odejść od Ciebie, skoro Ty odszedłeś ode mnie? Nie oskarżam Cię, nie, ukochany mój, nie chcę skargami zasepiać Twego wesołego domu. Nie obawiaj się już mego natręctwa – przebac mi, musiałam zrzucić ten kamień z serca teraz, kiedy moje dziecko leży tam umarłe i opuszczone. Jeszcze ten jeden raz musiałam przemówić do Ciebie – zanim zamilknę... w ciemności. Ale dopóki żyję: Ty nie usłyszysz mego krzyku – dopiero po mojej śmierci otrzymasz ten legat ode mnie, od kobiety, która Cię kochała bardziej niż wszyscy, a której Ty nigdy nie poznałeś, od kobiety, która zawsze na Ciebie czekała – i której nigdy nie zawołałeś. Może, może zawołasz mnie jeszcze, ale ja po raz pierwszy nie usłucham, bo nie dotrze Twój głos do krainy śmierci. I nie zostawiam Ci żadnej fotografii ani innej pamiątki, tak samo jak Ty: nic nie zostawiłeś; nigdy mnie nie poznasz – nigdy! Jaki był los mój za życia, niech będzie także po śmierci. Nie wołani Cię w ostatniej godzinie, odchodzę, nie poznana. Umieram lekko, bo wiem, że nic nie przeczuwasz. Myśl, że śmierć moja mogłaby Ci sprawić przykrość, nie dałaby mi umrzeć.

Nie mogę już dalej pisać... jest mi tak jakoś dziwnie... Wszystkie członki mnie bołą, mam gorączkę... Zdaje mi się, że będę się musiała zaraz położyć. Może to się już niedługo skończy, może raz los ulituje się nade mną i nie będę musiała patrzeć, jak będą zabierać moje dziecko. Nie mogę pisać dłużej. Żegnaj, ukochany, żegnaj, dziękuję Ci... Dobrze było tak, jak było, mimo wszystko... Będę Ci dziękować do ostatniego tchnienia. Teraz mi jest dobrze; powiedziałam Ci wszystko Już wiesz, nie, nie wiesz, masz tylko słabe wyobrażenie, jak bardzo Cię kochałam, i wiem, że ta miłość dla Ciebie nie była przecież ciężarem, nie będę Ci brakować – to mnie pociesza – nic się nie zmieni w Twoim pięknym, jasnym życiu... Moja śmierć niczego w nim nie zmieni... to mnie pociesza, ukochany mój.

Ale kto... kto będzie teraz pamiętał o białych różach na Twoje urodziny? Wazon na biurku będzie pusty, tchnienie mojego życia, którym raz w roku oddychałeś, nie wróci... Proszę Cię, ukochany mój... jest to moja pierwsza i ostatnia prośba... zrób to dla mnie... na każde urodziny – to przecież dzień, kiedy się myśli o sobie – kup kilka białych róż i włóż do wazonu. Zrób to, ukochany mój, zrób, tak jak inni raz na rok zamawiają mszę za ukochanych zmarłych. Ja jednak nie wierzę już w Boga i nie chcę mszy, wierzę tylko w Ciebie, kochani tylko Ciebie i chcę w Tobie żyć dalej... tak, choćby ten jeden dzień w roku – tak cicho, tak cicho... jak żyłam obok Ciebie. Proszę Cię, zrób to, ukochany mój... to moja pierwsza i ostatnia prośba... Dziękuję Ci, Kocham Cię... Kocham Cię... żegnaj!...

Wypuścił list z drżących rąk. Pogrzyżył się w zadumie. Wspomnienie dziecka z sąsiedztwa wynurzyło się gdzieś z zaułka świadomości, potem – dziewczęcia, potem – kobiety w nocnym lokalu, ale wszystko tak niewyraźne i migotliwe jak kamień, który błyszczy i drży na dnie płynącej wody. Cienie ukazywały się i znikwały, ale nie tworzyły obrazu. Już wydawało mu się, że przypomina sobie, ale nie mógł sobie przypomnieć niczego. Odnosił wrażenie, że tylko śnił o tych wszystkich postaciach, śnił często i długo, ale tylko śnił...

Naraz spojrzenie jego padło na niebieski wazon, stojący przed nim na biurku. Był pusty, po raz pierwszy pusty od lat w dniu jego urodzin. Zdjął go lęk. Miał wrażenie, że ktoś niewidzialny naraz otworzył drzwi i zimny przeciąg wionął z innego świata w jego cichy pokój. Czuł śmierć i nieśmiertelną miłość, myślał o owej Niewidzialnej namiętnie i bezcieleśnie jak o dalekiej muzyce.

Przełożyła
Zofia Rittnerowa

24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY

Było to na Riwierze w skromnym pensjonacie dziesięć lat przed wybuchem wojny. Przy stole wywiązała się dyskusja tak gwałtowna, że omal nie przekształciła się w kłótnię grożącą wzajemnymi obrazami i zerwaniem stosunków. Wyobraźnia ludzi na ogół nie sięga poza granice ich własnego istnienia. To, co nie dotyczy ich bezpośrednio, co ostrym klinem nie wdiera się w ich życie, nie dociera do nich wcale. Ale za to zwykły wypadek, którego byli świadkami, choćby i bardzo błahy, byle widziany na własne oczy, budzi w nich czasem aż niezdrowe zainteresowanie. Ludzie w ten sposób rekompensują sobie niejako rzadkość objawów uczuciowych ich nadmierną gwałtownością.

Towarzystwo miało charakter na wskroś mieszczański. Zwykle przy stole odbywała się spokojna *small talk*⁷, przeplatana lekkimi żarcikami, po czym rozchodzili się wszyscy zaraz po obiedzie. Każdy ruszał w swoją stronę: niemieckie małżeństwo – na wycieczki z aparatem fotograficznym, okrągłutki Duńczyk – na swoje nudne ryby, młoda para Włochów na eskapady do Monte Carlo, wytworna Angielka wracała do książek, ja zaś brałem się do pracy lub zasiadałem w fotelu trzcinowym w ogrodzie, aby zażywać w pełni *dolce far niente*.⁸ Tego dnia jednak pozostaliśmy przy stole roznamiętnieni dyskusją. Ilekroć ktoś z nas podnosił się nagle, to już nie po to, by pożegnać się grzecznie jak zawsze, lecz by dać ujście podnieceniu, które – jak już wspomniałem – przybierało formy wręcz gwałtowne.

Wypadek, który do tego stopnia poruszył nasze towarzystwo, był rzeczywiście dość niezwykły.

Pensjonat, w którym mieszkaliśmy – było nas siedmioro – mieścił się w stojącej nieco na uboczu willi z cudownym widokiem na usianą skałami plażę. Stanowił on nieco tańszą *dépendance*⁹ wielkiego „Palace Hôtelu”. Z gośćmi hotelowymi stykaliśmy się w otaczającym obydwie budynki rozległym ogrodzie.

Poprzedniego dnia w hotelu zdarzył się niebywały skandal.

7 *small talk* (ang.) – dosł. mała rozmowa; pogawędka

8 *dolce far niente* (wł.) – słodkie próżnowanie

9 *dépendance* (fr.) – filia

O godzinie dwunastej minut dwadzieścia w południe (określam dokładnie czas, gdyż szczegół ten ma duże znaczenie zarówno dla samego epizodu, jak i toczącej się przy stole burzliwej dyskusji) zajechał do hotelu młody Francuz i wynajął pokój z widokiem na morze, co już świadczyło o jego zamożności. Był to młodzieniec o niezwykle ujmującej powierzchowności, pełen wdzięku i dyskretnej elegancji. Twarz miał szczupłą, o delikatnym owalu, usta ocienione jedwabistym wąsikiem, kasztanowate włosy falujące nad białym czołem, spojrzenie ciepłe i miękkie. Choć z daleka wydawać się mogło, że ta lalkowata uroda przypomina manekin stojący z elegancką laseczką w ręku na wystawie konfekcji męskiej, przy bliższym poznaniu wrażenie to mijało bez śladu. Z zachowania młodego Francuza biła prostota i bezpośredniość, nie było w nim śladu sztuczności czy pozy. Jego czar był naturalny, można by powiedzieć mimowolny. Witał się ze wszystkimi serdecznie, ale nie narzucał nikomu swej osoby. Wszyscy poddawali się jego nieprzeartemu urokowi. Gdy któraś z pań szła do szatni, biegł, żeby podać jej płaszcz; każde dziecko witał przyjaznym spojrzeniem lub żarciem; umiał być towarzyski i dyskretny zarazem – słowem, zdawał się należeć do owych szczęśliwców, którzy z wypróbowanego wielokrotnie przeświadczenia, iż pogoda i młodzieńczy ich *charme*¹⁰ są innym miłe, czerpią pewność siebie, i pewność ta z kolei przeistacza się w nowy ich powab. Na starszych i przeważnie schorowanych gości hotelowych obecność jego wywierała dobroczynny wpływ. Swoboda i wdzięk, młodość i elegancja, uśmiech i pogoda zaskarbiły mu powszechną sympatię.

W dwie godziny po przyjeździe grał już w tenisa z dwiema córkami tęgiego, zażywnego fabrykanta z Lyonu – dwunastoletnią Anetką i trzynastoletnią Blanką, a ich matka, delikatna, subtelna i bardzo powściągliwa madame Henriette przyglądała się z uśmiechem, jak dorastające córeczki, nieświadome swej kokieterii, flirtują z młodym nieznanym. Wieczorem kibicował nam godzinę przy szachach, opowiedział mimochodem kilka przyjemnych anegdotek, spacerował z madame Henriette tam i z powrotem po piaszczystym brzegu morskim, podczas gdy mąż jej grał w domino ze znajomym kupcem. Późnym wieczorem przyłapałem go jeszcze na podejrzenie intymnej rozmowy z sekretarką hotelu w cieniu biura. Nazajutrz rano poszedł na ryby z grubym Duńczykiem, przy czym wprawił go w podziw niecodzienną znajomością tajników rybołówstwa, potem pewien czas rozmawiał z fabrykantem z Lyonu na tematy polityczne, w których widocznie okazał zdumiewającą orientację i dowcip, gdyż wybuchy śmiechu dobiegały aż do nas. Po obiedzie (dla pełnego zrozumienia sytuacji muszę przytaczać z wielką dokładnością wszystkie jego czynności w określonym czasie i miejscu) siedział godzinę sam na sam z madame Henriette w ogrodzie, pili czarną kawę, potem znów grał w tenisa z jej córkami, z kortu wrócił do naszego pensjonatu i dłuższy czas rozmawiał z małżeństwem z Niemiec.

O szóstej spotkałem go na dworcu (gdzie wrzucałem list do skrzynki). Podszedł, aby się pożegnać, wyraził żal, że musi niespodzianie wyjechać, gdyż otrzymał nagle wiadomość wzywającą go do powrotu, ale zapewniał, że po dwóch dniach wróci. Wieczorem rzeczywiście nie było go w jadalni, ale nie było go tylko fizycznie – nie przestawano bowiem o nim mówić; wszyscy zachwycali się jego urokiem osobistym, wesołością i inteligencją, miłym sposobem zachowania i żalowali, że już wyjechał.

W nocy, mogła być jedenasta, siedziałem przy biurku w swoim pokoju i czytałem książkę, gdy wtem doszły mnie przez otwarte okno jakieś głosy, gwar i hałas, jakiś niezwykły ruch w hotelu naprzeciwko. Bardziej zaniepokojony niż zaciekawiony przebiegłem szybko owe pięćdziesiąt kroków, dzielące pensjonat od hotelu, i spotkałem na drodze gości i służbę hotelową, przejętych i zdenerwowanych. Madame Henriette – kiedy mąż jej z właściwą sobie punktualnością grał jak zawsze o tej samej porze w domino z przyjacielem z Namur – nie wróciła ze zwykłego spaceru po piaszczystej terasie nadmorskiej i obawiano się, czy nie stało się coś złego. Jak oszalały bawół miotał się ten ociężały zazwyczaj mężczyzna nad brzegiem morza i wołał załamującym się ze wzruszenia głosem:

– Henriette! Henriette!

Ten dźwięk wśród nocy miał w sobie coś tak przerażającego i pierwotnego jak jęk śmiertelnie rannego ogromnego zwierza. Kelnerzy i boye hotelowi biegali po schodach, to w górę, to w dół, rozbudzono wszystkich gości, zawiadomiono policję. A tymczasem tęgi mężczyzna w rozpiętej marynarce raz po raz przebiegał plażę, wykrzykując wśród łkań już całkiem bezmyślnie drogie imię:

– Henriette! Henriette!

Dziewczynki obudziły się i w nocnych koszulkach, wychylone przez okno, przywoływały matkę. Ojciec pobiegł na górę, żeby je uspokoić.

A potem stało się coś tak strasznego, że prawie niepodobna tego oddać słowami, gdyż natura w momentach najwyższego napięcia wydobywa często z człowieka tak wielki tragizm, iż żaden obraz, żadne słowo nie zdoła go odtworzyć. Nagle ów ciężki, tęgi mężczyzna zszedł po skrzypiących schodach z twarzą zmienioną, poszarzałą, a jednocześnie wzburzoną. W ręku trzymał list.

– Proszę wszystkich odwołać! – wymamrotał ledwo zrozumiale do szefa służby hotelowej. – Niech pan odwoła wszystkich ludzi... Już nie trzeba... Moja żona mnie opuściła.

W zachowaniu tego śmiertelnie ugodzonego człowieka widać było nadludzki wysiłek, aby nad sobą zapanować, tak że ci wszyscy, którzy sfoczyli się zaciekawieni i gapili na niego, odwrócili się teraz przerażeni i zmieszani. Starczyło mu tyle jeszcze siły, by przejść chwiejnym krokiem obok nas, nie patrząc na nikogo, i zgasić światło w czytelnicy; po chwili usłyszeliśmy, jak jego ciężkie, masywne ciało padło głucho na fotel i dobiegł nas dziki, zwierzęcy szloch, jaki wydać może tylko ktoś, kto nigdy nie płakał. I ten żywiołowy ból wywarł na każdym z nas, nawet najbardziej maluczkim, oszałamiające wrażenie. Nikt, żaden z kelnerów, żaden z gości, przygnanych tu ciekawością, nie pozwolił sobie na uśmiech czy też wyrazy ubolewania. Bez słowa, jeden po drugim, jakby zawstydzeni tą druzgocącą eksplozją uczuć, wracaliśmy cichutko do naszych pokoi, tylko w ciemnej sali łkał i szlochał powalony nieszczęściem człowiek, sam na sam ze sobą w pełnym szeptów i przyciszonych głosów budynku, w którym raz po raz wygasły światła.

Łatwo zrozumieć, że podobnie niecodzienne zdarzenie, rozgrywające się w naszych oczach, wywarło wstrząsające wrażenie na beztroskich i zajętych zazwyczaj tylko sobą mieszkańców naszego pensjonatu.

Ale burzliwa dyskusja, która tak rozpętała namiętności, że bardziej przypominała kłótnię niż wymianę zdań, oderwała się od punktu wyjścia, jakim było to smutne wydarzenie, i przeobraziła się w jawną walkę sprzecznych poglądów.

Niedyskrecja pokojówki, która przeczytała ów list (zmięty i rzucony na podłogę w bezsilnej pasji przez zdradzonego męża) sprawiła, iż wszyscy dowiedzieli się wkrótce, że pani Henriette wyjechała nie sama, lecz w zмовie z młodym Francuzem (dla którego sympatia szybko zaczęła przygasać).

Było to zresztą zrozumiałe, że ta współczesna madame Bovary wolała młodego i przystojnego eleganta niż otyłego i prowincjonalnego męża. Zastanawiająca jedynie była okoliczność, że nikt z tej rodziny, ani fabrykant, ani jego córki, ani sama pani Henriette nie widział nigdy przedtem niebezpiecznego donжуana. Dwie godziny rozmowy na plaży i filiżanka czarnej kawy w ogrodzie wystarczyły, aby trzydziestotrzyletnia kobieta, o nieskazitelnej opinii, zdecydowała się rzucić męża i dwoje dzieci i pójść na ośleп za nieznanym młodzieńcem.

Ten, jak się zdawało, bezsporny stan rzeczy nasze towarzystwo przy stole wykluczało jednomyślnie: pani Henriette z pewnością utrzymywała od dłuższego czasu stosunek miłosny z młodym Francuzem i oboje uradzili, żeby przyjechał tutaj, na Riwierę, gdzie omówią plan wspólnej ucieczki. Nikt bowiem, tak twierdzono, zdrowy na umyśle nie uwierzy, żeby przyzwoita mężatka po dwugodzinnej znajomości poleciała za pierwszym lepszym.

Bawiło mnie, że mogłem być odmiennego zdania. Zacząłem bronić energicznie nie tylko możliwości, ale i prawdopodobieństwa takiego zachowania się u kobiety, która kisząc latami w nudnym, pozbawiającym złudzeń małżeństwie, gotowa jest wewnątrz poddać się każdemu energiczniejszemu atakowi.

Wskutek mej nieoczekiwanej opozycji dyskusja stała się jeszcze bardziej ożywiona, zwłaszcza iż obydwaj małżeństwa, zarówno włoskie jak i niemieckie, odrzucały istnienie *coup de foudre*¹¹ z obrażającą wprost pogardą, nazywając to „bzdurą” i „wymysłem literackim”.

11 *coup de foudre* (fr.) – miłość od pierwszego wejrzenia

Nie widzę potrzeby raz jeszcze przetrwać tej burzliwej dysputy, toczącej się od zupy do budyniu, ze wszystkimi jej szczegółami: tylko profesjonaliści *table d'hôte*¹² są zawsze dowcipni, argumenty zaś, do których sięga się w gorączce przypadkowej sprzeczki przy stole, są przeważnie banalne, gdyż dobierane byle jak i w pośpiechu. Trudno także wyjaśnić, dlaczego nasz opór przybrał tak szybko formy wręcz obraźliwe; rozdrażnienie, jak przypuszczam, brało się stąd, że obaj mężowie chcieli mieć pewność, że ich własne żony nie będą narażone na podobne mielizny i niebezpieczne wiry życia. Niestety, nie znaleźli dla swych kontrargumentów szczęśliwszej formy niż zarzut, że tak może mówić tylko ten, kto osądza duszę kobiecą na podstawie przypadkowych i jakże łatwych zwycięstw kawalerskich. To już mnie w pewnej mierze oburzyło, a gdy jeszcze pulchna Niemka wtrąciła swoje trzy grosze i okrasila ten wykład pouczającą sentencją, że kobiety dzielą się z natury na żony i „dziwki”, przy czym pani Henriette, zdaniem jej, należy do tej drugiej kategorii – cierpliwość moja wyczerpała się całkowicie i ja ze swej strony także stałem się agresywny.

12 *table d'hôte* (fr.) – ogólny stół w pensjonacie

– Nieuznawanie prawdy tak oczywistej – powiedziałem – jak ta, że są chwile w życiu kobiety, kiedy zdana jest na pastwę tajemniczych sił, niezależnie od swej woli i świadomości, nie jest niczym innym jak ukrywaniem lęku przed własnymi instynktami, przed siłami demonicznymi drzemiącymi w naszej naturze. Niektórym ludziom – dodałem – zdaje się właśnie sprawiać przyjemność uważanie siebie za bardziej czystych moralnie i silniejszych od tych, którzy łatwo „ulegają pokusom”. Moim zdaniem zaś kobieta, która idzie śmiało i swobodnie za głosem instynktu, uczciwsza jest od tej, która z zamkniętymi oczyma zdradza męża w jego własnych ramionach.

Tyle w przybliżeniu powiedziałem, a z im większą irytacją dyskutanci atakowali biedną panią Henriette, tym namiętniej jej broniłem (w gruncie rzeczy wykraczając znacznie poza własne wewnętrzne przekonanie). Ten mój zapal w jej obronie działał na obydwa małżeństwa jak czerwona płachta na byka i choć stanowiły kwartet mało zgrany, atakowały mnie solidarnie z takim zacięciem, że stary Duńczyk, który siedział jak sędzia na meczu futbolowym, nawet ze stoperem w ręce, zmuszony był od czasu do czasu stukać kostką zgiętego palca w stół i upominać:

– *Gentlemen, please!*¹³

Ale i to pomagało nie dłużej niż na chwilę. Trzy razy już zrywał się od stołu jeden z panów, czerwony jak burak, i tylko z wielkim trudem żonie udawało się go uspokoić – słowem, jeszcze dziesięć minut, a nasza dyskusja zakończyłaby się rękoczynami, gdyby nagle mrs. C. nie zabrała głosu, który podziałał łagodząco jak oliwa wylana na wzburzone flukty ogólnej rozmowy.

13 *Gentlemen, please* (ang.) – Panowie proszą was!

Mrs. C., siwa, wytworna starsza pani, Angielka, piastowała na mocy milczącej umowy honorową prezesurę naszego stołu. Siedziała zawsze wyprostowana i do każdego zwracała się z jednakową uprzejmością. Słuchała w milczeniu tego, co inni mówią, z dyskretnym zainteresowaniem; nigdy nikomu nie przerywała i nie zadawała żadnych pytań. Już sam jej wygląd wywierał dobroczynny wpływ na innych: cudowne skupienie i spokój zdawały się promieniować z jej zachowania pełnego arystokratycznej dystynkcji. Trzymała się od wszystkich w pewnej mierze z daleka, chociaż umiała każdemu z osobna okazać delikatnie i taktownie swą uprzejmość. Przeważnie przesiadywała w ogrodzie z książką w ręku, czasem grała na fortepianie, rzadko widywano ją w towarzystwie lub zajętą intensywną rozmową. Ledwie ją dostrzegano – a jednak miała nad nami osobliwą przewagę. I gdy teraz, po raz pierwszy, wtrąciła się do naszej dyskusji, odczuliśmy wszyscy jednocześnie pewien wstyd, że zachowywaliśmy się zbyt hałaśliwie.

Mrs. C. wykorzystała przykrą pauzę, która powstała w chwili, gdy nasz Niemiec zerwał się gwałtownie od stołu, a później żona, po łagodnej perswazji, przyprowadziła go z powrotem. Niespodzianie podniosła swe jasne, szare oczy, zatrzymała się na sekundę na mojej twarzy, po czym podjęła tonem spokojnym i rzeczowym:

– A więc sądzi pan, jeśli pana dobrze rozumiem, że pani Henriette, tak samo jak każda inna kobieta na jej miejscu, mogła wplątać się bez swej winy w awanturę i że trudno czynić ją odpowiedzialną za uczynki, do których w innych okolicznościach nie byłaby zdolna?

– Jestem o tym głęboko przekonany.

– Wobec takiego stanowiska żadne oceny moralne nie miałyby sensu, a wszelkie wykroczenia przeciw dobrym obyczajom byłyby usprawiedliwione. Jeżeli pan rzeczywiście wychodzi z założenia, że *un crime passionel*¹⁴, jak to Francuzi nazywają, nie jest w ogóle *un crime*, to po co istnieje w ogóle jakiś wymiar sprawiedliwości? Wystarczy przecież trochę dobrej woli, a pan – dodała z porozumiewawczym uśmiechem – ma jej aż zadziwiająco wiele, aby w każdym występku doszukać się afektu i w jego imię uniewinnić.

Spokojny i zrównoważony, a zarazem trochę żartobliwy jej ton ujął mnie niezwykle i odpowiedziałem tak samo jak ona pół żartem, pół serio:

– Prawo rozstrzyga o tych sprawach na pewno z większą surowością niż ja. Sąd jest właśnie od tego, by przestrzegać bezlitośnie obowiązujących powszechnie norm i konwencji, i dlatego zmuszony jest częściej wydawać wyroki skazujące niż uniewinniające. Ja zaś, jako człowiek prywatny, nie widzę powodu, dla którego miałbym brać dobrowolnie na siebie rolę prokuratora; wolę być obrońcą. Dla mnie osobiście większą przyjemnością jest rozumienie ludzkich spraw niż ich osądzanie.

Mrs. C. patrzyła mi chwilę prosto w oczy swymi jasnymi, szarymi oczyma i zwlekała z odpowiedzią. Obawiałem się, że nie dość dobrze mnie zrozumiała i przygotowywałem się już, by przetłumaczyć moje słowa na angielski, ale ona mnie wyprzedziła.

Z dziwną powagą, jak podczas egzaminu, zaczęła zadawać mi dalsze pytania:

14 *un crime passionel* (fr.) – zbrodnia w afekcie

– Czy nie uważa pan jednak za brzydkie i godne pogardy, że żona porzuca męża i dwoje dzieci, aby uciec z obcym mężczyzną, o którym nawet nie wie, czy jest wart jej miłości? Czy rzeczywiście znajduje pan usprawiedliwienie dla podobnie lekkomyślnego wybuchu kobiety już przecież nie pierwszej młodości, która choćby ze względu na dzieci powinna mieć trochę więcej godności?

– Powtarzam raz jeszcze – upierałem się – że jeśli chodzi o ten wypadek, to uchylam się od osądzania czy wyrokowania. Pani mogą wyznać spokojnie, że przedtem zagalopowałem się trochę w dyskusji: ta biedna pani Henriette nie jest ani bohaterką, ani awanturnicą, a już na pewno nie jest *une grande amoureuse*¹⁵. Wydaje mi się, o ile ją znam, że to zwykła słaba kobieta, dla której mam szacunek za to, że tak odważnie poszła za impulsem pragnień, ale jeszcze więcej niż szacunku współczucia, gdyż wcześniej czy później poczuje się głęboko nieszczęśliwa. Postąpiła może głupio, na pewno zbyt pochopnie, ale ani podle, ani nikczemnie, i dlatego nie przyznaję nikomu prawa, zarówno teraz, jak i przedtem, obrzucania błotem tego nieszczęśliwego stworzenia.

– A czy pan sam żywi dla niej taki sam szacunek bez żadnej zmiany? Czy doprawdy nie widzi pan różnicy między czcigodną damą, z jaką pan przebywał onegdaj, a lekkomyślną kobietką, która uciekła z pierwszym lepszym?

– Nie widzę żadnej różnicy, najmniejszej, nawet ot, takiej! – odmierzyłem żartobliwie na małym palcu.

– *Is that so?*¹⁶

15 *une grande amoureuse* (fr.) – miłośnica w wielkim stylu

16 *Is that so?* (ang.) – czy rzeczywiście?

Mimo woli przeszła na angielski; ta rozmowa zdawała się ją dziwnie frapować. I znów zamyśliła się nad czymś i dopiero po chwili podniosła na mnie raz jeszcze pytająco szare oczy.

– A gdyby pan spotkał jutro madame Henriette, przypuścimy w Nicei, w towarzystwie tego młodego Francuza, czy ukłoniłby się pan jej?

– Oczywiście.

– I zatrzymałby się pan, żeby z nią porozmawiać?

– Naturalnie.

– A gdyby... gdyby pan był żonaty, czy zapoznałby pan swoją żonę z taką kobietą?

– Z pewnością.

– *Would you really?*¹⁷ – zapytała znów po angielsku ze zdziwieniem pomieszanym z niedowierzaniem.

– *Surely I would*¹⁸ – odpowiedziałem bezwiednie również po angielsku.

Mrs. C. milczała. Rozmyślała nad czymś w skupieniu – i naraz powiedziała, jakby zaskoczona własną odwagą:

– *I don't know if I would. Perhaps I might to do it also.*¹⁹

17 *Would you really?* (ang.) – Zrobiłby to pan naprawdę?

18 *Surely I would* (ang.) – Zrobiłbym bez wątpienia

19 *I don't know if I would. Perhaps I might to do it also* (ang.) – A ja nie wiem, czy bym to zrobiła. Może powinnam uczynić to samo co pan.

I z ową niezawodną pewnością siebie, z jaką tylko Anglicy potrafią zakończyć rozmowę – bezapelacyjnie, ale nie brutalnie, wstała i podała mi dłoń na pożegnanie.

Dzięki niej wrócił przy stole spokój i byliśmy jej wszyscy w duchu wdzięczni, że my, niedawni przeciwnicy, mogliśmy się rozstać bez pogwałcenia form towarzyskich i że niebezpiecznie napięta atmosfera rozładowała się w lekkich żarcikach.

Choć można by sądzić, że dyskusja nasza zakończyła się ostatecznie w duchu rycerskim, to jednak po owym wzajemnym rozgoryczeniu i rozdrażnieniu pozostał pewien osad w stosunkach między nami. Niemiec i jego żona boczyli się na mnie, a Włosi dopytywali przez kilka następnych dni drwiąco, czy nie pisała do mnie „*cara signora Henrietta*”²⁰.

Lojalna i swobodna atmosfera przy naszym stole ucierpiała jednak na skutek tej pamiętnej dyskusji.

20 *cara signora Henrietta* (wł.) – Droga pani Henrietta.

Z wyraźnie wyczuwalną, choć maskowaną dobrymi manierami oziębłością wobec mnie kontrastowały niewątpliwie względy, jakimi darzyła mnie mrs. C. Dawniej rzadko po odejściu od stołu, teraz sama nawiązywała ze mną rozmowę w ogrodzie – co przy jej rezerwie było dowodem szczególnego wyróżnienia. Powiem szczerze: do tego stopnia wykorzystywała każdą okazję, że mogłoby to posłużyć mi za podstawę do dziwnych i zarozumiałych przypuszczeń, gdyby mrs. C. nie była już siwą starszą panią. Przy każdej sposobności niezmiennie wracała do tego samego tematu, to jest do osoby pani Henriette. Wydawało mi się, że sprawia jej jakąś utajoną radość obwinianie tej kobiety, która zapomniała o swych obowiązkach, o lekkomyślność i brak zasad moralnych. Ale zarazem była zadowolona, że moja sympatia dla tego nieszczęsnego stworzenia nie wygasa i że z niesłabnącą energią stoję w jej obronie. Kierowała rozmowę niezmiennie na ten sam temat i w końcu nie wiedziałem już, co mam sądzić o tej dziwnej, uporczywej obsesji.

Minęło kilka dni, pięć czy sześć, a ona wciąż jeszcze nie zdradziła mi ani jednym słowem, dlaczego ten temat jest tak dla niej pasjonujący. O tym jednak, że przykłada wielką wagę do naszych rozmów, przekonałem się, gdy podczas spaceru w ogrodzie wspomniałem mimochodem, że pobyt mój dobiega końca i że mam zamiar wyjechać już pojutrze. Jej gładka, pogodna zazwyczaj twarz jakby stężała na chwilę i cień przemknął po jej szarych, koloru morza oczach, jak chmura.

– Szkoda! – powiedziała szybko. – Miałabym z panem tyle jeszcze do pomówienia!

I od tej chwili zdradzała pewien niepokój. Widać było, że coś ją nurtuje, nie potrafiła w rozmowie ukryć roztargnienia, jakaś natrętna myśl pochłaniała jej uwagę. W końcu myśl ta zaczęła widocznie i jej samej ciążyć, gdyż przerwała nagle milczenie i dość nieoczekiwanie wyciągnęła do mnie rękę.

– Widzę, że nie będę umiała powiedzieć tego, co bym chciała. Spróbuję napisać do pana.

I szybszym krokiem niż zazwyczaj poszła w stronę domu.

Rzeczywiście, wieczorem, tuż przed kolacją, znalazłem w pokoju list skreślony energicznym, wyraźnym pismem. Niestety, obszedłem się z pisemnymi dokumentami mych młodych lat dość lekkomyślnie, tak że nie mogę przytoczyć treści tego listu dosłownie. Mrs. C. zapytywała mnie, czy znajdę chwilę czasu dla niej, gdyż chciałaby mi opowiedzieć o pewnym zdarzeniu z jej życia. Epizod miał miejsce bardzo dawno, można by rzec, iż znalazł się już jak gdyby poza obrębem jej życia, a fakt, że wyjeżdżam już pojutrze, czyni dla niej łatwiejszą rozmowę o sprawie, która od przeszło dwudziestu lat dręczy ją i absorbuje. Jeśli więc nie będę poczytywał tego za natręctwo, będzie mi bardzo wdzięczna za możliwość wypowiedzenia tego, co leży jej na sercu.

List, którego treść notuję tu z grubsza, zafascynował mnie: już sama angielszczyzna nadawała mu wysoką rangę przejrzystości i stanowczości. Toteż odpowiedzieć nań nie było mi łatwo, podarłem ze trzy bruliony, nim zdecydowałem się na ostateczną redakcję:

„Wielki to dla mnie zaszczyt, że zechciała Pani obdarzyć mnie swym zaufaniem, i przyrzekam Pani odpowiedzieć szczerze na wszystkie pytania, jeśli Pani tego ode mnie zażąda. Nie ośmieliłbym się, oczywiście, prosić, aby Pani opowiedziała mi więcej, niż sama uzna za stosowne, ale pragnąłbym, aby zechciała Pani w tym, co mi opowie, być wobec siebie i mnie całkowicie szczerą. Ze swej strony raz jeszcze zapewniam, że zaufanie Jej cenię sobie jak najwyższy zaszczyt”.

Liścik ten wieczorem powędrował do pokoju mrs. C., a następnego ranka otrzymałem odpowiedź:

„Ma Pan całkowitą rację! Połowa prawdy nie liczy się, wartość ma tylko prawda całkowita. Myślę, że uda mi się ani wobec siebie, ani wobec Pana nic nie zataić.

Dziś po kolacji czekam na Pana u siebie. Mając lat sześćdziesiąt siedem można nie obawiać się, że podobne zaproszenie zostanie fałszywie zrozumiane. W ogrodzie czy gdzie indziej, w bliskim sąsiedztwie ludzi, nie potrafiłabym mówić. Niech Pan wierzy – niełatwo przyszła mi ta decyzja”.

Widzieliśmy się jeszcze przy stole, prowadziliśmy uprzejmą konwersację na obojętne tematy, ale gdy spotkaliśmy się przypadkiem w ogrodzie, zauważyłem, że mrs. C. przyśpieszyła kroku na mój widok, wyraźnie zmieszana. Doznałem żenującego, a zarazem wzruszającego uczucia na widok tej siwej pani, szukającej przede mną ucieczki w alei drzew piniowych i onieśmiałonej jak młoda dziewczyna.

Wieczorem, o umówionej godzinie, zapukałem do jej drzwi. Otworzyła mi natychmiast. Pokój tonął w półmroku, tylko mała lampka na nocnej szafce rzucała żółty snop światła. Mrs. C. przywitała się ze mną swobodnie, bez uprzedniego zakłopotania, wskazała mi fotel i usiadła w drugim fotelu naprzeciwko. Czułem, że wszystkie jej ruchy są z góry wystudiowane, a jednak nastąpiła pauza, wyraźnie wbrew jej woli, pauza poprzedzająca trudną decyzję, długa, dłużąca się coraz bardziej, ale nie odważałem się mówić, gdyż czułem, że jej silne postanowienie zmaga się gwałtownie z nie mniej silnym protestem wewnętrznym.

Z salonu na dole dobiegały przytłumione, urywane tony walca. Cały obróciłem się w słuch, ażeby choć trochę ciężaru odjąć przytłaczającemu milczeniu. Widocznie i ona nie mogła znieść tego napięcia, gdyż powiedziała:

– Najtrudniej zawsze zacząć. Od dwóch dni nie mogę myśleć o niczym, tylko o tym, żeby mówić z panem otwarcie i szczerze. Mam nadzieję, że mi się to uda. Niełatwo zapewne zrozumieć, dlaczego panu, obcemu człowiekowi, chcę powierzyć moją tajemnicę. Nie ma dnia, nie ma prawie godziny, żeby to wspomnienie do mnie nie wracało. Dla starej kobiety jak ja jest to ciężar ponad siły tak wpatrywać się wciąż w ten sam punkt, w jeden jedyny dzień minionego życia. Wszystko bowiem to, co się stało, obejmuje dwadzieścia cztery godziny, zaledwie jedną dobę spośród sześćdziesięciu siedmiu lat mego życia. I wciąż uporczywie powraca ta sama myśl, z natręctwem mogącym przyprawić o obłęd: czy to naprawdę takie ważne, że kiedyś zdarzyła się w moim życiu chwila, w której opuścił mnie rozsądek? Ale nie mogę uwolnić się od tego, co język potoczny określa bardzo nieprecyzyjnym pojęciem „wyrzuty sumienia”. Gdy usłyszałam, jak trzeźwo wypowiedział się pan w sprawie Henriette, przyszło mi do głowy, że może wyzwolę się od tych nieustępliwych i bezsensownych samooskarżeń, gdy opowiem panu o tym jednym niezatartym w pamięci dniu mego życia. Gdybym należała do kościoła katolickiego, a nie anglikańskiego, szukałabym ulgi w spowiedzi, ale dla nas ta pociecha jest niedostępna. Podejmuję więc dziś tę osobliwą próbę usprawiedliwienia się przed sobą – w rozmowie z panem. Wiem, że wszystko to jest bardzo dziwne, ale pan przyjął moją propozycję bez wahania i za to jestem bardzo wdzięczna.

Powiedziałam przed chwilą, że chcę opowiedzieć panu historię pewnych dwudziestu czterech godzin z mojego życia. Reszta wydaje mi się bez znaczenia. Moja biografia do czterdziestego drugiego roku życia nie notuje nic niezwykłego. Rodzice byli zamożni, mieli fabryki i dobra ziemskie w Szkocji. Zgodnie z obyczajami angielskiej arystokracji większą część roku spędzaliśmy w naszych posiadłościach, a sezon w Londynie. Mając lat osiemnaście poznałam w domu przyjaciół swojego przyszłego męża; był drugim synem znanej rodziny R. i miał dziesięć lat służby wojskowej za sobą. Po krótkiej znajomości wzięliśmy ślub i kontynuowaliśmy beztroskie życie, jakie prowadziło się w naszej sferze: trzy miesiące w Londynie, trzy miesiące w majątku na wsi, a pozostałe pół roku – podróże, od hotelu do hotelu, Włochy, Hiszpania, Francja... Nigdy nic nie zamąciło prawdziwego szczęścia małżeńskiego, a nasi dwaj synowie dziś są już dorośli.

Mąż mój umarł nagle, gdy miałam lat czterdzieści. Pod zwrotnikami nabawił się schorzenia wątroby: straciłam go po dwóch tygodniach nieopisanych cierpień. Starszy syn był już wówczas w wojsku, młodszy w *college*²¹ – w ciągu jednej nocy zostałam całkowicie osamotniona, a ta samotność po latach harmonijnego współżycia stała się dla mnie straszliwą męką. Pozostawanie choćby przez jeden dzień w opustoszałym domu, w którym każdy przedmiot przypominał tragiczną stratę ukochanego męża, wydawało mi się niepodobieństwem: postanowiłam więc podróżować tak długo, dopóki synowie się nie ożenią i nie założą własnych domów.

21 *college* (ang.) – szkoła z internatem

W gruncie rzeczy uważałam swoje życie za całkowicie bezużyteczne i pozbawione sensu. Mąż, z którym dwadzieścia trzy lata dzieliłam każdą chwilę i każdą myśl, umarł, chłopcom nie byłam potrzebna, obawiałam się, żeby moje przygnębienie i melancholia nie rzuciły cienia na ich młodość – a dla siebie samej nie chciałam już i nie pragnęłam niczego.

Przeniosłam się początkowo do Paryża, zwiedzałam muzea, chodziłam z nudów po wielkich magazynach, ale to miasto, i wszystko dokoła, wydawało mi się obce, a ludzi unikałam, gdyż nie mogłam ścierpieć ich uprzejmie bolesciwych spojrzeń, rzucanych na moje żałobne suknie. Jak przeminęły miesiące tej tułaczki, nie umiałabym już dziś opowiedzieć: pamiętam tylko, że byłam otepiąta, apatyczna i pragnęłam tylko jednego – to jest umrzeć, nie miałam wszakże dość siły, by tę upragnioną śmierć przyspieszyć.

W drugim roku żałoby, a więc w czterdziestym drugim roku życia, w nieustannej ucieczce przed czasem, który już utracił wartość, ale jeszcze nie zaczął przytłaczać ciężarem, pod koniec marca znalazłam się w Monte Carlo. Szczerze mówiąc przygnała mnie tam nuda, nękająca, ssąca pustka wewnętrzna, którą trzeba było nasycić przynajmniej drobnymi podnietami zewnętrznymi. Im węższy był zasięg mego życia uczuciowego, tym bardziej gnało mnie tam, gdzie koło życia wiruje najszybciej. Dla tych, którzy nie mają własnych przeżyć, namiętny niepokój bliźnich stanowi pożywkę dla nerwów podobnie jak teatr lub muzyka.

Z tych właśnie powodów bywałam często w kasynie. Podniecało mnie odczytywanie z twarzy ludzi szczęścia lub rozpacz, gdy w sobie samej znajdowałam tylko przerażającą pustkę. Dawniej mąż mój, chociaż nie miał w sobie żyłki do hazardu, lubił od czasu do czasu zaglądać do sali gry, a ja z pewnym, choć może i niezamierzonym, pietyzmem obserwowałam wiernie wszystkie jego dawne obyczaje.

I tam właśnie, w kasynie, rozpoczęły się owe dwadzieścia cztery godziny, bardziej emocjonujące niż wszelka gra hazardowa; dwadzieścia cztery godziny, które tak zaważyły na reszcie mego życia.

Na obiad zaprosiła mnie księżna M., daleka krewna, a po kolacji nie czułam się jeszcze tak zmęczona, by położyć się spać. Wstąpiłam więc do kasyna, przechadzałam się między stołami, sama nie biorąc udziału w grze, i przyglądałam się graczom w pewien szczególny sposób. Podkreślam: w szczególny sposób, którego nauczył mnie mąż, gdy kiedyś oświadczyłam mu, że nudzi mnie oglądanie wiecznie tych samych twarzy, twarzy starych zasuszonych kobiet, tkwiących godzinami w fotelach, zanim zaryzykują jeden żeton, wyrafinowanych profesjonalistów, szulerów i kokot, całej tej zbieraniny o wątpliwej reputacji, która, jak pan wie, jest o wiele mniej malownicza i romantyczna, niż przedstawiają to brukowe powieści, opisujące to całe mieszane towarzystwo jako *fleur d'élégance*²² Europy.

22 *fleur d'élégance* (fr.) – śmietanka towarzyska

Przed dwudziestu laty, kiedy rzucano na stół prawdziwe pieniądze, kiedy szeleściły banknoty i lśniły luidory, kasyno było o wiele bardziej atrakcyjne niż dzisiaj, gdy w modnie przebudowanym pompatycznym pałacu gry bedekerowska publiczność, bez barwy, bez charakteru, bez nerwów rzuca sztony na zielone sukno, nie przejmując się zbytnio ani przegraną, ani wygraną.

Ale nawet dawniej mało pociągała mnie monotonia ludzkich masek, dopóki mąż, którego hobby stanowiła chiromancja, nie nauczył mnie oryginalnego sposobu obserwowania, o wiele bardziej podniecającego i emocjonującego; kazał mi mianowicie patrzeć nie na twarze, tylko wyłącznie na prostokąt stołu, a potem znowu wyłącznie na ręce ludzi, na ich uzależnione od indywidualności zachowanie.

Nie wiem, czy i pan miał kiedyś przed oczyma zielony blat stołu, nic więcej, tylko ten zielony kwadrat; na środku kulka zatacza się jak pijana od jednej cyfry do drugiej, na przestrzeń zamkniętą czarnymi czworobokami pół spadają jednocześnie banknoty, okrągłe sztuki srebra i złota jak ziarno na zasiew zboża, a zaraz potem grabki krupiera skoszą je za jednym zamachem, półkolistym ruchem, lub podsuną niby snop temu, do którego uśmiechnęła się fortuna.

Gdy patrzeć w ten sposób na graczy, widać, jaką wymowę mają ręce – ruchliwe, wyczekujące, białe nad zielonym stołem, ręce, które wysuwają się pożądliwie to z tego, to znów z innego rękawa, gotowe do skoku jak drapieżny zwierz, różnych kształtów i odcieni, jedne nagie, inne strojne w pierścienie i w brzęczące bransolety, jedne kosmate jak łapy dzikich zwierząt, inne gładkie, wilgotne i wijące się jak piskorz – a wszystkie napięte, drżące, niecierpliwe.

Przypominają mi się wyścigi: tak samo drżą, tak samo wspinają się, tak samo stają dęba konie powstrzymywane siłą, by nie wystartowały przed czasem. Wszystkiego można dowiedzieć się z tych rąk, ze sposobu, w jaki czekają, zagarniają, zawisają w powietrzu. Chciwcy chwytają jak w szpony, marnotrawcy przesiewają między palcami, wyrachowani sięgają po nic bez pośpiechu, zrozpaczeni – nie bez drżenia. Najróżnorodniejsze charaktery ujawniają się błyskawicznie w tym geście brania w posiadanie pieniędzy: jeden zgniata banknoty lub ściska monety w dłoni, inny rozprasowuje je w zamyśleniu; jeszcze inny patrzy na nie szklanym wzrokiem, podczas gdy kulka toczy się po kole rulety.

Znany to truizm, że charakter człowieka ujawnia się w grze, ale jeszcze bardziej zdradzieckie niż twarz są ręce. Wszyscy – czy prawie wszyscy – hazardziści wiedzą o tym, że muszą panować nad twarzą – przywdziewają maskę dystygowanej *impassibilité*²³, zmuszają do posłuszeństwa dygocące wargi, ukrywają podniecenie za zaciśniętymi zębami, zabraniają oczom wyrażać niepokój, zmuszają grające mięśnie twarzy do sztucznej, stylizowanej na wytworność obojętności. Ale właśnie dlatego, że uwaga graczy skupia się na maskowaniu twarzy, zapominają o rękach; nie wiedzą, że z obserwacji ich dowiedzieć się można wszystkiego, co wykrzywione grymasem uśmiechu usta i rozmyślnie obojętne spojrzenia pragnęłyby ukryć i przemilczeć. Nieuchronnie przychodzi bowiem taka chwila, która uspokojone z trudem palce budzi z ich pozornego uśpienia. W tej napiętej do ostateczności sekundzie, kiedy kulka rulety wpada w wyżłobiony rowek i krupier wywołuje cyfrę wygranej, każda z tych stu czy pięciuset rąk wykonuje tylko sobie właściwy, indywidualny ruch, podyktowany najbardziej pierwotnym instynktem.

23 *impassibilité* (fr.) – obojętność

Gdy ktoś tak jak ja nauczył się obserwować tę arenę rąk, temu wciąż inny, za każdym razem nieoczekiwany wybuch różnorodnych temperamentów dostarcza wrażeń bardziej pasjonujących niż teatr czy muzyka. Nie potrafiłabym nawet opisać, ile jest tysięcy odmian rąk ludzkich: są ręce jak dzikie bestie z palcami owłosionymi i zakrzywionymi, które wpijają się w pieniądze jak szpony, są nerwowe, drżące, z bladymi paznokciami, ledwo ważące się dotknąć banknotu, są ręce szlachetne i nikczemne, brutalne i subtelne, chytre i jakby jękające się – ale każda jest inna, gdyż każda para tych rąk wyraża czyjeś inne życie, z wyjątkiem czterech czy pięciu par rąk krupierów. Ich ręce – to automaty funkcjonujące z niewzruszoną precyzją jak stalowe klawisze arytmometru. Ale nawet te trzeźwe dłonie wywierają zadziwiające wrażenie poprzez kontrast do swych opanowanych myśliwską namiętnością braci: stoją na straży, chciałoby się powiedzieć: umundurowane niby policjanci wśród falującego wzburzonego tłumu.

Po paru dniach znałam z widzenia wiele nawyków i pasji poszczególnych rąk. Po kilku wieczorach miałam już wśród nich osobistych znajomych i dzieliłam je jak ludzi na sympatyczne i antypatyczne: niektóre były tak odpychające w swej zaborczości, że odwracałam wzrok, jak od czegoś nieprzyzwoitego. Każda ręka na stole była dla mnie przeżyciem i rozpałała ciekawość: zapominałam często spojrzeć na twarz, na tę nieruchomą zimną maskę konwencjonalnej uprzejmości nad sztywną koszulą smokingową lub olśniewającym kobiecym dekoltem.

Gdy owego pamiętnego wieczora wstąpiłam do sali gry i minawszy dwa stoły, oblepione przez graczy, zmierzałam do trzeciego, mając przygotowanych kilka złotych monet, zaskoczył mnie nagle – w owej charakterystycznej chwili naprężenia, poprzedzającego zatrzymanie się kulki, gdy śmiertelnie znużona waha się jeszcze między dwoma numerami – jakiś dziwny szmer, jakby trzask i chrzęst wyłamywanych stawów. Mimo woli przystanęłam i wtedy ujrzałam, doprawdy z przerażeniem, parę rąk, jakich nigdy dotąd nie widziałam; obie, prawa i lewa, szczepiły się z sobą spazmatycznie, jak dwoje zacierzewionych zwierząt, i z taką zaciekłością zmagaly się z sobą, że stawy palców chrzęściły niby miażdżony orzech. Były to ręce rzadkiej piękności, niezwykle długie, niezwykle wąskie, bardzo białe, o paznokciach delikatnie zaokrąglonych na końcach i perłowego koloru u nasady, z rysunkiem mięśni tak wyraziście uwypuklonym pod napiętą skórą jak w rzeźbie.

Przez cały wieczór patrzyłam na nie – tak, nie mogłam oczu oderwać od tych niepospolitych, jedynych w swoim rodzaju rąk – i zrozumiałam, co mnie tak w pierwszej chwili zaskoczyło i przerażyło. Był to ich wyraz: namiętność, obłędna pasja, konwulsyjne splatanie się i rozrywanie zaciśniętych palców. Ten człowiek – zrozumiałam od razu – wtłoczył w koniuszki palców całą swą namiętność, gdyż inaczej rozsadziłaby go od wewnątrz.

W pewnej chwili, gdy kulka z suchym trzaskiem uderzyła o dno rulety i krupier wywołał cyfrę, para splecionych rąk opadła jak dwoje zwierząt, przestrzelonych jedną kulą. Opadły, obie naprawdę umarłe, nie tylko do ostateczności wyczerpane, z tak plastycznym wyrazem zwiotczenia, rozczarowania, porażenia, wykończenia, że nic umiem tego wyrazić słowami. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałam rąk tak pełnych ekspresji, każdy mięsień był jak żywe usta, a napiętość tryskała prawie dotykalnie wszystkimi porami. Chwilę spoczywały na zielonym suknie, martwe i rozpląszczone jak meduzy wyrzucone na brzeg morza. Po chwili jedna, prawa, zaczęła prostować się z trudem, skuliła się, okręciła wokół własnej osi, zatoczyła koło, w końcu chwyciła nerwowo żeton i przetoczyła go niezdecydowanie między dwoma palcami, kciukiem a wskazującym, jak małe kółko. I naraz zgięła się w koci grzbiet i niby pantera skoczyła, cisnęła, wypłuła stufrankowy żeton na czarne pole. Jednocześnie jak na dany sygnał podniecenie udzieliło się beczynnej i jakby śpiącej lewej dłoni; zbudziła się i skradając podpełzła do bezsilnej, już zmęczonej poprzednim wysiłkiem bliźniaczki i obie leżały teraz rozdygotane obok siebie, obie uderzały bezgłośnie o blat stołu, tak jak szcękają zęby w dreszczu gorączki. Nic, nigdy, nigdy jeszcze nie widziałam u nikogo rąk tak ogromnie wyrazistych, nigdy nie widziałam tak doprowadzonego do ostateczności podniecenia!

Już nic nie istniało dla mnie w tej wysoko sklepionej sali. Gwar rozmów, szelest kroków kręcących się tam i z powrotem ludzi, jarmarczne wykrzykiwania krupierów, szmer kulki, która, ciśnięta z góry, skakała jak opętana po okrągłej, gładkiej niby parkiet klatce – wszystkie te różnorodne, migotliwe, hałaśliwe, drażniące nerwy wrażenia wydały się naraz martwe w porównaniu z dwojgiem drżących, dyszących, wyczekujących, rozdygotanych rąk, tych dwóch nieopisanie wymownych dłoni, od których nie mogłam oderwać oczu jak zakłeta.

Trudno mi było wytrzymać już dłużej; musiałam zobaczyć jego twarz, musiałam zobaczyć człowieka, do którego należały te urzekające, magiczne ręce, i z lękiem – tak jest, z lękiem, bałam się jednak tych rąk! – oczy moje powędrowały z wolna w górę wzdłuż rękawów, wyżej, aż po szczupłe barki. I znów wzdrygnęłam się, gdyż twarz ta mówiła tym samym nieokiełznanym, fantastycznie natężonym językiem co ręce, dzieliła zaciekłość wyrazu z taką samą subtelną i prawie kobiecą urodą. Nigdy jeszcze nie widziałam twarzy do tego stopnia obnażonej. Miałam pełną sposobność obserwowania jakby maski bez oczu: ani w prawo, ani w lewo, ani na sekundę nie odrywało się od jednego punktu oko niby urzeczone. Jak zastygła, czarna, martwa kulka szklana tkwiła źrenica pod wysoko uniesioną powieką niczym lustrzane odbicie tej drugiej kulki o barwie mahoni, która beztróska i szaleńczo tańczyła i podskakiwała na okrągłym dnie rulety. Nigdy – muszę to raz jeszcze powtórzyć – nie widziałam podobnie napiętej, do takiego stopnia zafascynowanej twarzy.

Twarz ta należała do młodzieńca, lat około dwudziestu czterech, była wąska, delikatna, nieco podłużna i niezmiernie wyrazista. Podobnie jak ręce była jeszcze nie całkiem dojrzała, przypominała raczej twarz porwanego żywiołem gry chłopca – ale to wszystko zauważyłam dopiero później, w tej chwili właściwy jej wyraz ginął całkowicie pod naporem żądy.

Cienkie, wyschnięte usta odsłaniały do połowy zęby: z odległości dziesięciu kroków można było widzieć, jak uderzają febrycznie jeden o drugi między zdrętwiałymi wargami. Promień jasnoblond włosów przykleił się do wilgotnego czoła, nozdrza drgały nieustannie, jak gdyby pod skórą przelatywały niewidoczne drobne fale. Głowa wysuwała się bezwiednie coraz bardziej ku przodowi, jakby porwana w krąg wirującej kulki, i teraz dopiero zrozumiałam sens tego konwulsyjnego zaciskania rąk; tylko dzięki temu przeciwcisnieniu, tylko dzięki temu skurczowi wychylające się z punktu ciężkości ciało utrzymywało jeszcze równowagę.

Nigdy dotąd – jeszcze raz muszę to powtórzyć – nie widziałam w twarzy ludzkiej takiej pasji, takiej niczym nie osłoniętej, zwierzęcej, bezwstydnie nagiej namiętności. I wpatrywałam się w nią, w tę twarz tak samo porwaną jej opętaniem jak jego spojrzenie było opętane skokami i drgawkami kołującej kulki. Od tej chwili nie widziałam nic więcej w tej sali, wszystko inne wydawało się blade, matowe, zamazane i ciemne w porównaniu z tą twarzą. Nie zwracając uwagi na innych obserwowałam, może przez godzinę, tylko tego człowieka i każdy jego gest: w pewnej chwili jakby ostre światło trysnęło z jego oczu, spazmatyczny kłęb rąk rozerwał się niby pod działaniem eksplozji, drżące palce rozluźniły się i sięgnęły łączywie po dwadzieścia złotych monet, które podsunęły mu grabki krupiera. W tym samym momencie twarz mu się rozjaśniła, zmarszczki wygładziły, oczy rozbłysły, ciało wychylone ku przodowi uniosło się lekko i sprężyste w górę – siedział teraz swobodnie jak jeździec na koniu, wyniesiony triumfem, a palce jego miłośnicie i chępliwie pobrzękiwały okrągłymi monetami, przytękały jedna o drugą, igrały nimi, dzwoniły dla zabawy.

Naraz odwrócił głowę znów niespokojnie; przebiegł wzrokiem zielony stół, z rozdętymi nozdrzami jak młody wyżeł, szukający właściwego tropu, i szybkim rzutem cisnął cały kopczyk złotych monet na jeden z prostokątów. I znów rozpoczęło się to czatowanie i napężenie. Znów zadrgały wargi, jakby pod skórą przebiegały drobne fale elektryczne, znów zwały się kurczowo ręce, chłopięcą twarz przesłonił wyraz pożądlivej nadziei, dopóki napięcie nie rozładowało się, gwałtownie ustępując miejsca rozczarowaniu. Twarz, przed chwilą jeszcze młodzieńczo podniecona, postarzała się i zwiędła, oczy przygasły i otepiały, a wszystko to stało się w ciągu jednej sekundy, tylko dlatego, że kulka nie stanęła na upragnionej cyfrze.

Przegrał. Parę sekund patrzył przed siebie wzrokiem niemal osłupiałym, jak gdyby nic nie rozumiał, ale po chwili, na pierwsze jakby podcinające biczem wezwanie krupiera, palce jego wydarły z kopczyka parę sztuk złota. Lecz utracił już dawną pewność siebie, postawił najpierw monety na jednym polu, później, po chwili namysłu, na drugim, a gdy kulka była już w ruchu, cisnął drżącą ręką – idąc widocznie za nagłym porywem – jeszcze dwa zmięte banknoty na *carré*²⁴.

Ta zmienna kolejność przegranych i wygranych ciągnęła się blisko godzinę, a ja w ciągu tej godziny na mgnienie oka nie odwracałam wzroku od tej ustawicznie zmieniającej się twarzy, na której odbijały się stale przyipywy i odpływy namiętności. Nie spuszczałam z oczu tych magicznych rąk, które odtwarzały plastycznie wznoszącą się i opadającą niby wodotrysk skalę uczuć. Nigdy w teatrze nie przyglądałam się twarzy żadnego aktora z takim zainteresowaniem, z jakim wpatrywałam się w tę twarz, na której, niby światła i cienie nad krajobrazem, przebiegało nieustanne falowanie uczuć. Gdyby ktoś obserwował mnie w tym momencie, to moje uparte patrzenie w jeden punkt mógłby wziąć za hipnozę, i ten stan kompletnego odurzenia, w jakim byłam, rzeczywiście przypominał hipnozę. Wydawało mi się, że wszystko inne na tej sali: światła, ludzie, śmiechy, spojrzenia – pochłoneńta bezkształtna żółta mgła, wśród której unosiła się tylko ta jedna twarz niby płomień.

24 *carré* (fr.) – kwadrat złożony z czterech cyfr, na który można stawiać w rulecie

Nie słyszałam nic, nie czułam nic, nie spostrzegałam ludzi przepychających się przede mną ani innych rąk, wysuwających się jak macki, by zgarnąć lub rzucić pieniądze. Nie widziałam kulki, nie słyszałam głosu krupiera, a przecież wiedziałam, co się dzieje na sali, miałam to przed sobą w mimice tych rąk odbite i zwielokrotnione niby we wklęsłym zwierciadle. Byłam dokładnie poinformowana o tym – nie patrząc – czy kulka toczy się, czy stoi, czy zatrzymała się na *rouge*, czy na *noir*. Wszystkie fazy gry, wygrana lub przegrana, wyczekiwanie lub rozczarowanie ognistą iskrą przelatowały po rozpalonej namiętności twarzy gracza.

Aż wreszcie przysła straszna chwila, której obawiałam się cały czas i która jak burza wisiała nad moimi napiętymi nerwami, aż nagle przeszła je gromem. Znów kulka potoczyła się z drobnym, sypkim klekotem po okrągłej tarczy, znów zadrgała w powietrzu owa chwila, kiedy to dwieście ust czeka z zapartym tchem, aż odezwie się głos krupiera. Tym razem ogłosił: „Zero”, a jego czekające w pogotowiu grabki już zgarniały ze wszystkich stron brzęczące monety i szeleszczące papierki.

W tej samej sekundzie obie splecione kurczowo ręce wykonały ruch świadczący o szczególnym zatrwożeniu, jakby podskoczyły, by chwycić coś, czego nie ma, i opadły śmiertelnie znużone. Po chwili jednak ożyły, oderwały się od stołu i gorączkowo przebiegły po całym ciecie, wspinały się jak dzikie koty po pniu drzewa, wyżej, niżej, w prawo, w lewo, myszkowały nerwowo po wszystkich kieszeniach, szukając, czy nie ukrył się gdzieś zapomniany banknot. Lecz wracały z tej wędrówki wciąż z niczym – i coraz bardziej gorączkowo podejmowały te bezsensowne, bezowocne poszukiwania – a tymczasem tarcza rulety znów wirowała, gra toczyła się dalej, dzwoniły monety, trzeszczały fotele i tysiączne drobne szmery i szelesty wypełniały gwarem salę. Ciarki przebiegły mi po plecach; czułam się tak, jakby to moje własne palce tak rozpaczliwie przetrząsały kieszenie i zakamarki mojej pogniecionej sukni.

Nagle człowiek siedzący naprzeciwko mnie wstał tak gwałtownie jak ktoś, komu zabrakło tchu. Odsunięte krzesło przewróciło się z łoskotem, ale on tego nie spostrzegł. Nie zwracając uwagi na sąsiadów, którzy z niepokojem i zdziwieniem ustępowali mu z drogi, chwiejnym krokiem odszedł od stołu.

Na ten widok skamieniałam. Domyśliłam się od razu, że ten człowiek idzie – ku śmierci. Kto wstaje w ten sposób od stołu gry, ten nie wraca do hotelu, nie idzie napić się wina, nie śpieszy do kobiety ani na pociąg, nie wraca do żadnej z istniejących form życia – lecz za chwilę runie w bezdenną przepaść.

Największy nawet cynik w tej piekielnej jaskini gry poznałby niezawodnie, że ten człowiek nie ma nigdzie ani w nikim oparcia, ani w domu, ani w żadnym banku, ani u krewnych, że grał za ostatnie pieniądze; że stawką było jego własne życie, i że teraz idzie przed siebie jak lunatyk, bez celu, prosto w śmierć. Od pierwszej chwili trapił mnie lęk, że tak się właśnie skończy, przeczuwałam intuicyjnie, że w grę wchodzi tu coś ważniejszego niż wygrana lub przegrana pieniędzy, a jednak uderzyło we mnie jak grom, gdy zobaczyłam, jak życie ucieka z jego oczu i jak kredowo biała jest ta twarz, przed chwilą tak jeszcze ożywiona. Mimo woli – tak jakbym przejęła od niego wyraziste gesty – kurczowo zacisnęłam ręce, a widząc, jak ten człowiek toruje sobie drogę, słaniając się i zataczając, czułam, że i mnie udziela się ta jego słabość, podobnie jak przedtem przenikało w moje żyły i nerwy jego napięcie.

A potem coś mnie poderwało; musiałam pobiec za nim, choćbym nie chciała; nogi same mnie poniosły.

Stało się to mimo mej woli, coś mnie popchnęło, ażebym, nie zważając na nikogo, nie zastanawiając się nad tym, co robię, pobiegła za nim do hallu.

Stał przy szatni, portier przyniósł mu płaszcz. Ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa: portier usłużnie pomógł mu wciągnąć rękawy jak sparaliżowanemu. Widziałam, że machinalnie sięgnął do kieszeni od marynarki po drobne na napiwek, lecz i tym razem palce jego wróciły z niczym. Widocznie znów wszystko mu się przypomniało, gdyż wymamrotał parę słów zakłopotany, i znów, tak samo jak przedtem, skoczył gwałtownie przed siebie. Po chwili zstępował ze schodów kasyna chwiejnym krokiem jak pijany. Portier odprowadzał go jeszcze chwilę wzrokiem, z uśmiechem najpierw pogardliwym, a potem dopiero – pełnym zrozumienia.

W jego postawie było coś tak wstrząsającego, iż ogarnął mnie wstyd, że oglądam czyjąś rozpacz jak na scenie, lecz po chwili niewytłumaczony strach znów pogał mnie przed siebie. Szybko kazałam podać sobie płaszcz z szatni i nie myśląc o niczym, machinalnie wybiegłam za tym człowiekiem w mrok nocy.

Mrs. C. przerwała na chwilę swą opowieść. Siedziała w fotelu naprzeciwko mnie i mówiła prawie bez pauzy, z właściwym sobie spokojem i zrównoważeniem, tak właśnie jak ktoś, kto przygotował się wewnątrz i uporządkował w pamięci kolejność wydarzeń. Teraz zatrzymała się po raz pierwszy i wypadając z toku opowiadania zwróciła się wprost do mnie:

– Obiecałam zarówno panu, jak i sobie – zaczęła z pewnym niepokojem – że będę mówiła o wszystkim całkowicie szczerze. Ale teraz i ja muszę poprosić, ażeby pan dał pełną wiarę mojej szczerości i nie doszukiwał się w moim postępowaniu przemilczanych motywów, których dziś wstydziłabym się może. Muszę więc z naciskiem zaznaczyć, że gdy wybiegłam na ulicę za tym skrachowanym graczem, to wcale nie dlatego, że byłam w nim zakochana. Nie myślałam o nim wcale jak o mężczyźnie i doprawdy, dla mnie, wówczas kobiety czterdziestoletniej, odkąd owdowiałam, nie istniał żaden mężczyzna, te sprawy były dla mnie skończone ostatecznie. Czuję się zmuszona powiedzieć to panu wyraźnie, gdyż inaczej nie zrozumiałby pan dalszego przebiegu wypadków w całej ich przerażającej prawdzie.

Trudno mi wprowadzić nazwać po imieniu to uczucie, które pchnęło mnie wówczas tak gwałtownie do tego nieszczęsnego chłopca. Była w nim ciekawość, ale przede wszystkim był potworny strach, czy też strach przed czymś potwornym, czymś co od pierwszej chwili jak chmura wisiało nad tym młodym człowiekiem. Podobnych uczuć nie można przecież rozłożyć na części już choćby dlatego, że są zbyt spontaniczne i zbyt impulsywne, prawdopodobnie nie kierowało mną nic innego jak instynktowny odruch pomocy, taki sam, jaki wywołuje widok dziecka biegnącego pod samochód.

Czy można wyjaśnić na przykład, dlaczego ludzie nie umiejący pływać rzucają się z mostu na pomoc tonącemu? Ciągnie ich po prostu jakaś magiczna siła, to ona pcha ich do skoku, nie mają czasu zastanawiać się nad bezsensowną śmiałością podobnie ryzykownego czynu. Tak właśnie i ja, nie zastanawiając się nad tym, co robię, wybiegłam za nim z sali gry do hallu, a z hallu do parku.

Jestem pewna, że ani pan, ani nikt, kto ma czujące serce i otwarte oczy, nie pokonałby w sobie niepokoju i ciekawości, gdyż trudno wyobrazić sobie coś bardziej niesamowitego niż widok młodzieńca lat najwyżej dwudziestu czterech, wlokącego się po schodach z wysiłkiem jak starzec, ślaniającego się jak pijany, jak człowiek, który ma poprzetręcane lub połamane kończyny.

W parku padł na ławkę ciężko jak worek. Pomyślałam z dreszczem zgrozy: ten człowiek jest skończony. Tak bezwładnie pada tylko ciało, w którym mięśnie nie trzymają się już żywych więzadeł. Głowa, przechylona na ukos, opadła w tył poprzez poręcz ławki, ręce zwisały zwiotczałe i bezkształtne wzdłuż ciała, w półmroku nikle migocącej latarni wyglądał jak trup. I wtedy – nie umiem wyjaśnić sama, jak powstała przede mną ta straszliwa wizja – ale naraz stanął mi przed oczyma przerażająco realistyczny widok – tak, zobaczyłam go przed sobą zabitego, z przestrzeloną skronią, miałam niezbitą pewność, że ten człowiek nosi w kieszeni rewolwer i że jutro znajdą jego ciało rozciągnięte na tej czy innej ławce, bez życia, zbryzgane krwią. Cekał go kres tak samo nieunikniony, jaki czeka spadający kamień, który leci w dół i nie zatrzyma się, zanim nie dotrze do dna przepaści. Nigdy w życiu nie widziałam takiego wyrazu znużenia i rozpaczki już w samym układzie ciała jak u tego człowieka.

Proszę pomyśleć: stoję w odległości dwudziestu czy trzydziestu kroków od ławki, na której pólleży bez ruchu człowiek, złamany moralnie i fizycznie, i nic wiem, co dalej zrobić. Z jednej strony gnała mnie chęć pomocy, z drugiej powstrzymywała wpajana od dzieciństwa, odziedziczona czy wrodzona nieśmiałość, nie pozwalająca zacześcić obcego człowieka na ulicy.

Latarnie gazowe migotały mętnie pod zachmurzonym niebem, z rzadka przemknął jakiś przechodzień, było już blisko północy; czułam się całkiem bezradna w tym parku, sam na sam z niedoszłym samobójcą.

Pięć, dziesięć razy próbowałam zbliżyć się do ławki i za każdym razem cofałam się znowu, hamowana wstydem, a może też owym instynktownym przeczuciem, że ten, co spada w przepaść, pociąga za sobą i tego, który chce mu pomóc. Pełna wahania, zdawałam sobie jednocześnie sprawę z nedorzecznosci i śmieszności tej sytuacji. Nie mogłam jednak ani się przemóc, ani odejść, ani coś przedsięwziąć, ani go zostawić. Nie wiem, czy pan uwierzy, ale stałam tak długo, może godzinę, nieskończenie długą godzinę – a czas odmierzał plusk fal niewidocznego stąd morza. Tak trzymał mnie w uwięzi obraz całkowitej zagłady tego człowieka.

Nie mogłam zdobyć się na odwagę i pewno stałabym pół nocy niezdecydowana, czy też może w końcu egoizm podsunąłby rozsądniejszą decyzję i kazał wrócić do domu – tak, wydaje mi się nawet, że byłam już gotowa zostawić tego człowieka, żywy obraz nędzy i rozpacz – gdy wtem zaszło coś nieprzewidzianego, coś, co zmusiło mnie do rozstrzygnięcia: mianowicie zaczął padać deszcz. Cały wieczór już wiatr zganiał nad morze ciężkie, parne chmury wiosenne – płuca, serce czuły, że niebo opuściło się bardzo nisko – nagle zaklaskało kilka kropel, a po chwili lunął rześisty deszcz.

Instynktownie ukryłam się pod daszkiem kiosku, ale choć ostoniłam się parasolką, porywisty wiatr zlewał mnie strugami wody. Twarz i ręce zbryzgiwał miazgi, zimny pył wodny od rozpryskujących się na ziemi z pluskiem kropli.

Ale i ta ulewa – dziś jeszcze, po dwudziestu latach, gdy przypomnę sobie, czuję skurcz w gardle – nie wpłynęła na nieszczęsnego młodzieńca. Siedział nadal na ławce, bez ruchu, odrętwiały. Ze wszystkich stron chlupała i bulgotała woda, od miasta dobiegał turkot, tu i ówdzie przemykały się postacie w podkasanych płaszczach, kto żyw, uciekał, kulił się, szukał dachu nad głową, ludzie kryli się przed szalejącym żywiołem – tylko ten czarny strzęp człowieka trwał nieporuszony, nie reagował na nic.

Wspominałam już panu przedtem, że człowiek ten miał czarodziejski dar wyrażania plastycznie swych uczuć każdym gestem, każdym ruchem. Ale nic na świecie nie mogło bardziej wstrząsająco wyrazić rozpacz, całkowitej prostracji, obojętności żywego trupa niż to siedzenie bez ruchu – na ławce, pod strugami ulewnego deszczu – człowieka zanadto znużonego, ażeby wstać, zrobić parę kroków i znaleźć się pod ochronnym daszkiem. Żaden rzeźbiarz, żaden poeta, Michał Anioł czy Dante, nic odtworzyłby nigdy wyrazu tak ostatecznej rozpacz, dna nędzy ziemskiej, jak ten oto żywy człowiek, który poddawał się żywiołowi, zanadto bierny i zmęczony, by szukać schronienia.

Ten widok podziałał na mnie jak smagnięcie biczem. Jednym susem przebiegłam pod siekącymi różgami deszczu, przypadłam do ławki i potrząsnęłam nim jak przemoczoną tłumokiem.

„Niech pan stąd idzie!”.

Szarpnęłam go za ramię. Zdawało mi się, że ocknął się z odrętwienia. Jakiś odruch narastał w nim z wolna – ale nie rozumiał jeszcze, czego od niego chce.

„Niech pan stąd idzie!” – szarpnęłam raz jeszcze za mokry rękaw już prawie ze złością.

Podniósł się, zachwiał.

„Czego pani chce ode mnie?” – zapytał, a ja nie miałam na to odpowiedzi.

Nie wiedziałam sama, co z nim zrobić. Chciałam uchronić go tylko przed zimną przejmującą ulewą, chciałam wyprowadzić z tego bezsensownego, samobójczego stanu ostatecznej rozpacz. Nie zwalniając ręki pociągnęłam go za sobą, nie opierał się, przeszliśmy niewielką przestrzeń dzielącą ławkę od kiosku, którego wąski wystający daszek przynajmniej do pewnego stopnia zabezpieczał przed wściekłymi atakami rozpętanych żywiołów. Co będzie dalej, nie wiedziałam, nie miałam żadnych planów. Ściągnąć tego człowieka w suche miejsce, pod jakiś dach – w pierwszej chwili myślałam tylko o tym, o niczym więcej.

I tak staliśmy obok siebie, na wąskim skrawku suchej ziemi, mając za plecami ścianę budki, a nad głowami zbyt mały daszek, pod który przenikał podstępnie gwałtowny deszcz i wraz z nagłymi podmuchami porywistego wichru chlustał nam w twarz garście zimnej wody.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Nie mogłam przecież tak stać dłużej obok tego ociekającego wodą obcego mężczyzny. Ale nie mogłam też iść sobie i zostawić go bez słowa, skoro go już tu ściągnęłam. Trzeba było znaleźć jakieś wyjście: zaczęłam stopniowo wdrażać się z powrotem do logicznego myślenia. Najprościej byłoby znaleźć fiakra, odwieźć go do domu i pojechać potem do siebie; jutro już jakoś da sobie radę. Zapytałam więc stojącego obok mnie człowieka, wpatrzonego szklanym wzrokiem w ciemność nocy:

„Gdzie pan mieszka?”.

„Nie mam mieszkania... przyjechałem dopiero dziś wieczorem z Nicei... Do mnie nie można przyjść”.

Ostatniego zdania nie rozumiałam w pierwszej chwili. Później dopiero zorientowałam się, że wziął mnie... za kokotę, za jedną z tych, których mnóstwo kręci się w nocy przed kasynem, w nadziei, że uda im się wyciągnąć jeszcze trochę gotówki od szczęśliwych graczy lub pijanych mężczyzn. Cóż w tym dziwnego, że pomyślał to samo o mnie?

Cóż innego w końcu mógł pomyśleć, skoro dopiero teraz, kiedy opowiadam panu to wszystko, czuję, jak niewiarygodna, jak dwuznaczna była moja sytuacja. Cóż innego miał pomyśleć, skoro sposób, z jakim sięgnęłam go z ławki, naprawdę nic licował z zachowaniem damy z towarzystwa?

Ale ta myśl nie od razu przysłała mi do głowy. Dopiero później, zbyt późno, zaświtało mi w głowie, że padłam ofiarą strasznego nieporozumienia. W przeciwnym razie nie wypowiedziałabym następnych z kolei słów, które mogły go tylko utwierdzić w błędzie. Rzekłam mianowicie:

„W takim razie trzeba będzie wziąć pokój w jakimś hotelu. Tutaj pan przecież nie może zostać. Musi pan mieć jakiś dach nad głową”.

I wtedy właśnie rozumiałam tę bolesną omyłkę, gdyż on nie odwrócił się nawet do mnie, machnął tylko ręką z wyrazem drwiącej wyższości.

„Nie, niepotrzebny mi pokój, nic mi już nie trzeba. Nie zadawaj sobie trudu, moja mała, ze mnie i tak nic nie wyciągniesz. Zwróciłaś się pod niewłaściwy adres. Nie mam pieniędzy”.

Powiedział to z przerażającą obojętnością. Lecz fakt, że ten przemoczony, ociekający wodą, wyczerpany do ostateczności człowiek stoi tak biernie pod okapem budki, wstrząsnął mną tak silnie, iż obrażanie się uważałabym za głupie i małostkowe. Miałam tylko jedno uczucie, to, które targnęło mną od pierwszej chwili na jego widok, gdy ślaniając się wychodził z sali gry, i którego doznawałam nieustannie w ciągu tej nieprawdopodobnej godziny: oto człowiek, młody, żyjący, oddychający, stoi o krok od śmierci, a ja muszę go wyratować.

Przybliżyłam się do niego.

„Proszę nie martwić się o pieniądze i pójść ze mną! Tutaj nie może pan przecież zostać. Już ja pana gdzieś ulokuję. Niech pan się o nic nie martwi i idzie ze mną!”.

Odwrócił głowę, czułam, że po raz pierwszy – a deszcz bębnił głucho i z daszku spływała z chłupotem woda, tworząc u naszych nóg kałużę – wyteżył w ciemności wzrok, żeby ujrzeć moją twarz. I jego ciało także zdawało się z wolna budzić z letargu.

„No, jak chcesz – rzekł, poddając się. – Wszystko mi jedno... Ostatecznie, dlaczego nie? Chodźmy”.

Otworzyłam parasolkę, szliśmy obok siebie, wziął mnie pod rękę. Ta nagła poufałość była mi bardzo nieprzyjemna, wprawiała w przerażenie aż do głębi serca. Ale nie miałam odwagi zabraniać mu czegokolwiek. Gdybym go teraz odepchnęła, runąłby w przepaść bezpowrotnie i wszystkie dotychczasowe wysiłki poszłyby na marne.

Szliśmy z powrotem w stronę kasyna. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nie wiem doprawdy, co z nim począć. „Najlepiej byłoby – rozważałam szybko – zaprowadzić go do hotelu, wcisnąć mu pieniądze do ręki, tak żeby mógł tam przenocować, a jutro niech jedzie do domu”. Tak też postanowiłam. Dalszych planów nie miałam.

Powozy zajężdżały spiesznie przed kasyno, przywołałam jeden z nich, wsiedliśmy. Na zapytanie fiakra, dokąd ma jechać, nie wiedziałam w pierwszej chwili, co odpowiedzieć. Ale gdy uświadomiłam sobie, że człowiek w ociekającym wodą, zaszarganym ubraniu i z tak błędnym wzrokiem jak on nie dostanie miejsca w żadnym przyzwoitym hotelu – z całą naiwnością kobiety niedoświadczonej, nie zdając sobie sprawy z wulgarności podobnej dyspozycji, odpowiedziałam:

„Do byle jakiego hotelu”.

Fiakier, obojętny, przemoczony na deszczu, zaciął batem konia. Nieznajomy siedział obok mnie i milczał, koła zamkniętego powozu turkotały, deszcz klaskał w szyby. Czułam się w tym ciemnym, podobnym do trumny czworokątnym pudle, jakbym wiozła trupa. Szukałam w myśli jakiegoś słowa, aby przerwać to dziwaczne i zatrważające milczenie, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Po kwadransie powóz zatrzymał się, wysiadłam pierwsza, zapłaciłam Fiakrowi, a on zatrzasnął za mną flegmatycznie drzwiczki. Stanęliśmy przed wejściem do jakiegoś małego hoteliku, nad nami wznosił się oszklony daszek, zabezpieczając małą skrawek przestrzeni przed deszczem, który z obrzydłą monotonią siepał wśród nieprzeniknionej czerni.

Nieznajomy oparł się całym ciężarem ciała o ścianę, z jego mokrego kapelusza i z pogniecionego płaszcza ściekała woda. Jak topielec wyciągnięty z rzeki stał, jeszcze nie całkiem oprzytomniały na suchym skrawku, na którym po chwili utworzyła się kałuża. Ale nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby się otrząsnąć, żeby choć zdjąć kapelusz, z którego krople kapały mu na czoło i twarz. Był całkowicie apatyczny i nie umiem opisać, jak paraliżowała mnie ta jego nieczułość i martwota.

Postanowiłam przełamać tę bierność. Sięgnęłam do torebki.

„Proszę, oto sto franków – powiedziałam. – Niech pan zapłaci za pokój, a jutro proszę wracać do Nicei”. Spojrzał na mnie zdziwiony.

„Obserwowałam pana w kasynie – nalegałam w dalszym ciągu, widząc jego wahanie. – Przegrał pan wszystko i obawiam się, żeby pan nie popełnił jakiegoś głupstwa. To nie wstyd pozwolić przyjść sobie z pomocą... No, niech pan weźmie”.

Lecz on odsunął rękę z energią, o jaką bym go nie posądzała.

„Dobre z ciebie stworzenie – powiedział – ale nie trwoń pieniędzy. Mnie już pomóc nie można. Czy prześpię jeszcze tę noc, czy nie, to całkowicie obojętne. Jutro i tak będzie koniec. Mnie już pomóc nie można”.

„Nie, pan musi przyjąć – nie ustępowałam – jutro będzie pan myślał inaczej. Niech pan idzie na górę i prześpi się dobrze. W świetle dziennym wszystko wygląda inaczej”.

I usiłowałam znowu wcisnąć mu do ręki pieniądze, ale on odsunął moją dłoń niemal przemocą.

„Daj spokój – powtórzył raz jeszcze głucho – to nie ma sensu. Lepiej nawet, żebyś zrobił to na ulicy. Po co walać krwią meble? Sto franków mi nie pomoże, ani tysiąc także. Jutro znów pójde do kasyna z ostatnim frankiem w kieszeni i nie wstaną od stołu, dopóki nic przegram wszystkiego. Po co zaczynać od początku? Mam tego dość!”.

Trudno wyobrazić sobie, jak bardzo targnął mną ten bezdzwięczny głos. Proszę pomyśleć: o dwa kroki przede mną stoi młody chłopiec, mówi, myśli, oddycha, i jeśli nie wyteżą wszystkich sił, to nie uchronią go od śmierci.

Ogarnęła mnie złość, wściekłość, pragnienie, by przełamać ten niedorzeczny upór. Chwycałam go za ramię:

„Dość tych bredni! Pójdzie pan teraz na górą, wynajmie pokój, a jutro rano wstąpią i odwiozą pana na dworzec. Musi pan stąd wyjechać i jutro wrócić do domu! Nie ustąpią, dopóki nie zobaczą pana w pociągu z biletem w ręku. Odbierać sobie życie w pańskim wieku, dlatego że przegrało się kilkaset czy tysiąc franków, to tchórzostwo, to głupia histeria! Jutro pan sam przyzna mi rację!”

„Jutro! – powtórzył, z dziwnie ponurym i ironicznym akcentem. – Jutro! Gdybyś wiedziała, gdzie będą jutro! Gdybym sam wiedział, a jestem właściwie ciekaw. Nie, idź do domu, moje dziecko, nie zadawaj sobie tyle trudu... i nie szastaj pieniędzmi!”

Lecz ja nie ustępowałam. To było jakieś szaleństwo, jakiś maniacki upór. Gwałtem rozwarłam jego dłoń i wcisnęłam w nią banknot.

„Proszę wziąć pieniądze i iść natychmiast na górę! – i przy tych słowach nacisnęłam dzwonek. – No, już zadzwoniłam, za chwilę portier otworzy; pójdzie pan do swego pokoju i położy się zaraz. Jutro o dziewiątej rano będę czekała przed hotelem i odwiozę pana na dworzec. Niech się pan nie martwi o nic więcej, załatwię wszystko tak, żeby pan mógł spokojnie wrócić do domu. A teraz proszę już iść, dobrze się wyspać i o niczym nie myśleć!”

W tej samej chwili zgrzytnął klucz od wewnątrz, portier otworzył drzwi.

„Chodź!” – zawołał nagle twardo, stanowczo, niemal gniewnie i poczułam żelazny uchwyt jego palców na przegubie mej ręki.

Przeraziłam się... przeraziłam się tak bardzo, że o mało nie zemdlałam... Chciałam bronić się, wyrwać... ale moja wola była jak sparaliżowana... i ja... Nie wiem, czy pan to rozumie... ale było mi wstyd mocować się z obcym mężczyzną w obecności portiera, który stał i czekał.

I nagle znalazłam się po drugiej stronie drzwi, w hotelu; chciałam coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle.

Na mojej ręce leżała ciężko i władczo jego dłoń... Jak przez mgłę czułam, że ciągnie mnie za sobą na górę... po jakichś schodach... Klucz zgrzytnął...

I naraz znalazłam się sam na sam z obcym człowiekiem, w obcym pokoju, w hotelu, którego nazwy nawet dziś jeszcze nie znam.

Mrs. C. znów przerwała i wstała nagle z fotela. Widocznie głos odmówił jej posłuszeństwa. Podeszła do okna, wyglądała przez chwilę w milczeniu, czy też może oparła tylko czoło o zimną szybę. Nie miałem odwagi przypatrywać się jej baczniej, było mi nieprzyjemnie być świadkiem tak wielkiego wzburzenia.

Nie pytałem o nic, w milczeniu czekałem, aż wróci i znów usiądzie w fotelu naprzeciwko.

– Tak, zdobyłam się już na najtrudniejsze. I mam nadzieję, że pan mi uwierzy, jeśli przysięgnę na wszystko, co mam najświętszego, na mój honor i dzieci, że do tej chwili nie przychodziło mi do głowy... Byłam jak najdalsza od myśli... że może łączyć mnie coś z tym nieznanym. To wszystko stało się naprawdę bez udziału mej woli, a może i... świadomości... tak jakby na prostej i równej drodze otworzyła się naraz jakaś czeluść.

Obiecałam sobie, że będę wobec pana i siebie szczerą i prawdomówną, raz więc jeszcze powtarzam: tylko i jedynie bardzo ludzka chęć pomocy – nic innego, żadne uczucie osobiste, żadne pożądanie – sprawiła, że bez winy uwikłałam się w tę tragiczną przygodę.

O tym, co działo się w tym pokoju tej nocy, proszę zaoszczędzić mi opowiadania. Nie zapomniałam ani jednej sekundy owej nocy i nigdy nie zapomną. Była to noc zaciętej walki z tym człowiekiem o jego ratunek. Powtarzam: był to pojedynek na śmierć i życie. Zbyt dobrze czułam każdym nerwem, że ten straceniec z całą pasją śmiertelnie zagrożonego człowieka chwyta się jeszcze ostatniej deski zbawienia. Uczepił się mnie rozpaczliwie jak ktoś, kto czuje pod sobą przepaść. A ja usiłowałam ratować go wszystkimi dostępnymi mi środkami.

Podobne chwile przeżywa jeden człowiek na milion, i to chyba też nie częściej niż raz w życiu – i gdyby nie to straszne wydarzenie, nie wiedziałabym, jak żarliwie, jak desperacko, z jaką niepohamowaną zachłannością, jak do upadłego może straceniec walczyć o każdą szkarłatną kroplę życia. Nie dowiedziałabym się nigdy, ja, przez dwadzieścia lat życia tak odległa od demonicznych potęg natury, jak wspaniale i fantastycznie potrafi ona zakłąć w kilka wątłych tchnień żar i chłód, śmierć i życie, rozpacz i zachwycenie. Była to noc tak pełna zmagania i rozmów, pasji i gniewu, łez i zakłęcia, nienawiści i upojenia, że zdawała mi się wiecznością – i my oboje, staczający się we wspólnym uścisku w przepaść, jedno żądne śmierci, drugie walczące uparcie o życie, nie mogliśmy wyjść z tych śmiertelnych zapasów inaczej niż całkowicie przeobrażeni.

Ale nie chcę o tym mówić. Nie podejmuję się tych chwil opisywać. Wspomnę tylko o straszliwym przebudzeniu następnego ranka. Ocknęłam się ze snu ciężkiego jak ołów z głębi nocy, jakiej nie znałam równej. Długo trwało, zanim otworzyłam oczy, i pierwsze wrażenie, jakiego doznałam, to był widok nieznanego mi sufitu nad głową, a potem wodząc oczyma dokoła stwierdziłam: jestem w jakimś obskurnym, nieznanym pokoju i nic mogę przypomnieć sobie, skąd się tu wzięłam. W pierwszej chwili myślałam, że to wciąż jeszcze sen, lekka zamglona półjawa, niezupełny powrót do przytomności po otepiającym, męczącym koszmarze całonocnym. Ale nie, przez okno wlewało się ostre, nie budzące wątpliwości realne światło dzienne, słońce kłuło w oczy, z dołu dobiegał turkot pojazdów, dzwonienie tramwajów i gwar uliczny – nie, to nie był sen, to była rzeczywistość. Wyprostowałam się mimo woli, usiłowałam przypomnieć sobie... i wtem... gdy wzrok mój padł... Nie, nie potrafię odmalować panu mej grozy... tuż obok mnie na szerokim łóżku spał jakiś obcy człowiek... Obcy, półnagi, nieznamy mężczyzna...

Nie, takiego przerażenia – wiem o tym – nie da się opowiedzieć. Ogarnęła mnie taka niemoc, że opadłam z powrotem na poduszki. Ale nie było to dobroczynne zemdlecie, błogosławiona utrata świadomości. Na odwrót: błyskawicznie szybko przypominałam sobie wszystko, tylko wciąż jeszcze nie rozumiałam nic. W tej chwili miałam tylko jedno pragnienie: umrzeć ze wstydu i odrazy do siebie za to, że znalazłam się z obcym mężczyzną w obcym łóżku, w podejrzanym zapewne speluncie. Pamiętam jeszcze teraz wyraźnie, że serce przestało mi bić na chwilę, że wstrzymałam oddech, jak gdybym mogła w ten sposób zgasić swe życie, a przede wszystkim – uspić świadomość, tę jasną, zatrwającą jasną świadomość, która wszystko przechowuje, ale nic nie wyjaśnia.

Jak długo trwał ten okropny stan, trudno mi powiedzieć. Takie chwile mają inną miarę czasu niż w życiu codziennym. Ale naraz ogarnął mnie strach jeszcze przed czymś innym, lęk smagający jak biczem; ten obcy mężczyzna, którego nazwiska nie znałam, może się zbudzić i zacząć mówić do mnie. Zrozumiałam, że dla mnie istnieje tylko jedno wyjście: natychmiast ubrać się i uciec, dopóki jeszcze śpi. Nigdy więcej nie widzieć go, nigdy więcej nie mówić z nim. Uciec stąd, uciec, uciec, wracać do własnego życia, do hotelu, i zaraz najbliższym pociągiem wyjechać z tego przekłętego miejsca, z tego kraju, nie spotkać się z nim nigdy, nie widzieć go na oczy, nie mieć w nim ani oskarżyciela, ani współnika.

Ta myśl pokonała we mnie słabość: po cichutku, skradając się jak złodziej, cal za całem, by nie sprawić najmniejszego hałasu, wysunęłam się z łóżka i ubrałam się bezszelestnie, drżąc, by się nie zbudził. Tylko jeszcze kapelusz... Leżał po drugiej stronie w nogach łóżka i gdy na palcach zbliżałam się, by go zabrać, musiałam – tak, w tym momencie nie mogłam inaczej – musiałam raz jeszcze spojrzeć na twarz tego człowieka, który runął w moje życie tak nieoczekiwanie jak cegła z dachu na przechodnia.

Tylko raz jeden spojrzeć... nic więcej, tylko spojrzeć. To dziwne, ale ten nieznamy młodzieniec, który leżał tu i spał, był dla mnie rzeczywiście kimś zupełnie obcym. W pierwszej chwili nie poznałam twarzy, którą widziałam wczoraj. Jakby ktoś stał gąbką wyraz namiętności z tych konwulsyjnie napiętych rysów, teraz miał twarz odmienioną, bardzo dziecinną, bardzo chłopięcą, promieniejącą czystością i pogodą. Wargi, wczoraj mocno zaciśnięte i zagryzione zębami, rozchyliły się łagodnie, już jakby zaokrąglone w półuśmiechu. Jasne włosy rozsypały się miękko na gładkim, bez jednej zmarszczki, czole, a pierś podnosiła się i opadała w miarowym, spokojnym oddechu.

Przypomina pan sobie może – mówiłam panu już przedtem – że nigdy i u nikogo nie widziałam wyrazu żądy i namiętności w tak zastraszającej koncentracji jak na twarzy tego gracza przy zielonym stole. A teraz powiem, że nigdy, nawet na twarzy dzieci, na które czasem podczas niemowlęcego snu jakby padał anielski blask pogody, nie widziałam wyrazu podobnej czystości – czystości, jaką daje sen prawdziwie błogi. Na twarzy tej z nieźrównaną plastyką odbijały się i kształtowały wszystkie uczucia, a więc – niebiańskie wyzwolenie, uwolnienie się od aż nazbyt przytłaczającego ciężaru przeżyć moralnych, radość z ocalenia.

I na ten zaskakujący widok opadł ze mnie wszystek strach, cała groza niby ciężki czarny płaszcz. To, co było przerażające i niepojęte, naraz pozyskało dla mnie sens, cieszyłam się, byłam dumna z siebie. Gdyby nie moja ofiarność, młody, piękny chłopiec, który leży tu spokojny i pogodny jak kwiat, leżałby teraz pod skalistym zboczem z roztrzaskaną głową, skrwawiony, ze zmiążdżoną od kuli twarzą, z szeroko otwartymi martwymi oczyma. To ja go uratowałam. Był ocalony.

Patrzałam na śpiącego z tkliwością macierzyńską – nie moge tego uczucia nazwać inaczej – gdyż dałam mu raz jeszcze życie w męce boleśniejszej niż własnym dzieciom. I w tym brzydkim, brudnym pokoju ohydnego hoteliku poczułam się – może te słowa wydadzą się panu śmieszne – jak w kościele, poczułam się tak podniesiona na duchu jak na widok cudu. Po najstraszliwszej chwili mojego życia pojawiła się druga, jej siostrzyca, przewyższająca ją i jeszcze bardziej zdumiewająca.

Czy poruszyłam się zbyt głośno? Czy może mimo woli zaczęłam coś mówić do siebie? Nie wiem. Ale śpiący otworzył nagle oczy. Cofnęłam się wystraszona. Rozglądał się wokoło tak samo zdziwiony jak ja przedtem, tak samo zdawał się wracać z trudem do przytomności. Wzrok jego błędził w natężeniu po tym obcym, nieznanym pokoju, aż wreszcie zatrzymał się zdumiony na mnie. Ale nim otworzył usta, nim oprzytomniał do reszty, wyprzedziłam go. Nie chciałam dopuścić go do słowa, pozwolić mu na żadne pytania, żadną poufałość, nie chciałam do niczego wracać, nic roztrząsać, nic omawiać – żadnej aluzji do wczorajszego wieczora i nocy!

„Muszę już iść – oznajmiłam szybko. – Pan zostanie tutaj, wstanie i ubierze się. O dwunastej spotkamy się przed wejściem do kasyna. O reszcie pomyślę już sama”.

I nim zdążył odpowiedzieć choć słowo, wybiegłam, byle tylko nie widzieć więcej tego pokoju. I nie oglądając się wyszłam prędko z hotelu, którego nazwy nie znałam tak samo, jak nie znałam nazwiska człowieka, z którym spędziłam tę noc.

Mrs. C. przerwała na chwilą opowieść, aby zaczerpnąć powietrza. Ale w głosie jej nie wyczuwało się już poprzedniego wysiłku. Wyznanie po osiągnięciu kulminacyjnego punktu toczyło się już gładko jak wóz, jadący w dół po zboczach górskim.

– Spiesznym krokiem wracałam do hotelu. Dzień był jasny i słoneczny, wiatr rozwiął wczorajsze chmury, podobnie jak rozwiały się dręczące mnie uczucia.

Wspominałam już panu, że po śmierci męża uważałam swoje życie osobiste za skończone. Dzieciom nie byłam potrzebna, dla siebie nie pragnęłam niczego, a życie bez wytyczonego celu byłoby jednym wielkim nieporozumieniem.

I oto niespodzianie stanęło przede mną jakieś zadanie: uratowałam człowieka, wyrwałam go śmierci z natężeniem wszystkich sił. Już niewiele pozostało mi do zrobienia. Zadanie musi być doprowadzone do końca.

W hotelu, w którym mieszkałam, zdziwione spojrzenie portiera – była już dziewiąta rano – nie wywołało we mnie ani wstydu, ani skruchy. Nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia ani żal do nikogo. Czułam natomiast w sobie jakby zmartwychwstającą wolę życia, nowe rozpierające piersi uczucie, że jestem komuś potrzebna. Krew krążyła szybciej w pulsujących żyłach.

Przebrałam się szybko, zrzuciłam odruchowo (dopiero później zdałam sobie z tego sprawę) żałobną suknię i włożyłam jakąś jaśniejszą. Poszłam do banku podjąć pieniądze, a potem na dworzec, żeby poinformować się, kiedy odchodzą pociągi. W podziw wprawiła mnie energia, z jaką załatwiłam po drodze szereg sprawunków. Teraz pozostawało mi już tylko dopilnować wyjazdu tego narzuconego mi przez los człowieka. Tak, to prawda, spotkanie będzie kosztowało mnie wiele wysiłku. Wypadki wczorajszej nocy rozegrały się w mroku, to było jakby zderzenie porwanych wirem dwóch kamieni. Prawie nie widzieliśmy swoich twarzy, nie miałam nawet pewności, czy on mnie w ogóle pozna. Wczoraj to był przypadek, upojenie dwójga zbłąkanych ciał, ale teraz odczuwałam ból niemal fizyczny na myśl, że mam stanąć przed nim w bezlitosnym świetle dnia taka, jaka jestem, pokazać mu swoją twarz, twarz niemłodej kobiety.

Ale wszystko poszło lepiej, niż przewidywałam. Ledwo o umówionej godzinie zbliżyłam się do kasyna, młody człowiek zerwał się z ławki i pobiegł mi na spotkanie. W tym odruchu było coś tak spontanicznego, dziecinnego, nieprzemyślanego i pełnego ekspresji jak we wszystkich jego gestach. Z oczu wystrzelił mu promień dziękczynnej i zarazem pełnej szacunku radości, ale gdy spostrzegł moje zażenowanie, spuścił wzrok pokornie.

Wdzięczność to uczucie rzadko spotykane u ludzi – a ci nieliczni, którzy potrafią być wdzięczni, nie umieją często swych uczuć okazać; zamykają się w upartym milczeniu, żeby tylko nie okazać tego, co czują.

Ale z tego człowieka, wyposażonego niby przez tajemniczego rzeźbiarza w niepospolity dar ekspresji i plastyki uczuć, wdzięczność tryskała wszystkimi porami tak samo jednoznacznie i wymownie jak przedtem namiętność.

Pochylił się nad moją ręką. Wąska linia jego chłopięcego ciała wygięła się pokornie, trwał tak dłuższą chwilę w pocałunku muskającym tylko palce i pełnym respektu. Potem odstąpił o krok, zapytał, czy dobrze się czuję, i spozjrzał na mnie ze wzruszeniem. Tyle szacunku i taktu było w każdym jego słowie, że niebawem resztki mego niepokoju pierzchły bez śladu.

A krajobraz – jakby odczarowany – odbija! zmianę mego nastroju i rozlewał wszędzie naokoło blaski. Morze, wczoraj jeszcze gniewne i burzliwe, teraz było spokojne, nieruchome i przezroczyste; przy brzegu połyskiwało dno pokryte drobnym żwirem; kasyno, owa piekielna jaskinia gry, lśniło mauretańską bielą murów na tle nieba, czystego i gładkiego jak adamaszek; w budce, gdzie schroniliśmy się wczoraj podczas ulewy, kłębiły się w barwnym nieładzie wspaniałe pęki białego, czerwonego i nakrapianego kwiecica. Sprzedawała je dziewczyna w jaskrawo-kolorowej bluzce.

Zaprosiłam go na obiad do małej restauracyjki; tu opowiedział mi, jak doszło do owego tragicznego przeżycia. Historia ta potwierdzała to wszystko, co przeczuwałam ujrawszy po raz pierwszy jego wyraziste, nerwowe ręce na zielonym suknie stołu. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, osiadłej w tej części Polski, która była pod zaborem austriackim. Poświęcił się karierze dyplomatycznej, studiował w Wiedniu i przed miesiącem złożył pierwszy ze swoich egzaminów z wynikiem celującym. Wuj jego, wyższy oficer sztabu generalnego, u którego mieszkał, zabrał go w nagrodę fiakrem na wyścigi do Prateru.

Szczęście dopisało wujowi, trzy razy z rzędu wygrał. Z grubym plikiem banknotów w portfelu zaprosił go na kolację do eleganckiej restauracji. Następnego dnia przyszedł dyplomata otrzymał od ojca z okazji pomyślnie zdanego egzaminu kwotę równą swoim comiesięcznym apanażom. Dwa dni wcześniej suma ta wydawałaby mu się jeszcze ogromna, ale teraz po wygranej wuja uważał ją za drobną i niewystarczającą.

Zaraz po obiedzie pojechał znów na wyścigi, stawiał i podwajał stawki namiętnie, bez zastanowienia. Szczęście – czy też raczej nieszczęście – chciało, że wrócił z Prateru z ową sumą potrojoną.

Odtąd był w szponach hazardu. Grał na wyścigach, w klubach karcianych, w kawiarniach; namiętność pożerała mu czas, nerwy, a przede wszystkim pieniądze. Pasja ta zabiła w nim wszystkie inne myśli, odbiegł go sen, przestał być panem samego siebie.

Gdy raz wrócił nocą z klubu, zgrany do cna, i rozbierając się znalazł w kieszonce od kamizelki jeszcze jeden zmięty banknot, nie wytrzymał, ubrał się i wyszedł na miasto. Błąkał się tak długo, aż znalazł w jakiejś kawiarni partnerów do gry w domino i przesiedział tam aż do rana.

Doszło do tego, że zamężna siostra musiała ratować go z opresji, płacąc za niego długi u lichwiarzy, chętnie udzielających kredytu potomkowi dobrego szlacheckiego rodu. Znowu jakiś czas szczęście mu dopisywało, ale potem się odwróciło; przegrywał nieustannie, a chcąc się odegrać coraz częściej wpadał w potrzask niedotrzymanych zobowiązań i długów honorowych. Dawno już zastawił zegarek, ubranie, ale najgorsze przyszło później: ukradł starej ciotce z bieliźniarki dwa wielkie bufony z perłami, które rzadko nosiła. Jeden zastawił za większą sumę, i suma ta tegoż jeszcze wieczora przy zielonym stoliku wzrosła w czwórnasób. Lecz nie wykupił zastawu, zaryzykował... i przegrał. Ponieważ ciotka o niczym nie wiedziała, zastawił drugi kolczyk i postanowił pojechać do Monte Carlo, aby zdobyć upragniony majątek na ruletce. Sprzedał wszystko, co miał: walizkę, ubranie, nawet parasol... zostawił sobie tylko rewolwer z czterema kulami i złoty wysadzany drogocennymi kamieniami krzyżyk od chrzestnej matki, księżny X. Ale po południu sprzedał także i ten krzyżyk za pięćdziesiąt franków, aby móc wieczorem po raz ostatni doświadczyć emocjonującej rozkoszy gry na śmierć i życie.

Wszystko to opowiedział z owym porywającym czarem swej niezwyklej indywidualności, a ja słuchałam wstrząśnięta, przejęta, wzruszona. Ale ani na chwilę nie przyszło mi do głowy, że ten człowiek, siedzący ze mną przy jednym stole, jest po prostu złodziejem. Gdyby mi wczoraj ktoś powiedział – mnie, kobiecie bez skazy, żądającej od otoczenia jak najbardziej godnego i honorowego postępowania – że będę rozmawiała w najlepsze z niewiele starszym od mego syna młodym człowiekiem, który ukradł kolczyki, oświadczyłabym, że postradał zmysły.

Dziwne, ale to opowiadanie jego, tak szczere i naturalne, nie wywołało we mnie odruchu wstrętu czy oburzenia. Postępowanie jego uważałam za skutek jakiejś choroby woli, gorączki, a nie prawdziwie występną natury. A zresztą dla kogoś, kto ma za sobą doświadczenia podobnie nieoczekiwanej nocy, słowo „niemożliwe” traci realny sens. W ciągu owych dziesięciu godzin osiągnęłam pełniejszą znajomość życia niż w ciągu czterdziestu lat spokojnej egzystencji.

W jego spowiedzi niepokoiło mnie jednak co innego: gorączkowy blask oczu i nerwowe drgawki policzków, jakby przebiegał po nich prąd elektryczny. Opowiadając podniecał się niesłychanie i na jego twarzy z nieporównaną plastyką odbijała się każda przeżyta radość i męka. Cudownie piękne, wąskie, nerwowe ręce jego przeobraziły się bezwiednie w drapieżne istoty, atakujące i czające się na przemian, jak wtedy w kasynie. Widziałam, jak dygotały, wiły się i zaciskały w pięści, znów rozplatały i splatały w nierozzerwalny kłęb. A gdy zwierzał mi się z faktu kradzieży, ręce jego błyskawicznie wykonały – wzdrygnęłam się mimo woli – typowy złodziejski gest: zobaczyłam, jak palce jego rzuciły się niby oszalałe na ów klejnot i zamknęły go szybko we wnętrzu dłoni. I z niewysłowionym przerażeniem uświadomiłam sobie, że zabójczy jad namiętności zatruł tego człowieka po ostatnią kroplę krwi.

Przeraźliwa była ta niewolnicza zależność młodego chłopca, czystego i beztroskiego, od obłądnej wprost pasji. Uważałam więc za pierwszy obowiązek przez los wyznaczonej opiekunki namawiać go z całą serdecznością do opuszczenia Monte Carlo, w którym czyha na niego tak wiele niebezpiecznych pokus, i do powrotu do domu, zanim ktokolwiek zauważy zniknięcie kolczyków i zanim jego przyszłość zostanie raz na zawsze przekreślona. Przyrzekłam dać mu pieniądze nie tylko na podróż, ale i na odbiór zastawionych klejnotów, jeżeli tylko zaręczy słowem honoru, że dziś jeszcze wyjedzie i nigdy nie wróci do tej jaskini gry i hazardu.

Nie zapomnę, z jaką pokorą, a potem z jak rozjaśniającą się stopniowo twarzą, pełną dziękczynienia, ten stracony człowiek słuchał mnie, jak spijał moje słowa, gdy przyrzekłam mu pomoc. Naraz wyciągnął obie ręce poprzez stół i chwycił moje dłonie, a na twarzy jego odmalował się niezatarty dla mnie wyraz uwielbienia i zarazem jakby ślubowania.

W jego jasnych, zwykle jakby trochę nieprzytomnych oczach błyszczały łzy. Całym ciałem wstrząsał szloch z radosnego podniecenia.

Tyle razy usiłowałam już panu opisać nieporównany dar ekspresji, jaki miał ten człowiek, ale nie porywam się na to, by wyraz ten odtworzyć. Była to tak ekstatyczna niebiańska szczęśliwość, jakiej ziemskie oblicze rzadko dane nam jest oglądać. Można porównać je tylko z jaśnieniem, jakie zostawia po sobie widziane we śnie oblicze niktącego anioła.

Po cóż ukrywać: nie miałam siły oprzeć się temu spojrzeniu. Wdzięczność uszczęśliwia już choćby dlatego, że tak rzadko jest okazywana. Czułość sprawia radość, a na mnie, osobę chłodną i zrównoważoną, to bogactwo jego uczuć, to ich nadmierne spotęgowanie wywarło wielkie wrażenie jako coś nowego i uszczęśliwiającego.

Jednocześnie jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej odmieniła się po wczorajszym deszczu pogoda.

Gdy wyszliśmy z restauracji, morze, całkowicie uspokojone, było gładkie i lśniące aż po sam horyzont, a w górze błękit nieba znaczyły tylko białe punkciki mew. Zna pan przecież pejzaż Riwiery. Niby zawsze piękna, jest jak barwna widokówka, wiecznie pasie oczy mocnymi, soczystymi barwami. Jak senna, leniwa piękność nie broni nikomu swojej krasy, jest jak wschodnia odaliska ze swą zmysłową gotowością oddania. Ale czasami, i to bardzo rzadko bywają dni, kiedy ta senna piękność budzi się, otrząsa, wabi energicznie jaskrawym przepychem fantastycznie roziskrzonych barw, kiedy narzuca się zwycięsko orgią kwiatów, kiedy gorzeje, płonie cała bujną zmysłowością.

I taki cudowny dzień właśnie wyłonił się z burzliwego chaosu ulewnej i wietrznej nocy. Droga oślepiła bielą, niebo – turkusami, a krzaki niby barwne pochodnie zapalały się na tle soczystej, wilgotnej zieleni. Góry przybliżyły się i skupiły w rozrzedzonym, rozświetlonym powietrzu, jak gdyby chciały przyjrzeć się zaciekawione migocącemu białością południowemu miasteczku. W każdym spojrzeniu odczytać można było wyzywający i zachęcający zew natury; jej powab podbijał serca.

„Przejedźmy się powozem doliną Corniche” – zaproponowałam.

Skinął głową uradowany. Pierwszy raz chyba od przyjazdu spostrzegł otaczającą go przyrodę. Spędzał czas w dusznej sali kasyna, pełnej wyziewów ludzkich, w ścisku brzydkich, wykrzywionych chciwością twarzy, a jeśli nawet zauważył morze, to tylko szare, zgiełkliwe i niezachęcające.

Ale teraz rozpościerało się przed nami zalane słońcem wybrzeże niby olbrzymi wachlarz, i uszczęśliwione oczy mogły błędzić od krańca do krańca horyzontu. Jechaliśmy wolno wynajętym powozem (nie było jeszcze wtedy samochodów), wspaniałą drogą, a gdy mijaliśmy wille ocienione zielonością pinii, za każdym razem rodziło się w moim sercu życzenie: zamieszkać tu, żyć w spokoju, w ciszy, z dala od świata...

Czy byłam kiedykolwiek szczęśliwsza niż owego dnia? Nie wiem. Obok mnie w blaskach słońca siedział młodzieniec, nad którym wczoraj jeszcze wisiało fatum, czarne skrzydło śmierci. Wyglądał, jak gdyby lata całe spadły mu z ramion – niby mały chłopiec, śliczny, rozbawiony dzieciak o wesołych, a jednocześnie pełnych szacunku oczach. Najbardziej czarująca była jego nieustanna, wiecznie czujna wrażliwość. Gdy koniom było zbyt ciężko wspinać się pod górę, zręcznie zeskakiwał, by popchnąć powóz z tyłu. Gdy wskazywałam mu jakiś kwiat przydrożny lub wymieniałam jego nazwę, biegł zerwać go dla mnie. Małą ropuchę, która zwabiona wczorajszym deszczem podskakiwała nieporadnie na skraju drogi, podniósł i przeniósł troskliwie na zieloną trawę, żeby nie stratowały jej koła przejeżdżających pojazdów. Przez cały czas zabawiał mnie dowcipnymi opowiadaniem i śmiał się z nich głośno. Śmiech ten był dla niego jakby klapą bezpieczeństwa: gdyby nie mógł wyładować wesołości w śmiechu, musiałby skakać, tańczyć i śpiewać na cały głos, tak rozsadzało go i buchało z niego niespodziane szczęście.

Gdy przejeżdżaliśmy przez jakąś małą wioskę na wyżynie, nagle obnażył głowę. Zdziwiłam się: komu kłania! się, on, który nie miał tu żadnych znajomych? Zarumienił się lekko, gdy go o to spytałam, i wyjaśnił mi, usprawiedliwiając się prawie, że mijaliśmy właśnie kościół, a u nich w Polsce, jak we wszystkich krajach katolickich, panuje obyczaj odślaniania głowy przed świątynią bożą. Głęboka cześć dla religii bardzo mnie wzruszyła, a przypomniawszy sobie, co mówił o tym krzyżyku od matki chrzestnej, zapytałam, czy jest wierzący. Gdy odpowiedział mi, nieco zawstydzony, że ma nadzieję pozyskać sobie jeszcze łaskę bożą, przyszła mi nagle zbawcza myśl do głowy.

„Proszę się zatrzymać!” – zawołałam do fiakra i wysiadłam śpiesznie z powozu.

„Dokąd idziemy?” – zapytał zdziwiony.

„Niech pan idzie za mną!” – odpowiedziałam tylko.

I weszliśmy razem do wiejskiego kościołka z czerwonej cegły. Wewnątrz panował mrok. Ściany były szare i nagie, przez otwarte drzwi wpadał żółty snop światła i rozcinał ostro ciemność, wokół ołtarza kłębiły się błękitne cienie, duże świece ledwie migotały w ciepłym, kadzidlany mroku.

Zdjął kapelusz, zwilżył palce wodą święconą, przeżegnał się i ukląkł. Gdy wstał, chwyciłam go za rękę.

„Niech pan stanie przed ołtarzem – szepnęłam – lub jakimś świętym obrazem i powtarza za mną słowa przysięgi”.

Podniósł na mnie oczy zdumiony, niemal przerażony, ale szybko zrozumiał. Podszedł do jednej z nisz, przeżegnał się i ukląkł posłusznie.

„Niech pan powtarza za mną – mówiłam, drżąc ze wzruszenia – niech pan powtarza za mną: Przysięgam...”.

„Przysięgam...” – powtórzył, a ja mówiłam dalej:

„...że nigdy w życiu nie będę uczestniczył w żadnej grze hazardowej i nigdy więcej nie będę narażał życia i honoru dla tej namiętności”.

Słowa te powtarzał głośno i uroczyście w opustoszałym kościele. A potem nastąpiła cisza... cisza tak wielka, że słyhać było szmer i szum liści szeleszczących za oknem. I naraz rzucił się na kolana jak pokutnik i zaczął wyrzucać z siebie z ekstazą, jakiej nie widziałam nigdy u nikogo, szybko i beładnie niezrozumiałe dla mnie polskie słowa. Musiała to być modlitwa dziękczynna i zarazem wyrazy skruchy, gdyż coraz pokorniej chylił głowę nad pulpitem kłęcznika, coraz żarliwiej wybiegały z ust słowa o obcym dźwięku, coraz gwałtowniej powracało jakieś jedno słowo, powtarzane z nieopisanym żarem. Ręce jego obejmowały kurczowo drewniany kłęcznik, a całym ciałem wstrząsał dreszcz.

W końcu wstał, zrobił znak krzyża i z widocznym wysiłkiem odwrócił się. Nogi ugięły się pod nim, był blady, jakby u kresu sił. Ale gdy ujrzał mnie, oczy mu się rozjaśniły. Czysty, naprawdę pobożny uśmiech rozświetlił twarz pełną nieziemskiego uniesienia; zbliżył się, skłonił przede mną, ujął moje dłonie i podniósł je z czcią do ust:

„Bóg zesłał mi panią. Za to mu dziękowałem”.

Przyjęłam to w milczeniu. Miałam teraz tylko jedno pragnienie; żeby nad stallami zahuczały organy. Oto człowiek został uratowany.

Wyszliśmy z kościołka na światło promiennego dnia majowego: nigdy świat nie wydawał mi się piękniejszy. Wsiadliśmy do czekającego powozu i jeszcze przez dwie godziny zwiedzaliśmy piękną górską dolinę, otwierającą za każdym zakretem coraz to nowe i coraz piękniejsze widoki. Nie mówiliśmy nic do siebie. Żadne słowo nie wydawało się godne chwili, którą przeżyliśmy. Gdy zaś nasze spojrzenia krzyżowały się przypadkowo, odwracałam wzrok zawstydzona. Widok cudu, który stał się za moją sprawą, wprawiał mnie w wielkie wzruszenie.

O piątej po południu wróciliśmy do Monte Carlo. Nie mogłam już odwołać umówionego przedtem spotkania z kuzynką. Było mi to nawet na rękę, w głębi duszy pragnęłam jakiejś pauzy, odprężenia dla zbyt napiętych nerwów. Za wiele przeżyłam od wczorajszego wieczora. Cała moja istota domagała się odpoczynku po tym stanie ekstazy, jakiego nie doznawałam nigdy przedtem.

Młodzieniec wstąpił na chwilę do mnie do hotelu i tu w pokoju dałam mu pieniądze na podróż i wykupienie kosztowności. Według umowy miał załatwić kupno biletu kolejowego w tym czasie, kiedy spotkam się z kuzynką. O siódmej wieczorem mieliśmy spotkać się na dworcu i spędzić jeszcze razem pół godziny przed odjazdem jego pociągu przez Genuę i Wiedeń do kraju. Gdy wręczałam mu pięć banknotów, wargi dziwnie mu zbiełały.

„Nie... nie chcę pieniędzy... błagam, żadnych pieniędzy! – wyrzucił przez zaciśnięte zęby, a palce dygotały mu nerwowo. – Nie... nie... nie chcę pieniędzy... nie mogę na nie patrzeć!”.

Słowa te kilkakrotnie powtarzał ze strachem i wstrętem.

Uspokajałam go, jak mogłam, i przekonywałam, że to tylko pożyczka, a jeśli czuje się tak upokorzony, to niech wystawi mi pokwitowanie.

„Tak... tak... – pokwitowanie...” – wymamrotał, odwracając oczy. Zwinął banknoty końcami palców, jak gdyby nie chciał nimi plamić rąk, potem, nie patrząc wpakował je do kieszeni i szybko skreślił parę słów na karteczce.

Gdy skończył, krople potu perliły mu się na czole: jakieś gwałtowne uczucia szukały w nim wyzwolenia. I ledwie podał mi ową kartkę, schylił się nagle – cofnęłam się mimo woli – padł na kolana i ucałował rąbek mej sukni.

Ów nieopisanie piękny gest sprawił, iż zadrżałam. Ciarki przeszły po moim całym ciele. Zmieszałam się i wyjąkałam:

„Dziękuję za ten wyraz wdzięczności. Ale teraz proszę już iść! O siódmej na dworcu... tam się pożegnamy”. Spojrzał na mnie, w jego oczach lśniły łzy rozrzewnienia, szukał słów, przez chwilę chciał jakby mi się przeciwstawić. Wtem pochylił się jeszcze raz głęboko, bardzo głęboko, i opuścił pokój.

Mrs. C. znów przerwała opowiadanie. Wstała, podeszła do okna, wyjrzała na chwilę, po czym długo stała nieporuszona. Naraz odwróciła się energicznie, ręce dotychczas spokojne i obojętne wykonały w powietrzu zdecydowany ruch, jakby chciała z czymś skończyć, coś przeciąć. Utkwiła we mnie spojrzenie twarde, niemal wyzywające i z nagłą decyzją podjęła znów opowiadanie:

– Obiecałam, że będę szczerą bez zastrzeżeń... i teraz widzę, że to moje zobowiązanie miało jednak sens. Bo dopiero dziś, gdy staram się po raz pierwszy ułożyć w jakiejś logicznej kolejności przebieg tamtych wydarzeń i szukam słów jasnych i prostych dla rzeczy pogmatwanych i zawiłych, zrozumiałam wiele z tego, czego przedtem nie mogłam lub nie chciałam rozumieć.

I dlatego też odważnie i bez osłonek muszę powiedzieć panu – i sobie – prawdę. W momencie gdy za tym młodzieńcem zamknęły się drzwi mego pokoju i zostałam sama, doznałam uczucia podcinającej nogi niemocy. Jakby mi ktoś zadał bolesny cios w serce... I nie zdawałam sobie sprawy, czy też wołałam nie wiedzieć, dlaczego tak boleśnie zraniło mnie wzruszające, pełne szacunku zachowanie się tego chłopca.

Ale teraz, gdy wywołuję całą przeszłość, tak jak się wydobywa z pamięci obojętne sprawy, a pańska obecność nie pozwala mi zataić czy tchórzliwie ukryć wstydliwych uczuć, rozumiem: ból sprawiło mi... rozczarowanie. Rozczarowanie... że ten młody człowiek odszedł tak posłusznie... że nie próbował mnie zatrzymać przy sobie, zostać przy mnie... że bez protestu i z takim szacunkiem poddał się memu pierwszemu życzeniu... że nie usiłował porwać mnie w ramiona... że czcił mnie jak świętą... a nie dostrzegał we mnie... kobiety.

To było rozczarowanie, którego nie uświadomiłam sobie wtedy ani później, ale są sprawy, które kobieta wyczuwa bez potrzeby ubierania ich w słowa. Bo wtedy – już się nie łudzę teraz – gdyby ten człowiek wziął mnie w objęcia i zażądał, żebym poszła z nim na koniec świata, nie obchodziłoby mnie nic, nawet to, że zostanie plama na nazwisku moim i moich dzieci... Obojętna na to, co ludzie mówią, głucha na głos rozsądku... poszłabym za nim ślepo, bez wahania, tak jak madame Henriette za swoim Francuzem, o którym dzień przedtem nie wiedziała, że istnieje... Nie pytałabym go o nic ani na jak długo, ani dokąd, nie obejrzałabym się za siebie, na swoje poprzednie życie... Poświęciłabym dobre imię, honor, majątek... Poszłabym na żebraczy chleb... i chyba nie ma na świecie nikczemności, do której nie mógłby mnie nakłonić. Odrzuciłabym na bok wszystko, gdyby tylko rzekł jedno słowo, gdyby zbliżył się do mnie, próbował objąć, uścisnąć. Bez pamięci zatraciłam się w nim w owej chwili. Ale... – mówiłam już panu... – ten człowiek nie widział we mnie kobiety... a to, że taki żar rozpałił we mnie, odczułam dopiero wtedy, gdy zostałam sama, gdy nagle namiętność zdarła zasłonę ze swego jasnego i wzniosłego, niemal seraficznego oblicza i ukazała mi się szalejąca, ciemna i groźna.

Z trudem ubrałam się, idąc na spotkanie, które w tej chwili wydawało się czymś ponad siły. Czułam, że skronie ściska mi jakby żelazny, potwornie ciężki kask, kiedy szłam do kuzynki, mieszkającej w innym hotelu.

Siedziałam jak otumaniona wśród ludzi, nie biorąc udziału w ich ożywionej rozmowie i wzdygałam się, gdy wzrok mój zatrzymywał się na ich nieruchliwych twarzach, które w porównaniu ze światłami i cieniami tamtej twarzy wydawały się zastygłe jak maski. Czułam się tak jak wśród nieboszczyków, i gdy mieszałam cukier w filiżance, ledwo podtrzymując rozmowę i myślą będąc wyraźnie gdzie indziej, miałam wciąż przed oczyma tamtą twarz, której widok sprawiał mi tak żarliwą radość, a wiedziałam – strach pomyśleć! – że za godzinę lub dwie zobaczę ją po raz ostatni.

Westchnęłam, a może i nawet jęknęłam mimo woli, gdyż kuzynka nachyliła się do mnie i spytała zaniepokojona, czy niedobrze się czuję, taka byłam blada i osowiała. Niespodziane pytanie przydało mi się jako pretekst; bez chwili wahania odpowiedziałam, że dokucza mi migrena i poprosiłam, aby pozwolono mi wymknąć się „po angielsku”.

W hotelu ogarnęło mnie znów uczucie pustki i osamotnienia, pomieszane z tęsknotą za tym człowiekiem, z którym miałam rozstać się dziś na zawsze. Chodziłam po pokoju bez celu, otwierałam i zamykałam niepotrzebnie szuflady, przymierzałam suknie, jedną po drugiej i radziłam się lustra, czy tak ubrana mogę się jeszcze podobać. Wtem oświeciła mnie myśl: muszę zrobić wszystko, byle tylko jego nie utracić! W ciągu jednej sekundy myśl ta przeobraziła się w decyzję. Zbiegłam po schodach do portiera i zawiadomiłam, że wyjeżdżam dziś jeszcze nocnym pociągiem. Czas naglił; zadzwoniłam na pokojówkę, żeby pomogła mi zapakować rzeczy. Kiedy prześcigając się wzajemnie w pośpiechu, wrzucaliśmy suknie i różne drobiazgi toaletowe do walizki, wyobrażałam sobie, jaką mu sprawię niespodziankę. Odprowadzę go jak gdyby nigdy nic do pociągu i dopiero w ostatniej chwili, gdy wyciągnie rękę na pożegnanie, wsiądę do wagonu i powiem, że postanowiłam spędzić z nim jeszcze tę noc, i następną... ile zapagnie.

W głowie mi wirowało, krew tętniła w skroniach – i ku zdumieniu pokojówki, układającej moje rzeczy w walizce, wybuchałam od czasu do czasu głośnym śmiechem. Czułam, że moje zmysły niezupełnie są w porządku. I gdy zgłosił się z dołu posługacz po walizki, wlepiłam w niego oczy na pół przytomna. Trudno było mi myśleć o sprawach prozaicznych w momencie tak wielkiej decyzji.

Dochodziła siódma, w najlepszym razie miałam zaledwie dwadzieścia minut do odejścia pociągu. Ale – pocieszałam się – teraz nie chodzi już o to, aby się pożegnać, skoro zdecydowałam się być z nim razem w podróży tak długo, jak zechce. Posługacz wyniósł walizki, pobiegłam do kasy hotelowej uregulować rachunek. W chwili gdy kasjer wydawał mi resztę, ktoś łagodnie położył dłoń na moim ramieniu. Drgnęłam. Była to kuzynka, która przybiegła zaniepokojona moją rzekomą niedyspozycją.

Pociemniało mi w oczach. Nie miałam czasu do stracenia, każda sekunda pociągała za sobą nieuchronne spóźnienie, ale uprzejmość i takt nakazywały porozmawiać z kuzynką choćby kilka chwil.

„Musisz położyć się – przekonywała mnie. – Masz z pewnością gorączkę”.

Może nie była tak daleka od prawdy, gdyż skronie pulsowały mi bez przerwy, a oczy przesłaniała chwilami błękitna mgła jak przed omdleniem. Staralam się zachować pozory wdzięczności, choć w głębi duszy modliłam się, aby sobie najprędzej poszła. Ale niepożądana opiekunka ani myślała odejść, co więcej, zaofiarowała się, że sama natrze mi skronie wodą kolońską, a ja, licząc w duchu minuty, rozpaczliwie szukałam jakiegokolwiek pretekstu, żeby uciec od niej i jej pomocy. Lecz im bardziej stawałam się niespokojna, tym bardziej wydawało się jej to podejrzane. Gwałtem prawie chciała mnie zaprowadzić do pokoju i położyć do łóżka, a ja się broniłam, jak mogłam.

Wtem – w trakcie rozmowy z nią – spojrzałam na wiszący w hallu zegar. Było dwadzieścia pięć po siódmej, a o siódmej trzydzieści pięć odchodził pociąg. I wówczas obcesowo, z brutalną obojętnością człowieka, któremu już i tak wszystko jedno, przerwałam kuzynce:

„Do widzenia, muszę wyjść”.

Spojrzała na mnie i osłupiała, a ja wybiegłam jak szalona na ulicę, w stronę dworca.

Nerwowa gestykulacja posługacza hotelowego, pilnującego rzeczy w hali dworcowej, nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, że jest już przeraźliwie późno. Na pół przytomna rzuciłam się na peron, ale kontroler nie chciał przepuścić mnie bez biletu. I gdy błagałam i niemal szamotałam się z nim, zobaczyłam, że pociąg ruszył. Drżąc na całym ciele wpiłam się oczyma w mijające wagony... Myślałam, że może uda mi się uchwycić choćby jedno spojrzenie, gest, machnięcie chusteczką z okna wagonu. Ale nie dostrzegłam nigdzie utęsknionej twarzy. Coraz szybciej toczyło się cielsko pociągu i po chwili przed moimi oczyma nie pozostało nic prócz dymiącej czarnej chmury.

Stałam jak skamieniała, Bóg wie jak długo, posługacz odezwał się do mnie kilka razy, ale bez skutku, aż w końcu zdecydował się dotknąć mej ręki. Wzdrygnęłam się.

„Co pani każe zrobić z bagażem? Czy mam odwieźć do hotelu?” – zapytał.

Minęło parę dobrych chwil, nim ocknęłam się z odrętwienia. Wracać do hotelu? Nie, to niemożliwe. Po tym raptownym, godnym pośmiewiska odjeździe? Nie, tam wracać nie mogłam ani nie chciałam, nigdy więcej!

„Proszę odnieść walizki do przechowalni” – zadysponowałam, pragnąc niecierpliwie jak najprędzej zostać sama.

Dopiero wtedy wśród cizby ludzkiej napływającej do hali dworcowej coraz to nową, hałaśliwą i znów po chwili topniejącą falą, starałam się uporządkować swe myśli, znaleźć wyjście z tego kłębowiska złości, żalu i rozpacz. Najbardziej – dlaczego nie miałabym się do tego przyznać? – nurtowała mnie, paliła, wwiercała się niemiłosiernie w mózg myśl, że to ostatnie spotkanie nie doszło do skutku z mojej własnej winy. Byłam bliska płaczu, taki ból sprawiało mi rozżarzone do białości, bezlitośnie świdrujące ostrze tej samooskarżającej myśli.

Tylko ludzie, którzy żyli długo bez namiętności, zdolni są poznać w ciągu jednej jedynej chwili całą jej gwałtowną, druzgocącą jak lawina, przytłaczającą jak orkan potęgę. Gromadzone latami, niezużyte siły omal nie rozsadzają piersi.

Nigdy przedtem ani nigdy potem nie doznawałam podobnie bezsilnej wściekłości jak w tym momencie, kiedy odważyłam się na najśmielszy krok w moim życiu, kiedy gotowa byłam, nie oglądając się na nic rzucić na szalę całe moje oszczędzane, ciułane, utrzymane w korbach życie, a znalazłam się przed nieprzebytym murem nonsensu, o który bezsilnie biła jak głową o mur rozbudzona we mnie namiętność.

Czy to, co robiłam potem, mogło być czymś innym niż dalszym ciągiem nonsensu? Nie, to było głupie, niedorzeczne, szalone, wstydzę się prawie opowiadać, ale przecież przyrzekłam panu i sobie niczego nie przemilczać, więc... Pragnęłam go z powrotem mieć dla siebie... to znaczy... pragnęłam w myśli przeżyć raz jeszcze chwile, które przeżyliśmy wspólnie... Nie mogłam oprzeć się temu, aby nie wrócić do miejsc, gdzie byliśmy wczoraj... Do ławki w parku, z której zabrałam go siłą, do sali w kasynie, gdzie ujrzałam go po raz pierwszy... tak, też do owego obskurnego hotelu, ażeby raz jeszcze, jeszcze raz przeżyć wszystko od nowa.

Postanowiłam nazajutrz wybrać się powozem doliną Corniche... tą samą drogą, co dzisiaj... pragnęłam przywołać wszystkie jego słowa, gesty, uśmiechy – tak bezsensowne, tak dziecinne było to moje zapamiętanie. Ale trzeba zrozumieć, jak błyskawicznie runęła na mnie lawina wypadków. Czułam, jakby spadł na mnie jeden wielki ogłuszający cios. I tak brutalnie zbudzona z oszołomienia, za wszelką cenę chciałam te wymykające się przeżycia raz jeszcze utrwalić, jedno za drugim, za pomocą owej czarodziejskiej ułudy, którą nazywamy wspomnieniem. Pewnie, że nie każdy to zrozumie. Być może, aby zrozumieć, trzeba mieć serce płonące.

Najpierw udałam się do kasyna, chcąc odnaleźć stół, przy którym wczoraj siedział, i pośród setek innych rąk wyobrazić sobie jego ręce... Kiedy stanęłam na progu, przypomniałam sobie od razu, że stół znajdował się w drugiej sali, z lewej strony. Jak żywe stanęły mi w oczach wszystkie jego gesty. Znalazłabym to miejsce nawet z zamkniętymi oczyma.

Weszłam więc tam. I... w chwili gdy przemierzając salę rozejrzałam się wokoło, dostrzegłam nagle... Stało się coś arcydziwnego... oto w tym samym miejscu, w którym go sobie wyobrażałam – czyżby to halucynacja? – nie... to on... on, on... taki jakim wymarzyłam go sobie... taki sam jak wczoraj... oczy jak szklane, utkwione w kulce, twarz blada, jak upiór... Tak, to on... bez wątpienia o n...

Z przerażenia omal nie krzyknęłam. Lecz opanowałam się i szepnęłam do siebie, zamykajcie oczy: „Przywidziało ci się... śnisz... majaczysz... To niemożliwe... To halucynacja... Przecież wyjechał przed godziną...”.

Dopiero po chwili otworzyłam oczy. Nie, nie śniłam, nie ulega wątpliwości, że to on. Ten człowiek nie może mieć sobowótora. Wśród miliona rąk poznałabym te ręce... Tak, nie śniłam. To rzeczywistość. Nie dotrzymał przysięgi. Pieniądze, które mu dałam, przyniósł tu, na ten zielony stół. Podczas gdy ból, rozpacz i tęsknota rozszarpywały mi serce, on grał tu w zapamiętaniu, znów zdany na pastwę swej namiętności.

Rzuciłam się ku niemu. Wściekłość czerwoną falą zamroczyła mi oczy, wściekłość na krzywoprzysięcę, który tak bezwstydnie nadużył mego zaufania... Byłabym z rozkoszą zdusiła go za gardło, ale opanowałam się. Z umyślną powolnością – ileż mnie to kosztowało! – podeszłam do stołu.

Jakiś pan uprzejmie usunął się i odstąpił mi miejsca, właśnie naprzeciw niego. Dzieliły nas dwa metry zielonego sukna, mogłam się do woli napatrzeć w jego twarz, taką samą, jaką widziałam przed dwiema godzinami, opromienioną wdzięcznością i łaską niebiańską; teraz pożerały ją piekielne ognie namiętności. Te same ręce, które niedawno jeszcze składały się pobożnie do najświętszej przysięgi – teraz pławiły się w złocie jak lubieżne wampiry.

Tego wieczora wygrywał. Musiał wygrać wiele: przed nim leżały porozrzucane banknoty, migotały złote luidory, a jego wysmukłe palce nurzały się w tym bogactwie. Widziałam, jak gładził banknoty, jak pieścił okrągłe monety, jak nagle chwycił pełną garść i rzucał ją na któryś z kwadratów. I widziałam, jak na wołanie krupiera nozdrza zaczynały mu falować, oczy poządliwie wpijały się w rozigraną kulkę, a łokcie tkwiły jakby przyrośnięte do zielonego stołu. Jeszcze groźniejsze niż wczoraj było to nowe opętanie. Każdy jego ruch zabijał we mnie poprzedni wyfantazjowany świetlany obraz.

Dzieliły nas tylko dwa metry. Choć nie odrywałam od niego oczu, nie widział mnie jednak. Przyłgął jak zaczarowany wszystkimi zmysłami do zielonego kawałka sukna, na którym spoczywały jego pieniądze i toczyła się kulka rulety. Dla niego cały świat i cała ludzkość zawarte były w tym zielonym kwadracie. Wiedziałam: mogłabym tak stać godzinami niezauważona przez niego...

Lecz miałam już tego dość. Z nagłym postanowieniem obesłam stół, stanęłam za nim i twardo zacisnęłam rękę na jego ramieniu. Chwilę przyglądał mi się niewidzącymi źrenicami, obco jak pijak zbudzony ze snu, którego spojrzenie jest jeszcze jakby zasnutę mgłą. Potem poznał mnie widocznie, usta jego otworzyły się, podniósł głowę uszczęśliwiony i wymamrotał tonem dziwnej poufałości:

„Mam szczęście... Wiedziałem, jak tylko zobaczyłem go... wiedziałem od razu, że dobrze mi pójdzie”.

Nie rozumiałam nic ze słów tego szaleńca prócz tego, że upojony grą zapomniał o przysiędze, o umowie ze mną, o mnie, o całym świecie. Ale nawet teraz to jego opętanie wydawało mi się tak pełne uroku, że poddałam mu się i zapytałam tylko zaskoczona: kogo ma na myśli?

„O, ten stary rosyjski generał... bez ręki” – wyszeptał, przysuwając się do mnie jak najbliżej, żeby tylko nikt nie podsłuchał jego tajemnicy.

„...z białymi bokobrodami, lokaj stoi za jego krzesłem. Ten człowiek bez ustanku wygrywa. Obserwowałem go wczoraj, musi mieć system... stawiam tak samo jak on... Wczoraj też wygrywał, ale niepotrzebnie grałem dalej, kiedy wyszedł... To był gruby błąd... Wczoraj wygrał jakieś dwadzieścia tysięcy franków, dzisiaj za każdym razem wygrywa... Ja stawiam tak samo... więc...”.

Przerwał, gdy krupier zawołał chrapliwym głosem: *Faites votre jeu!*²⁵ I natychmiast jego oczy odwróciły się ode mnie i wpiły chciwie w sztywną, uroczystą sylwetkę siwobrodego Rosjanina, który po namyśle położył najpierw jedną a po chwili wahania i drugą sztukę złota, na czwarty kwadrat.

W tej samej chwili obie jego ręce porwały pełną garść złota i cisnęły na to samo miejsce. A gdy po upływie minuty krupier zawołał: „Zero!” – i grabki jego jednym ruchem wymiotły do czysta cały stół, patrzył na uciekające pieniądze jak na jakieś niepojęte dziwo.

Czy sądzi pan, że obrócił się do mnie? Nie, zupełnie zapomniał o mej obecności. Nie istniałam dla niego, zawisł oczyma na rękach rosyjskiego generała, który z całkowitą obojętnością ważył znów dwie złote monety na dłoni.

Nie potrafię panu opisać mego gniewu i rozpacz. Niech pan wczuje się w moje położenie: mieć świadomość, że znaczy się dla kogoś, komu się całe życie oddało, nie więcej niż mucha, którą się odpędza, gdy jest zbyt naprzykrzona! Ogarnęła mnie ponownie fala wściekłości. Chwyciłam go za rękę z całej siły:

„Pan wstanie natychmiast! – szepnęłam mu cicho, lecz rozkazująco. – Proszę przypomnieć sobie, co pan mi dziś przysiągł w kościele. Niech pan stąd wyjdzie!”.

Wlepił we mnie wzrok zaskoczony, pobladły. Oczy jego miały wyraz oczu zbitego psa, wargi drżały. Wydawało mi się, że w jednej chwili odzyskał pełną świadomość i przejął go strach przed sobą samym.

„Tak... tak... – bełkotał. – O Boże, Boże!... Idę już... przepraszam bardzo...”.

25 *Faites votre jeu!* (fr.) – zaczynajcie grę!

Lecz ręka, która zgarniała ze stołu pieniądze, początkowo szybkim, gwałtownym gestem, po chwili jak gdyby musiała pokonywać jakiś opór. Wzrok jego znów padł na generała, który właśnie zdecydował się na stawkę.

„Momencik... – rzucił szybko pięć sztuk złota na to samo pole. – Tylko jeszcze jeden raz... Przysięgam, że to ostatni raz... Tylko ta jedna gra...”.

Głos jego przygasł i gdy kulka zaczęła wirować, przykuła go do siebie zawrotna szybkość krążka, w którym tańczyła i podskakiwała. Znów wołał krupier, znów grabki zagarnęły jego stawkę. Przegrał. Ale i tym razem nie odwrócił się. Nie istniał dla niego, tak samo jak nie istniało słowo dane przed chwilą. Ręka pożądliwie sięgnęła po topniejący już kopczyk monet, a oczy jego nie odrywały się od siedzącego naprzeciw faworyta losu, tak jak nic odrywa się żelazo od magnesu.

Cierpliwość moja wyczerpała się. Chwyciłam go za rękę, teraz już gwałtownie:

„Niech pan natychmiast wstanie!... Natychmiast!”. Ale wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Gdy podniósł głowę, ujrzałam twarz nie zbłąkanego grzesznika, lecz furiata o płonących oczach i trzęsących się ze złości wargach.

„Proszę dać mi spokój – parsknął. – I iść sobie! Pani przynosi mi pecha! Przez panią przegrywam. Przez panią przegrałem wczoraj, a dzisiaj znowu... Niech pani stąd wyjdzie!”.

Oślupiałam. „Ja przynoszę nieszczęście? – napadłam na niego. – O, kłamco, złodzieju, krzywoprzysięzco...”.

Ale nie dokończyłam, gdyż zerwał się jak opętany i odepchnął mnie, nie zwracając uwagi, że wokół nas powstaje już zbiegowisko.

„Proszę dać mi spokój! – krzyczał na cały głos, nie licząc się z niczym. – Nie jestem pod pani kuratelą... Ma pani... ma pani swoje pieniądze! – i cisnął kilka stufrankowych banknotów. – A teraz proszę nareszcie dać mi spokój!”.

Ludzie zaczęli mi się przyglądać, szeptać, wskazywać na mnie, chichotać, nawet z sąsiedniej sali cisnęło się już wielu ciekawskich. Czułam się, jakby zdarto ze mnie suknię i jakbym stanęła przed nimi naga...

„*Silence, Madame, s'il vous plaît!*”²⁶ – powiedział krupier głośno i rozkazująco, przy czym stuknął grabkami po stole.

To do mnie odnosiły się te słowa...

Płonęłam ze wstydu, stałam przed tym tłumem szepcących gapiów, którzy patrzyli na mnie jak na dziwkę, której gość cisnął pieniądze.

Dwieście, trzysta par bezwstydných oczu wpijało się w moją twarz, lecz to bynajmniej nie był jeszcze szczyt mego upokorzenia... Kiedy zelżona, poniżona szukałam wyjścia z tego kręgu hańby, spotkałam utkwione w siebie z wyrazem bolesnej niespodzianki czyjeś oczy. Była to moja kuzynka, patrzyła na mnie jak na upiora, z półotwartymi ustami i z ręką uniesioną w górę.

Nim zdążyła się ruszyć, nim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, już mnie nic było na sali. Gdy znalazłam się w parku – nie wiem, kiedy to się stało – usiadłam na ławce, na tej samej ławce, która wczoraj przygarbnała tego szaleńca. Tak samo bezsilna, tak samo zdruzgotana i zboląła opadłam na twarde bezlitosne drewno...

26 *Silence, Madame, s'il vous plaît!* (fr.) – Proszę panią o spokój!

Minęło już dwadzieścia cztery lata od chwili, kiedy tam stałam wobec tysiąca obcych ludzi, wysmagana jego szyderstwem, ale ilekroć to sobie przypominam, krew mi w żyłach zastyga.

Jakże nędzne, ubogie i mizerne musi być to, co ludzie nazywają górnolotnie „duszą”, uczuciem, bólem, jeśli w najwyższym nawet swym napięciu nie ma dość siły, by rozsadzić od wewnątrz umęczone, udręczone ciało – jeśli można przeżyć podobne chwile, jeśli krew tętni nadal w żyłach, jak tętniła, chociaż człowiek powinien runąć pod takim ciosem, tak jak wali się drzewo rozłupane gromem.

Tylko na chwilę cierpienie tak podcięło mi nogi, że padłam bez tchu na ową ławkę z rozkosznie bolesnym przecuciem rychłej śmierci. A jednak – ból jest tchórzliwy, cofa się przed potężnym pragnieniem życia, instynkt mocniej związany jest z naszym ciałem niż żądza śmierci z duszą. I nie wiem znowu, jak to się stało po takim załamaniu – ale jednak wstałam, nie wiedząc wszakże, co z sobą robić.

I nagle przyszło mi na myśl, że moje walizki są już na dworcu. Myśl ta zelektryzowała mnie: wyjechać stąd, wyjechać, wyjechać, z tego przekłętą piekła!

Pobiegłam jak nieprzytomna na dworzec i zapytałam, o której odchodzi pociąg do Paryża. „O dziesiątej”, brzmiała odpowiedź informatora. Kazałam natychmiast nadać bagaż.

Dziesiąta. Dokładnie dwadzieścia cztery godziny upłynęły od fatalnego spotkania, doba wypełniona burzą zmiennych przeżyć, która na zawsze rozbiła mój świat wewnętrzny. Zrazu nie czułam nic. Cała moja świadomość była zawarta w tym jednym słowie „wyjechać”, które jak młot wybijało w duszy mej przejmujący rytm. Puls w skroni tętnił nieustannie: „Wyjechać! Wyjechać! Wyjechać! Uciekaj z tego miasta, uciekaj od siebie samej. Do domu, do swoich, do dawnego spokojnego życia”.

Jechałam całą noc do Paryża, tu przesiadłam na pociąg do Boulogne, stamtąd do Dover, z Dover do Londynu, do syna – bez zatrzymywania, bez zastanowienia, czterdzieści osiem godzin bez snu, bez jedzenia, bez jednego słowa! Czterdzieści osiem godzin dudniły koła pociągu jednostajnie: „Wyjechać! Wyjechać! Wyjechać!”.

Gdy zjawiłam się nieoczekiwanie u syna, wszyscy się przerazili: na mojej twarzy, w moim spojrzeniu musiało widocznie być coś, co mnie zdradzało. Syn chciał mnie objąć i ucałować. Cofnęłam się przerażona, że mógłby dotknąć warg, które uważałam za zbezczeszczone. Nie chciałam odpowiadać na żadne pytania – poprosiłam tylko o kąpiel; pragnęłam bowiem nade wszystko oczyszczenia i zdawało mi się, że wraz z pyłem podróżnym zmyję z ciała wszystek brud, wszystko, co do niego przylgnęło z tej niegodnej namiętności. Po kąpeli powlokłam się do mego pokoju i zasnąłam, spałam dwanaście, czternaście godzin ciężkim, kamiennym snem, jakiego nie zaznałam nigdy ani przedtem, ani potem, a gdy się zbudziłam, miałam wrażenie, że wstaję z trumny. Troskliwość rodziny sprawiała mi przykrość, zawstydział mnie ich takt, i musiałam strzec się nieustannie, aby nie wykrzyzczyć z siebie, jak bardzo byłam bliska zdrady, gotowa wymazać ich z mojej pamięci i porzucić na zawsze dla szaleńczej, obłądnej namiętności.

Po pewnym czasie znów bez żadnego określonego celu wyjechałam do jakiegoś małego miasteczka we Francji, gdzie nikt mnie nie znał. Dręczyła mnie nieustannie myśl, że znajomi na pierwszy rzut oka zauważą, co się ze mną stało, tak czułam się do głębi duszy zhańbiona. Nieraz budząc się odczuwałam straszliwy lęk przed otwarciem oczu. Obezwładniało mnie wspomnienie owej nocy, gdy zbudziłam się obok obcego, półobnażonego mężczyzny, i znów, jak wtedy, wypełniało mnie tylko jedno pragnienie: natychmiast umrzeć.

Ale przecież niewzruszone jest panowanie czasu nad uczuciami, a człowiek, starzejąc się zadziwiająco przyspiesza proces ich deprecjacji. Gdy przybliży się śmierć, gdy czarny jej cień pada już na naszą drogę, wszystkie sprawy zatracają ostrość konturów, nie godzą tak ostro w serce, tracą wiele ze swej groźnej siły. Stopniowo wracałam więc i ja do równowagi.

I gdy po latach spotkałam w towarzystwie młodego polskiego dyplomata, attaché austriackiego poselstwa, który na moje pytanie o ową rodzinę powiedział, że syn jego kuzyna przed dziesięciu laty zastrzelił się w Monte Carlo, wiadomość ta nie sprawiła mi bólu, a nawet – po co ukrywać egoizm? – doznałam jak gdyby pewnej ulgi, że ostatnia obawa – spotkania z nim – minęła bezpowrotnie. Odszedł świadek mego upadku, pozostały tylko wspomnienia. Od tego czasu uspokoiłam się znacznie. Im człowiek starszy, tym mniej obawia się swojej przeszłości.

Teraz zrozumie pan, dlaczego powzięłam tak nagle postanowienie, by opowiedzieć panu historię mego życia. Gdy pan z taką pasją bronił madame Henriette, twierdząc, że nawet dwadzieścia cztery godziny życia mogą całkowicie zdecydować o losach kobiety, wydało mi się, że to była o mnie mowa – i poczułam dla pana wdzięczność, gdyż po raz pierwszy zostałam jak gdyby utwierdzona w moich własnych sądach. Wtedy postanowiłam zrzucić ciężar z serca, wyzwolić się w ten sposób od męczącego koszmaru, od odrętwienia, którego dotąd nie mogłam się wyzbyc. Być może, jutro będę mogła już bez lęku udać się do kasyna, przejść przez tę salę, w której spotkałam moje przeznaczenie, i wyjść z niej bez nienawiści do nikogo. Teraz dopiero gład stoczył się z mego serca, całym ciężarem legł na przeszłości i już nie dopuści, by kiedykolwiek zmartwychwstała. Dobrze, że opowiedziałam panu to wszystko; jest mi teraz dużo lżej na duszy... I za to dziękuję panu.

Mówiąc to podniosła się nagle. Czułam, że jej opowieść jest skończona. Szukałam, zakłopotany, jakiegoś słowa. Mrs. C. musiała to dostrzec, gdyż zaprotestowała z góry:

– Nie, proszę nic nie mówić... nie chcę słów. Dzięki, że pan mnie wysłuchał. Szczęśliwej podróży.

Stała naprzeciwko mnie i podała mi dłoń na pożegnanie. Mimo woli podniosłem głowę i spojrzałem na jej twarz. Cudownie wzruszające było oblicze tej starej kobiety, na którym malowała się dobroć i lekkie zawstydzenie. Czy to odblask minionej namiętności, czy oznaka zmieszania: policzki jej oblał rumieniec aż po koronę białych włosów. Stała tak przede mną jak młoda dziewczyna wstrząśnięta wspomnieniami i zmieszana własną spowiedzią.

Bardzo pragnąłem okazać jej jakimś słowem wzruszenie i szacunek. Ale gardło miałem jakby ściśnięte. Pochyliłem się tylko nisko i z czią ucałowałem jej rękę, zwiędłą i drżąca, jak liść jesienny.

Przełożyła
Maria Wisłowska

NOWELA SZACHOWA

Na wielkim parowcu pasażerskim, który miał odejść o północy z Nowego Jorku do Buenos Aires, panowały, jak zwykle w ostatniej godzinie, ruch i krzątanina. Goście z lądu odprowadzali tłumnie przyjaciół, chłopcy w czapkach na bakier, roznosząc telegramy, wykrzykiwali po salonach i palarniach nazwiska, taszczono kufry i kwiaty, na schodkach uwijały się ciekawie dzieci, podczas gdy na pokładzie grała niewzruszenie orkiestra. Stałem na spacerowym pokładzie nieco w cieniu tego zgiełku, rozmawiając ze znajomym, gdy obok nas dwa lub trzy razy rozbłysły ostre światła: widocznie tuż przed odjazdem reporterzy przeprowadzali jeszcze szybko wywiad i fotografowali jakąś znakomitość. Mój przyjaciel spojrzał w tę stronę i uśmiechnął się:

– Ma pan tu na pokładzie rzadkiego ptaszka Czentovicia.

Przyjąłem tę wiadomość widąc z niezbyt mądrą miną, gdyż po chwili wyjaśnił:

– Mirko Czentovic, mistrz świata w szachach. Objechał z turniejami całą Amerykę od wschodu na zachód i oto wyrusza po nowe triumfy do Argentyny.

Teraz istotnie przypomniałem sobie tego młodego mistrza świata, a nawet pewne szczegóły jego zawrotnej kariery; mój przyjaciel, uważniejszy czytelnik gazet niż ja, mógł uzupełnić ją całym szeregiem anegdot. Mniej więcej rok temu Czentovic za jednym zamachem stanął u boku najwytrawniejszych mistrzów szachowej sztuki, jak Aljechin, Capablanca, Tartakower, Lasker, Bogoliubow. Od wystąpienia siedmioletniego „cudownego dziecka”, Rzeszewskiego, w turnieju szachowym w roku 1922 w Nowym Jorku, nigdy jeszcze wtargnięcie osoby zupełnie nieznanego do tego sławnego cechu nie wywołało tak powszechnej sensacji. Albowiem intelektualne właściwości Czentovicia nie zdawały się bynajmniej zapowiadać tak olśniewającej kariery. Wkrótce przesiąkła jakoś tajemnica, że w prywatnym życiu ten mistrz szachów w żadnym języku nie umiał napisać jednego zdania bez ortograficznego błędu, a jak zażartował jeden z jego podenerwowanych kolegów – jego ignorancja była równie uniwersalna we wszystkich dziedzinach. Czentovic był synem biednego jak mysz kościelna południowo-słowiańskiego szypra na Dunaju, którego malutką barękę przewrócił pewnej nocy jakiś parowiec ze zbożem; po śmierci ojca dwunastoletniego podówczas chłopca wziął do siebie z litości proboszcz owej zapadłej wioski; poczciwy pater rzetelnie starał się domową pomocą nadrobić to, czego tępy, o leniwym języku i szerokim czole dzieciak nie mógł nauczyć się w wiejskiej szkole.

Lecz wszelkie usiłowania pozostawały daremne. Mirko gapił się na wyjaśniane mu po sto razy znaki pisarskie i nadal nic nie rozumiał; jego ociężały mózg nie mógł zapamiętać nawet najprostszych przedmiotów nauki. Kiedy rachował, to jeszcze w czternastym roku życia musiał pomagać sobie palcami, a przeczytanie książki lub gazety nawet dla dorastającego chłopca stanowiło szczególny wysiłek. Mimo to nie można było nazwać Mirka chłopcem niechętnym lub krnąbrnym. Robił posłusznie wszystko, co mu kazano, nosił wodę, rąbał drzewo, pracował w polu, sprzątał kuchnię i spełniał solidnie, aczkolwiek z irytującą powolnością, wszelkie wymagane odeń posługi. Lecz tym, co poczciwego *patre* najbardziej u tego dziwaczego chłopca gniewało, była jego absolutna obojętność. Nie robił nic bez specjalnego polecenia, nigdy o nic nie zapytał, nie bawił się z innymi chłopakami i nigdy sam nie poszukał sobie zajęcia, jeśli mu go wyraźnie nie wskazano; gdy Mirko kończył swe czynności gospodarskie, siadał bezmyślnie w pokoju z owym pustym spojrzeniem, jakie mają owce na pastwisku, nie biorąc najmniejszego udziału w zdarzeniach otaczającego go świata. Gdy wieczorami pater, pykając długą chłopską fajkę, grał z wachmistrzem żandarmerii swoje trzy partie szachów, jasnowłosy Mirko sterczał koło nich w milczeniu i na pozór sennie i obojętnie gapił się na kratkowaną deszczuikę.

Pewnego zimowego wieczora, gdy obaj partnerzy byli zatopieni w swej codziennej partyjce, na wiejskim gościńcu rozległy się dzwoneczki sań i zbliżały się coraz szybciej. Do pokoju wszedł chłop w obsypanej śniegiem czapce: jego stara matka leży konająca i niech się ksiądz proboszcz pośpieszy, aby zdążyć jeszcze udzielić ostatniego namaszczenia. Kapłan wyszedł niezwłocznie za nim. Wachmistrz żandarmerii, który nie dopił swej szklanki piwa, zapalił na pożegnanie świeżą fajkę i właśnie zamierzał włożyć ciężkie buty z cholewami, gdy zwrócił jego uwagę wzrok Mirka, wbity uporczywie w szachownicę z rozpoczętą partią.

– Może chcesz jej dokończyć? – zażartował żandarm, przekonany głęboko, że ospały chłopak ani jednej figury nie potrafi należycie przestawić. Mirko spojrzął na niego płochliwie, potem skinął głową i usiadł na miejscu proboszcza. Po czternastu ruchach żandarm przegrał, a ponadto musiał przyznać, że porażka nie wynikła bynajmniej z jakiegoś niedbałego przeoczenia. Nie inaczej wypadła druga partia.

– Oślica Balaama! – wykrzyknął zdumiony pater wróciwszy do domu, po czym mniej biegłemu w Biblii żandarmowi wyjaśnił, że już przed dwoma tysiącami lat zdarzył się podobny cud i nieme stworzenie przemówiło nagle językiem mądrości. Mimo późnej pory ksiądz nie mógł się powstrzymać, by nie wyzwać swego domowego półanalfabety na szachowy pojedynek. Mirko i jego pokonał bez trudu. Grał uparcie, powoli, niewzruszenie, ani razu nie uniósłszy znad szachownicy pochylonego szerokiego czoła. Ale grał z niezaprzeczoną pewnością; w następnych dniach ani księdzu, ani żandarmowi nie udało się wygrać z nim ani jednej partii. Proboszcz, który lepiej niż ktokolwiek mógł ocenić niedorozwój swego wychowanka pod innymi względami, zainteresował się teraz poważnie, jak dalece taki jednostronny i osobliwy talent stawi opór jakiemuś surowszemu egzaminowi. U fryzjera wiejskiego kazał ostrzyć nastroszoną słomiano-blond czuprynę Mirka, aby się jako tako prezentował, i zawiózł go saniami do sąsiedniego miasteczka, gdzie w kawiarence na rynku mieli swój kąć namiętni szachiści, którym on sam – jak się już przekonał – nie mógł sprostać. Wśród stałych bywalców wywołało to niemałe zdumienie, gdy proboszcz wepchnął do kawiarni rumianego piętnastoletniego wyrostka w baranym kozuchu, noszonym włosom do środka, i ciężkich wysokich butach; zdziwiony chłopak stał w kącie ze spuszczoneymi nieśmiało oczyma, dopóki nie zawołano go do stolika z szachami. W pierwszej partii Mirko został pokonany, gdyż u poczciwego proboszcza nigdy nie widział tak zwanego sycylijskiego otwarcia. W drugiej partii już z najlepszym graczem wyszedł na remis. Od trzeciej i czwartej bił wszystkich, jednego po drugim.

W małym południowosłowiańskim miasteczku zaczęły się teraz dzieć niezwykle podniecające sprawy; pierwsze wystąpienie tego chłopskiego czempiona od razu stało się sensacją dla zebranych osobistości. Postanowiono jednogłośnie, że „cudowny chłopaczek” musi koniecznie zostać w mieście do następnego dnia, ażeby można było zwołać innych członków klubu szachistów, a przede wszystkim zawiadomić fanatyka szachów – starego hrabiego Simczicia z zamku. Proboszcz, który z całkiem nową dumą spogląda! na swego wychowanka, lecz mimo radości odkrywczy nie chciał zaniedbać obowiązku niedzielnej mszy, oświadczył gotowość pozostawienia Mirka w mieście celem dalszych prób. Młodego Czentovicia umieszczono na koszt klubu w hotelu, gdzie tegoż wieczora pierwszy raz w życiu ujrzał – angielski klozet.

Następnego niedzielnego popołudnia pokój szachistów był przepełniony. Mirko, siedząc nieruchomo cztery godziny nad szachownicą, nie mówiąc słowa i nie podnosząc nawet wzroku, zwyciężał jednego gracza po drugim; wreszcie zaproponowano mu symultanę. Trwało dobrą chwilę, nim wytłumaczono młodemu ignorantowi, że w symultancie ma walczyć sam przeciwko rozmaitym graczom. Lecz skoro tylko Mirko zrozumiał ten rodzaj gry, zorientował się szybko w zadaniu i w swych ciężkich, skrzypiących butach chodził powoli od stolika do stolika i w końcu z ośmiu partii wygrał siedem.

Zaczęły się teraz wielkie narady. Jakkolwiek, ściśle biorąc, nowy ten czempion nie był przynależny do miasta, to jednak dumą narodową rozgorzała żywym płomieniem. Może przecież to małe miasteczko, którego dotąd nie dostrzegano niemal na mapie, pierwszy raz dostąpi wreszcie zaszczytu wysłania w świat jakiegoś sławnego człowieka. Pewien agent nazwiskiem Keller, który zazwyczaj pośredniczy! tylko w dostarczaniu szansonistek i śpiewaczek dla garnizonowego kabaretu, oświadczył, że jeśli zapewni mu się roczną dotację, gotów jest zabrać młodzieńca do Wiednia i wykształcić na fachowca szachowego kunsztu u znanego sobie doskonałego, acz skromnego mistrza. Hrabia Simčić, który w ciągu sześćdziesięciu lat codziennej gry w szachy nie spotkał się jeszcze z tak osobliwym przeciwnikiem, wyasygnował natychmiast potrzebną sumę. Od tego dnia zaczęła się zdumiewająca kariera tego szyprowego syna.

Po upływie półrocza Mirko opanował wszystkie arkana techniki szachowej, co prawda z pewnym dość dziwnym ograniczeniem, które w kołach fachowców stało się później przedmiotem licznych obserwacji i kpin. Albowiem Czentovic nigdy nie doszedł do tego, by choć jedną partię móc zagrać z pamięci lub jak się to mówi fachowo: na ślepo. Brakło mu całkowicie dam ustawiania szachownicy w nieograniczonej przestrzeni wyobraźni. Zawsze musiał mieć przed sobą konkretną czarno-białą kratę z sześćdziesięciu czterema polami i trzydziestu dwu figurami; nawet później, za czasów swej światowej sławy, nosił stale przy sobie składane kieszonkowe szachy, aby, chcąc zrekonstruować jakąś mistrzowską partię lub rozwiązać jakiś problem, móc przedstawić to sobie optycznie. Defekt ten – jako taki dosyć nieznaczny – zdradzał jednakże brak siły wyobraźni i w ciasnym kręgli szachistów wywoływał równie żywe dyskusje, jak gdyby na przykład wśród muzyków wybitny wirtuoz czy dyrygent okazał się niezdolny do grania czy dyrygowania bez otwartej partytury. Ale ta dziwna cecha nie opóźniała bynajmniej zdumiewających postępów Mirka. W siedemnastym roku życia uzyskał już tuzin nagród, w osiemnastym zdobył mistrzostwo Węgier, wreszcie w dwudziestym – mistrzostwo świata. Najzuchwalsi czempioni, z których każdy z osobna przewyższał go nieskończenie zdolnościami intelektualnymi, fantazją i śmiałością, ulegali jego upartej i zimnej logice, tak jak Napoleon uległ ociężałemu Kutuzowowi, a Hannibal Fabiuszowi Kunktatorowi, który – jak powiada Liwiusz – był w dzieciństwie równie flegmatyczny i głupkowaty. Tak się więc stało, że do świetnej galerii mistrzów szachowych, jednoczącej w swoich szeregach rozmaite typy intelektualnych uzdolnień – filozofów, matematyków, ludzi posiadających niezwykle dar kalkulacji i wyobraźni i często twórczych – wtargnął po raz pierwszy ktoś bardzo daleki od

świata ducha: ciężki, nie umiejący się wysłowić chłopak wiejski, z którego nawet najsprytniejszemu dziennikarzowi nie udało się nigdy wydobyć żadnego przydatnego w publicystyce słowa. Czentovic nie dostarczał tedy gazetom owych gładkich frazesów, lecz miejsce ich zajęły niebawem liczne anegdoty o jego osobie. Albowiem z chwilą gdy opuszczał szachownicę, gdzie był niezrównanym mistrzem, stawał się nieuchronnie figurą groteskową i prawie śmieszną; mimo uroczystego czarnego ubrania, pompatycznego krawata z nieco zbyt wpadającą w oko perłą i wymanikiurowanych troskliwie palców, w manierach i sposobie bycia pozostał tym samym ograniczonym chłopkiem, który zamiatał na wsi izbą proboszcza. Niezręcznie i wręcz bezwstydnie grubiańsko (ku uciesze i złości swoich kolegów po fachu), z małostkową i często ordynarną chciwością starał się wycisnąć ze swego talentu i sławy tyle pieniędzy, ile się tylko dało. Jeździł od miasta do miasta, mieszkając zawsze w najtańszych hotelach, grywał w najnudniejszych stowarzyszeniach, o ile godzono się na jego honorarium, pozwalał umieszczać swoją podobiznę na reklamach mydła, a nawet nie zważając na kpiny konkurentów, którzy dobrze wiedzieli, że trzech zdań nie potrafi bezbłędnie napisać, sprzedał swoje nazwisko dla *Filozofii szachów*, którą w rzeczywistości napisał dla obrotnego wydawcy jakiś galicyjski studencik. Jak wszystkim upartym naturom brakło mu absolutnie wszelkiego poczucia humoru; od czasu zwycięstwa w światowym turnieju uważał się za najważniejszego człowieka na świecie, a świadomość, że wszystkich tych świetnych mówców i pisarzy pobił na ich własnym terenie, a przede wszystkim namacalny fakt, iż więcej od nich zarabiał, przeobraziły jego poprzednią nieśmiałość w zimną i prostacko okazywaną dumę.

– Lecz jak taka szybka sława mogła nie zaśmiecić tak pustej głowy?
– zakończył mój przyjaciel, który podał mi właśnie kilka przykładów dziecinnej pychy Czentovicia. – Jak dwudziestojednoletni chłopak wiejski z Banatu mógł nie wpaść w szaf próżności, jeśli nagle suwaniem figur po drewnianej deszczulce zarabiał więcej w ciągu tygodnia niż cała jego rodzinna wieś w ciągu całego roku ścinaniem drzewa i najcięższą harówką? A poza tym, czyż nie jest właściwie diabelnie łatwo uważać się za wielkiego człowieka, skoro się nie ma najbledszego pojęcia, że żył kiedyś na świecie jakiś Rembrandt, Beethoven, Dante czy Napoleon? Ten chłopak wie w swoim zakutym mózgu tylko jedno: że od wielu miesięcy nie przegrał ani jednej partii szachów, a ponieważ nie ma pojęcia, że oprócz szachów i pieniędzy istnieją na naszym globie jeszcze inne wartości, ma wszelkie powody, aby być sobą zachwycony.

Informacje mego przyjaciela nic omieszkwały obudzić we mnie szczególnej ciekawości. Całe życie przyciągały mnie ogromnie wszelkie rodzaje monomanów, ludzi zasklepionych w jednej, jedynej idei, gdyż im bardziej się ktoś ogranicza, tym bliższym jest jednak nieskończoności; właśnie tacy ludzie, pozornie dalecy od spraw tego świata, na kształt termitów budują sobie w swej szczególnej materii jakiś osobliwy i absolutnie niepowtarzalny skrót świata. Toteż nie tailem mego zamiaru, by w ciągu dwunastodniowej podróży do Rio przyjrzeć się bliżej temu dziwnemu okazowi intelektualnej jednotorowości.

– Nie będzie pan miał tutaj szczęścia – ostrzegął mój przyjaciel. – O ile mi wiadomo, nikomu się jeszcze nie udało wydobyć z Czentovicia choćby krztynę psychologicznego materiału. Za całym swym bezdennym ograniczeniem ukrywa ten chytry chłop tę wielką mądrość, aby się nie kompromitować, a to dzięki prostej technice, że z wyjątkiem ludzi z własnej sfery, których wyszukuje sobie po małych knajpkach, unika wszelkich rozmów. Gdy czuje człowieka wykształconego, włazi do swej ślimaczej skorupy; toteż nikt się nie może pochwalić, że usłyszał od niego jakieś głupie słowo lub zmierzył nieograniczoną głębię jego ignorancji.

Mój przyjaciel miał rację. Podczas pierwszych dni podróży okazało się zupełną niemożliwością zbliżyć się do Czentovicia, nie będąc szczególnie natrętnym, co w końcu nie jest moją cechą. Czasem przechadzał się on wprawdzie po pokładzie, lecz zawsze z rękami założonymi na plecach i w tak dumnie zapatrzonej w siebie postawie jak Napoleon na owym znanym obrazie; ponadto odbywał swą perypatetyczną rundę tak szybko i gwałtownie, że chcąc go zagadnąć, musiałoby się go ścigać kłusem. W salonach zaś, w barze czy w palarni nie pokazywał się nigdy; jak dowiedziałem się poufnie od stewarda, Czentovic większą część dnia spędzał w kajucie, gdzie na ogromnej szachownicy ćwiczył lub rekapitulował partie szachów.

Po trzech dniach zaczęło mnie naprawdę drażnić, że jego zręczna technika obronna jest zręczniejsza od mojej chęci zbliżenia się do niego. Nigdy jeszcze nie miałem okazji nawiązania osobistej znajomości z jakimś mistrzem szachów i im bardziej się starałem przedstawić sobie taki typ, tym bardziej niewyobrażalna wydawała mi się czynność mózgu, obracająca się przez całe życie na przestrzeni sześćdziesięciu czterech czarnych i białych pól. Znałem oczywiście z własnego doświadczenia ową tajemniczą atrakcyjność tej „królewskiej gry”, jedynej spośród wymyślonych przez człowieka gier, która uchyla się suwerennie od wszelkiej tyranii przypadku i udziela palm zwycięstwa jedynie umysłowi, a raczej pewnej formie umysłowych uzdolnień. Lecz czyż nie dopuszczamy się już zgoła obelżywego ograniczenia, nazywając szachy grą? Czyż nie są one również wiedzą, sztuką, wahając się między tymi dwiema kategoriami jak trumna Mahometa pomiędzy niebem i ziemią, jakimś jednorazowym związkiem wszelkich przeciwstawnych par; czymś prastarym, a jednak wiecznie nowym, mechanicznym w założeniu, jednak skutecznym jedynie przez fantazję, czymś ograniczonym w geometrycznie sztywnej przestrzeni, a przy tym nieograniczonym w kombinacjach, rozwijającym się stale, a jednak jałowym myśleniem, które do niczego nie prowadzi, matematyką, która niczego nie oblicza, sztuką bez dzieł, architekturą bez substancji, niemniej jednak dowodnie trwalszą w swym bycie i istnieniu od wielu ksiąg i dzieł? Czyż nie jest to jedyna gra, należąca do wszystkich ludów i wszystkich czasów, gra, o której nikt nie wie, jaki Bóg zesłał ją na ziemię, aby uśmiercić nudę, wyostrzyć zmysły, napiąć ducha? Gdzież jest w niej początek i gdzie koniec? Każde dziecko może się nauczyć jej podstawowych reguł, każdy partacz może się w niej ćwiczyć, a jednak w granicach tego ciasnego kwadratu może ona wytworzyć specjalny rodzaj

mistrzów, których nie da się porównać z żadnymi innymi, ludzi z jednym jedynym, właśnie szachowym talentem, specyficznych geniuszów, u których wizja, cierpliwość i technika działają w równie ściśle określonych proporcjach jak u matematyka, u poety, u muzyka, tylko w odmiennych nawarstwieniach i połączeniach. Dawniej, w czasach fizjonomicznej pasji, jakiś Gall przeprowadzałby może sekcje mózgów szachowych mistrzów, ażeby stwierdzić, czy w szarej masie mózgu tych geniuszów znajdzie jakieś szczególne zwoje, coś w rodzaju szachowego mięśnia czy garbu, zarysowanego intensywniej niż w innych czaszkach. A jakżeby dopiero nęcił badacza fizjonomii przypadek takiego Czentovicia, u którego ów specyficzny geniusz występuje pośród absolutnej gnuśności intelektualnej niby żyłka złota w cetnarze głuchego kamienia! W zasadzie od dawna było dla mnie zrozumiałe, że tak jedyna w swoim rodzaju, tak genialna gra musiała wytworzyć specyficznych matadorów; lecz jakże trudne i chyba niemożliwe wydaje mi się wyobrażenie życia człowieka o żywym i ruchliwym umyśle, któremu cały świat redukuje się wyłącznie do wąskiego, jedyne toru pomiędzy czarnym i białym, który jedynie w przesuwaniu tędy i owędy, naprzód i w tył trzydziestu dwu figur szuka życiowych triumfów, człowieka, dla którego wysunięcie przy nowym otwarciu skoczka miast piona stanowi już wielki czyn i wyznacza mu skromny kącik nieśmiertelności w zaułku księgi szachów – człowieka, człowieka intelektu, który nie popadając w obłęd, przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat używa nieustannie całej prężności swego myślenia do tak śmiesznego zadania jak zapędzenie drewnianego króla w rożek drewnianej deski!

I oto taki fenomen, taki osobliwy geniusz czy tajemniczy szalenciec znajdował się po raz pierwszy tuż obok mnie, o sześć kajut dalej na tym samym statku, a ja, nieszczęsny, u którego ciekawość spraw duchowych przeradzała się zawsze w pasję, nie umiałem się do niego zbliżyć. Zacząłem wymyślać najbardziej absurdalne fortele: aby podrażnić na przykład jego próżność, przeprowadzając z nim rzekomy wywiad dla jakiejś ważnej gazety albo uderzyć w jego chciwość, proponując intratny turniej w Szkocji. W końcu jednakże przypomniałem sobie, że najbardziej wypróbowana technika myśliwych w przywabianiu głuszcza polega na tym, że naśladują jego tokowanie; bo czym właściwie zwrócić na siebie uwagę mistrza szachów jak nie tym, że się samemu gra w szachy?

Jednakowoż nigdy w życiu nie byłem poważnym artystą w szachach, a to z tej prostej przyczyny, że zajmowałem się nimi zawsze zgoła niestatecznie i wyłącznie dla własnej przyjemności; jeśli siadam kiedy na godzinkę do szachownicy, to nie po to, by się natężyć, lecz przeciwnie, aby odprężyć się po umysłowym wysiłku. „Gram” w szachy w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa, podczas gdy inni, rzeczywiści gracze, „celebrują” szachy, jeśli wolno wprowadzić tutaj tak nieoczekiwane słowo. W szachach, jak w miłości, partner jest nieodzowny, w tej zaś chwili nie wiedziałem, czy oprócz nas znajdowali się na statku jeszcze inni miłośnicy szachów. Aby wywabić ich z ukrycia, zastawiłem w palarni prymitywną pułapkę i – niby ptasznik na łowach – usiadłem przy szachownicy z moją żoną, jakkolwiek ona gra jeszcze słabiej ode mnie. I rzeczywiście, nie zrobiliśmy nawet sześciu ruchów, gdy ktoś zatrzymał się już mimochodem, a ktoś drugi poprosił, by wolno mu się było przyglądać; w końcu znalazł się też pożądaný partner, który zaproponował mi partię. Nazywał się Mc Connor i był szkockim inżynierem górnikiem, który, jak słyszałem, dorobił się znacznego majątku przy wierceniu nafty w Kalifornii; z wyglądu był to człowiek krępy, o silnym, niemal kwadratowym, twardym podbródku, mocnych zębach i raczej ciemnej twarzy, której wyraźnie czerwonawy odcień zawdzięczał zapewne, przynajmniej po części, obfitej konsumpcji whisky. Niezwykle szerokie, niemal atletyczne bary w charakterystyczny sposób zaznaczały się, niestety, także i w grze, albowiem ten mister Mc Connor należał do gatunku owych zachwyconych sobą ludzi sukcesu, którzy każdą klęskę, choćby w najbliższej grze, odczuwają natychmiast jako obniżenie własnej wartości. Przyzwyczajony do bezwzględnego rozpychania się w życiu i zepsuty faktycznym powodzeniem, ten zażywny *selfmademan* był tak

niezłomnie przejęty swoją wyższością, że każda przeszkoda oburzała go jako zgoła niesłyszany opór i niemal obelga. Kiedy przegrał pierwszą partię, zaczął zrzedzić i tłumaczył rozwlekłe i po dyktatorsku, że mogło się to zdarzyć jedynie dzięki jego chwilowej nieuwadze; przy trzeciej partii porażkę złożył na karb hałasu w sąsiednim pomieszczeniu; nie mógł się też nigdy pogodzić z przegraną, bez natychmiastowego żądania rewanżu. Zrazu bawiła mnie taka ambitna zawziętość; w końcu uważałem ją tylko za nieunikniony objaw towarzyszący memu właściwemu zamiarowi: zwabieniu do stołu mistrza świata.

Udało się to trzeciego dnia, lecz udało się tylko połowicznie. Czy to Czentovic zobaczył nas przy szachownicy przez okienko spacerowego pokładu, czy też przypadkiem zaszczyił swą obecnością palarnię – dość, że ujrawszy nas, profanów, uprawiających jego sztukę, podszedł o krok bliżej i z przywoitej odległości rzucił baczne spojrzenie na naszą szachownicę. Właśnie Mc Connor miał zrobić ruch. I już ten jeden ruch wystarczył widocznie, by przekonać Czentovicia, że dalsze obserwowanie naszych dyletanckich wysiłków nie jest godne jego mistrzowskiego zainteresowania. Takim samym gestem, jakim ktoś z nas odkłada w księgarni proponowaną mu kiepską powieść kryminalną nie zajrzawszy nawet do środka, Czentovic odwrócił się od naszego stołu i wyszedł z palarni.

„Zważył i uznał za zbyt lekkie” – pomyślałem sobie, podrażniony nieco tym chłodnym, pogardliwym spojrzeniem, i aby dać jakoś upust memu złemu humorowi powiedziałem do Mc Connora:

- Pański ruch nie wywołał widać zachwyty mistrza.
- Jakiego mistrza?

Wyjaśniłem mu, że ów pan, który nas właśnie minął, spoglądając z taką dezaprobatą na naszą grę, jest mistrzem szachów – Czentoviciem.

– No – dodałem – przebolejemy to obaj i bez bólu serca pogodzimy się z jego dostojną pogardą; trudno, biedni ludzie muszą gotować na wodzie.

Ale ku memu zdziwieniu moja nonszalancka informacja wywarła zgoła nieoczekiwany skutek. Mc Connor obruszył się natychmiast, zapomniał o partii i ambicja jego po prostu zakipiiała. Nie miał pojęcia, że Czentovic jest na statku i Czentovic musi bezwarunkowo z nim zagrać. Nigdy w życiu nie grał jeszcze z żadnym mistrzem świata, wyjąwszy jedyny raz w symultance z czterdziestu innymi graczami; i już tanto było ogromnie interesujące, a on, Mc Connor o mało wtedy nie wygrał. Czy znam mistrza osobiście? Zaprzeczyłem. Czy nie mógłbym zagadnąć go i zaprosić do nas? Odmówiłem z tym uzasadnieniem, że o ile mi wiadomo, Czentovic nie sprzyja zbyt nowym znajomościom. Poza tym, jakież urok może mieć dla mistrza świata partia z trzeciorzędnymi graczami?

No, o tych trzeciorzędnych graczach nie powinienem był raczej wspomnieć wobec tak ambitnego człowieka jak Mc Connor. Oparł się gniewnie o poręcz krzesła i oświadczył szorstko, że co do niego, to nie może uwierzyć, aby Czentovic odrzucił uprzejmą propozycję dżentelmena, i że on się już o to postara. Na jego życzenie podałem mu krótki opis osoby mistrza świata, po czym Mc Connor, porzucając obojętnie naszą szachownicę z niepohamowaną niecierpliwością wybiegł za Czentovicem na pokład. I znowu poczułem, że jeśli właściciel takich barów czegoś pragnie, nic go nie zdoła powstrzymać.

Czekałem z dość dużym napięciem. Za dziesięć minut Mc Connor wrócił, zdaje się w nie najlepszym humorze. – No i cóż? – zapytałem.

– Miał pan rację – powiedział trochę zły. – To nie jest zbyt miły człowiek. Przedstawiłem mu się i powiedziałem, kim jestem. Nawet nie podał mi ręki. Starłem się go przekonać, że wszyscy będziemy dumni i zaszczytni, jeśli zechce zagrać z nami symulantkę. Ale był diablo sztywny; bardzo żałuje, ale ma kontraktowe zobowiązania wobec swego agenta, te zaś podczas całego *tournée* zabraniają mu wyraźnie grać bez honorarium. Jego minimum wynosi dwieście pięćdziesiąt dolarów od partii.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że przesuwanie figur z czarnego na białe może być tak intratnym interesem. No, spodziewam się, że go pan równie uprzejmie pożegnał.

Lecz Mc Connor był nadal głęboko poważny.

– Wyznaczyliśmy partię na jutro o trzeciej po południu. Tutaj w palarni. Mam nadzieję, że nie tak łatwo damy zrobić z siebie marmoladę.

– Co? Pan zgodził się na te jego dwieście pięćdziesiąt dolarów? – zawołałem zdumiony.

– Dlaczego nie? *C'est son métier*.²⁷ Gdybym miał ból zęba, a na statku znalazł się przypadkiem dentysta, też nie wymagałbym, aby wyrwał mi ząb za darmo. Ten człowiek ma zupełną rację, że każe sobie słono płać; w każdym zawodzie ci, co naprawdę coś umieją, są także najlepszymi kupcami. A co do mnie, to im interes jaśniejszy, tym lepszy. Wolę zapłacić gotówką, niż aby jakiś pan Czentovic zrobił mi łaskę, za którą musiałbym mu jeszcze dziękować. Zresztą nieraz już przegrywałem w klubie więcej niż dwieście pięćdziesiąt dolarów w jeden wieczór i to nie grając z żadnym mistrzem świata. Dla „trzeciorzędnego gracza” nie jest hańbą dostać w skórę od takiego Czentovicia.

Bawiło mnie obserwować, jak głęboko uraziłem samopoczucie Mc Connora jednym niewinnym powiedzeniem: „trzeciorzędny gracz”. Ponieważ jednak on miał ponieść koszty tej drogiej zabawy, nie miałem nic przeciwko tak pomyłonej ambicji, dzięki której miałem zawrzeć wreszcie znajomość z tym moim curiosum. O oczekiwanym wydarzeniu powiadomiliśmy szybko tych czterech czy pięciu panów, którzy zdeklarowali się dotychczas jako szachiści, a ponieważ chcieliśmy, aby nam jak najmniej przeszkadzano, zarezerwowaliśmy dla meczu nie tylko nasz stół, ale również stoły sąsiednie.

27 *C'est son métier* (fr.) – To jego fach.

Następnego dnia nasza grupka zjawiała się w komplecie o umówionej godzinie. Środkowe miejsce naprzeciwko mistrza przydzielono naturalnie Mc Connorowi, który wyładowywał swą nerwowość zapalaniem jednego cygara po drugim i niespokojnym zerkaniem na zegar. Ale mistrz kazał na siebie czekać dobrych dziesięć minut (po opowiadaniach mego przyjaciela przeczuwałem już coś w tym rodzaju), co, oczywiście, nadało jego zjawieniu się szczególny walor. Podszedł do stołu spokojnie i powoli. Nie przedstawivszy się („Wiedzie, kim ja jestem, a kim wy jesteście, to mnie nie interesuje”, zdawała się mówić ta niegrzeczność), z fachową oschłością zaczął wydawać rzeczowe zarządzenia. Ponieważ symultanka jest niemożliwa z powodu braku na statku odpowiedniej ilości szachownic, proponuje, ażebyśmy grali wszyscy przeciwko niemu. By nie przeszkadzać nam w naradach, on po każdym ruchu przeniesie się do innego stołu na końcu pałami. Gdy zrobimy nasz ruch, mamy zadzwonić łyżeczką o szklanę, ponieważ, niestety, nie ma pod ręką dzwonka. Jako maksymalny czas dla jednego ruchu proponuje dziesięć minut, o ile nie mamy innych życzeń. Przytaknęliśmy naturalnie wszystkim jego propozycjom jak posłuszni uczniowie. Przy wyborze koloru przypadł Czentoviciowi czarny; jeszcze stojąc wykonał swój ruch i od razu udał się na wskazane mu miejsce, gdzie usiadłszy niedbale przeglądał jakieś ilustrowane pismo.

Nie ma sensu rozwodzić się zbytnio nad partią. Skończyła się naturalnie tak, jak musiała się skończyć: naszą totalną klęską i to już przy dwudziestym czwartym ruchu. W samym fakcie, że mistrz świata w szachach zmiótł od niechcenia pół tuzina średnich lub mniej niż średnich graczy nie było nic dziwnego; przykre wrażenie na nas wszystkich wywarł jedynie arogancki sposób, w jaki Czentovic dawał nam aż nazbyt wyraźnie odczuć, że załatwia się z nami od niechcenia. Za każdym razem ogarniał szachownicę tylko jednym, na pozór przelotnym spojrzeniem, omijając nas wzrokiem z takim lekceważeniem, jak gdybyśmy sami byli martwymi, drewnianymi figurami; ten impertynencki gest przypominał mimo woli ruch, jakim z odwróconym wzrokiem rzuca się jakiś okrucień parazytemu psu. Moim zdaniem, przy pewnej wrażliwości uczuć Czentovic mógł być nam zwrócić uwagę na jakiś błąd lub dodać odwagi jakimś uprzejmym słowem. Ale ten nieludzki automat do szachów także po ukończeniu partii nie puścił pary z ust, lecz powiedziawszy: „Mat!”, czekał nieruchomo przy stole, czy aby nie zażąda się od niego drugiej partii. Wstałem już z miejsca, ażeby bezradnie, jak zawsze w obliczu gruboskórnej ordynarności, zaznaczyć jakimś gestem, że wraz z załatwieniem tej dolarowej transakcji – dla mnie przynajmniej – skończyła się przyjemność naszej znajomości, gdy wtem tuż obok mnie i ku mojej irytacji rozległ się mocno ochryply głos Mc Connora:

– Rewanż!

Przeląknęłam się wprost tego wyzywającego tonu. Mc Connor istotnie robił w tej chwili wrażenie raczej boksera przed walką niż uprzejmego dżentelmena. Czy zdziałał to niemiły sposób, w jaki potraktował nas Czentovic, czy tylko patologicznie drażliwa ambicja, dość, że Mc Connor był całkowicie odmieniony. Czerwony na twarzy aż po nasadę włosów, z rozszerzonymi od wewnętrznego ciśnienia nozdrzami, wyraźnie się pocił, a od zaciśniętych warg do wysuniętej bojowo szczęki rysowała się ostra zmarszczka. Z niepokojem poznałam w jego oczach owo migotanie nieopanowanej namiętności, jaka ogarnia zazwyczaj tylko ludzi przy rulecie, gdy po raz szósty czy siódmy przy wciąż podwajanej stawce nie wychodzi właściwy kolor. Wiedziałem w tej chwili, że len fanatyk ambicji, choćby miało go to kosztować cały majątek, dopóty będzie grał i grał z Czentovicem, i to nawet za podwójną cenę, dopóki nie wygra przynajmniej jednej partii. Jeśli Czentovic wytrzyma, to znalazł w Mc Connorze istną kopalnię złota, z której aż do Buenos Aires wyciągnie parę tysięcy dolarów.

Czentovic stał niewzruszony.

– Proszę – powiedział uprzejmie. – Panowie grają teraz czarnymi.

Druga partia nie przedstawiała się bynajmniej inaczej, z tą tylko różnicą, że dzięki paru ciekawskim koło nasze nie tylko się powiększyło, lecz zrobiło się również żywsze. Mc Connor wpatrywał się w szachownicę tak uparcie, jak gdyby chciał zahipnotyzować figury i narzucać im swoją wolę; czułem, że poświęciłby z zachwytem i tysiąc dolarów za rozkosz okrzyku: „Mat!” rzuconego temu lodowatowyniosłemu przeciwnikowi. W dziwny sposób trochę z jego zacieklego podniecenia udzieliło się nieświadomie i nam. Nad każdym poszczególnym ruchem dyskutowaliśmy bez porównania namiętniej niż przedtem, zawsze jeszcze w ostatnim momencie jeden powstrzymywał drugiego, zanim decydowaliśmy się dać znak, który przywoływał Czentovicia do stołu. Tak doszliśmy stopniowo do siedemnastego ruchu i oto ku naszemu własnemu zdziwieniu ukazała się konstelacja, która wydawała się nam niezwykle korzystna, gdyż pion na linii c udało się nam doprowadzić na przedostatnie pole c2; należało go tylko przesunąć na c1, aby uzyskać nową damę. Pełnej przyjemności nie doznaliśmy co prawda w obliczu takiej aż nazbyt oczywistej szansy; podejrzewaliśmy jednomyślnie, że tę zdobytą przez nas przewagę Czentovic, który chyba lepiej od nas przewidywał rozwój sytuacji, podsunął nam rozmyślnie jak haczyk z przynętą. Lecz mimo usilnych wspólnych poszukiwań i dyskusji nie mogliśmy dostrzec ukrytego fortelu. W końcu tuż przed upływem dozwolonego terminu zdecydowaliśmy zaryzykować ten ruch: Mc Connor sięgał już po pion, by przesunąć go na ostatnie pole, gdy poczuł, że ktoś chwycił go nagle za ramię i szepnął gorączkowo:

– Na miłość boską! Nie!

Mimo woli odwróciliśmy się wszyscy. Jakiś pan, około czterdziestopięcioletni, którego wąska, ostra twarz już przedtem na pokładzie wpadła mi w oko dzięki swej kredowej bladości, podszedł do nas widocznie dopiero w ostatnich minutach, kiedy całą uwagę skupiliśmy na problemie. Czując nasz wzrok dodał śpiesznie:

– Skoro dorobi pan teraz damę, on będzie bił natychmiast gońcem na c1, pan ucieknie skoczkiem. Ale tymczasem on pójdzie swym samotnym pionem na d7, zagrozi pańskiej wieży i nawet jeśli pan zaszachuje skoczkiem, przegra pan i po dziewięciu czy dziesięciu mchach jest pan załatwiony. Jest to prawie ta sama kombinacja, jaką na wielkim turnieju w Piszczanach w roku 1922 zastosował Aljechin przeciwko Bogoliubowowi.

Oślupiały Mc Connor zdjął rękę z figury i z nie mniejszym zdumieniem niż my wszyscy patrzył na człowieka, który jak anioł spadł nam niespodzianie z nieba. Ktoś, kto o dziesięć ruchów naprzód umiał obliczyć mata, musiał być fachowcem pierwszej klasy, może nawet konkurentem do mistrzostwa jadącym na ten sam turniej, a w jego nagłym zjawieniu się i interwencji właśnie w tak krytycznym momencie było coś nadprzyrodzonego. Pierwszy opanował się Mc Connor.

– Co by pan radził? – szepnął wzburzony.

– Nie atakować natychmiast, na razie uchylać się. Przede wszystkim odejść królem z zagrożonego pola g8 na h7. Potem on przerzuci prawdopodobnie atak na drugie skrzydło. Ale to odparuje pan wieżę z c8 na c4; kosztuje go to dwa ruchy, jednego piona, a tym samym przewagę. Potem stanie samotny pion przeciw samotnemu pionowi, a jeśli potrafi się pan uważnie bronić, wyjdzie pan jeszcze na remis. Nic więcej nie da się już zrobić.

Znowuśmy osłupieli. W precyzji, jako też w szybkości jego obliczeń było coś oszołamiającego; miało się wrażenie, że odczytywał ruchy z jakiejś drukowanej książki. W każdym razie nieoczekiwana szansa, że oto dzięki jego interwencji partia z mistrzem świata może zakończyć się nierozegraną, działała wprost czarodziejsko. Odsunęliśmy się jednomyślnie, aby odsłonić mu widok szachownicy. Mc Connor zapytał jeszcze raz:

– A więc króla z g8 na h7?

– Tak jest! Przede wszystkim unik!

Mc Connor posłuchał i zadzwoniliśmy o szklankę. Czentovic podszedł do stołu jak zwykle obojętnym krokiem i jednym jedynym spojrzeniem zmierzył ruch przeciwnika. Potem na skrzydle królewskim przesunął pion z h2 na h4, dokładnie tak, jak przepowiedział nasz niezajomy kibic. Ten zaś szeptął już wzburzony:

– Posunąć wieżę, posunąć wieżę z c8 na c4, potem on musi kryć piona. Ale nic mu to nie pomoże! Pan, nie troszcząc się o jego piona, bije skoczkiem z c3 na d5 i równowaga jest przywrócona. Cały nacisk na atak zamiast na obronę!

Nie rozumieliśmy, co niezajomy miał na myśli. To, co mówił, było dla nas chińszczyzną. Ale urzeczony już przez niego Mc Connor bez namysłu zrobił, co mu podpowiedziano. Znowu zadzwoniliśmy o szklankę, aby przywołać Czentovicia. On zaś po raz pierwszy nie zdecydował się szybko, lecz patrzył z napięciem na szachownicę. Potem uczynił dokładnie ten sam ruch, jaki zapowiedział niezajomy, i odwrócił się, aby odejść. Wszelako zanim się cofnął, zdarzyło się coś nowego i nieoczekiwanego. Czentovic podniósł wzrok i przyjrzał się badawczo naszemu szeregom; chciał snadź wypenetrować, kto stawia mu nagle tak energiczny opór.

Od tej chwili wzburzenie nasze rosło niepomierne. Dotychczas graliśmy bez poważniejszej nadziei, teraz jednakże myśl o tym, aby przełamać zimną pychę Czentovicia, rozgrzała nam krew i przyspieszyła tętno. Ale nasz nowy przyjaciel nakazał już następny ruch i znowu mogliśmy zaweźwać Czentovicia; drżały mi palce, gdy uderzał łyżeczką o szklanę. I oto nadszedł nasz pierwszy triumf. Czentovic, który dotąd grał zawsze stojąco, zwlekał, zwlekał – i w końcu usiadł. Usiadł powoli i ociężale; tym samym już czysto fizycznie załamała się jego dotychczasowa wyniosłość. Zmusiliśmy go, aby przynajmniej pod względem miejsca znalazł się na tym samym poziomie co my. Zastanawia! się długo z oczami wbitymi nieruchomo w szachownicę, tak iż spod ciemnych powiek ledwie widać było źrenice; a kiedy wyteżał myśl, coraz szerzej otwierał usta, co nadawało jego okrągłej twarzy nieco głupkowaty wyraz. Czentovic zastanawiał się parę minut, potem wykonał swoje posunięcie i wstał. Lecz oto już szeptał nasz przyjaciel:

– Świetne zatrzymanie! Ale nie dać się nabrać! Forsować wymianę, bezwarunkowo wymianę, potem musi być remis i sam Pan Bóg mu nie pomoże!

Mc Connor posłuchał. Przy następnych ruchach zaczęły się między tymi dwoma (my inni dawno stoczyliśmy się do roli niemych statystów) jakieś niezrozumiałe dla nas konszachty. Po jakichś siedmiu ruchach Czentovic po dłuższym namyśle podniósł wzrok i oświadczył:

– Remis.

Przez chwilę panowała absolutna cisza. Nagle słychać było szum fal i jazz z radia w salonie, słyszało się każdy krok na pokładzie spacerowym i cichy, lekki poświst wiatru w spojeniach okien. Siedzieliśmy z zapartym oddechem, zdarzyło się to zbyt nagle i byliśmy jeszcze jakby strwożeni tą wprost nieprawdopodobną sytuacją, iż oto ten nieznamy w partii już na wpół przegraną zdołał narzucić swą wolę mistrzowi świata. Mc Connor oparł się gwałtownie o poręcz krzesła i wraz z powstrzymywanym oddechem wyrwało mu się z ust głośne, szczęśliwe: „Ach!”. Ja natomiast obserwowałem Czentovicia. Już podczas ostatnich ruchów zdawało mi się, że trochę zbladł. Ale panował nad sobą. Trwał w swej pozornie obojętnej sztywności i tylko zapytał niedbale, zgarniając spokojną ręką figury z szachownicy:

– Czy panowie życzą sobie trzeciej partii?

Postawił to pytanie ściśle rzeczowo, ściśle handlowo. Lecz dziwne było tylko jedno: nie patrzył przy tym na Mc Connora; ale podniósł ostro wzrok na naszego zbawcę. Jak koń poznaje nowego, lepszego jeźdźcę po pewniejszym osadzeniu się w siodle, tak on po ostatnich ruchach poznał widocznie swego rzeczywistego, właściwego przeciwnika. Mimo woli poszliśmy za jego wzrokiem i patrzyliśmy z napięciem na nieznanego. Jednak zanim ten mógł się zastanowić, a cóż dopiero odpowiedzieć, uniesiony ambicją Mc Connor zawołał triumfalnie:

– Oczywiście! Ale teraz musi pan sam zagrać! Sam z Czentoviciem!

Teraz jednakże zdarzyło się coś zgoła nieprzewidzianego. Nieznajomy, który – o dziwo! – wciąż jeszcze patrzył z natężeniem na uprzątniętą już szachownicę, przeraził się, gdy poczuł, że wszystkie oczy i ów entuzjastyczny okrzyk zwróciły się ku niemu. Rysy jego twarzy jakby się zamąciły.

– W żaden sposób, moi panowie – jękał się, wyraźnie zmieszany. – To zupełnie wykluczone... Ja nie wchodzę w rachubę... Ja... Dwadzieścia, nie, dwadzieścia pięć lat nie siedziałem już przy szachownicy... I teraz dopiero widzę, jak niestosownie postąpiłem, wtrącając się bez pozwolenia do gry panów... Proszę mi wybaczyć moje wścibstwo... Nie będę już dłużej przeszkadzał. – I zanim zdołaliśmy ochłonąć ze zdziwienia, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

– Ależ to niemożliwe! – huknął pełen temperamentu Mc Connor, waląc pięścią w stół. – To zupełnie wykluczone, aby ten człowiek dwadzieścia pięć lat nie grał w szachy! Przecież on każdy nich, każdą reakcję obliczał o pięć, sześć ruchów naprzód. Czegoś takiego nie można przecież wytrząsnąć z rękawa. To zupełnie wykluczone, prawda?

Z tym ostatnim pytaniem Mc Connor zwrócił się mimo woli do Czentovicia. Lecz mistrz świata był niewzruszenie chłodny.

– Nie mogę tego osądzić. W każdym razie ten pan grał nieco dziwnie i interesująco; toteż rozmyślnie dałem mu pewną szansę. – Z tymi słowami podniósł się niedbale z krzesła i jak zwykle rzeczowo dodał: – Gdyby pan lub panowie życzyli sobie jutro następnej partii, to od trzeciej jestem do dyspozycji.

Nie mogliśmy się powstrzymać od lekkiego uśmiechu. Każdy z nas wiedział, że Czentovic nie dał wspaniałomyślnie szansy naszemu nieznanemu i że uwaga ta była jedynie naiwnym wykrętem dla zamaskowania własnego niepowodzenia. Tym gwałtowniej więc rosła nasza chęć upokorzenia tak niewzruszonej pychy. Nas, spokojnych, rozleniwionych mieszkańców statku, ogarnęła nagle dzika, ambitna żądza walki, albowiem myśl, że właśnie na naszym parowcu, na środku oceanu, można by wydrzeć mistrzowi palmę-rekord, który przez wszystkie agencje telegraficzne rozszedłby się po całym świecie – fascynował nas w sposób wręcz wyzywający. Potęgowało to jeszcze urok tajemniczości, który otaczał nieoczekiwane wkroczenie naszego zbawcy właśnie w tak krytycznym momencie oraz kontrast między jego niemal bojaźliwą skromnością i niebotyczną pychą zawodowego szachisty. Kim był ów nieznanomy? Może przypadek ujawnił tutaj nie odkrytego jeszcze geniusza szachowego? Albo jakiś słynny mistrz z niezbadanych przyczyn ukrywał przed nami swoje nazwisko? Rozważaliśmy wzburzeni wszystkie takie możliwości, nie cofając się przed najśmielszymi hipotezami, ażeby pogodzić jakoś zdumiewające wyznanie nieznanego z bezsprzecznym mistrzostwem jego gry. Pod jednym wszelako względem wszyscy byliśmy jednomyślni: aby w żadnym wypadku nie zrezygnować z ponownej walki. Postanowiliśmy spróbować wszelkich środków, aby nasz zbawca zagrał jutro partię z Czentovicem, której materialne ryzyko zobowiązał się ponieść Mc Connor. Ponieważ dzięki zasięgnięciu języka u stewarda okazało się, że nieznanomy jest Austriakiem, zadanie przedstawienia mu naszej prośby poruczono mnie, jako jego rodakowi.

Nie trzeba mi było wiele czasu, by znaleźć na pokładzie uciekiniera. Leżał na szeszlunku i czytał. Zanim doń podszedłem, skorzystałem ze sposobności, by mu się przyjrzeć. Ostro zarysowana głowa spoczywała na poduszce jakby z lekkim znużeniem; znowu uderzyła mnie zwłaszcza dziwna bladość tej stosunkowo młodej twarzy, uwieńczonej na skroniach olśniewająco białymi włosami; miałem, nie wiem dlaczego, wrażenie, że ten człowiek musiał się chyba zestarzeć nagle. Ledwie do niego podszedłem, podniósł się uprzejmie z szeszlunga i przedstawił mi się nazwiskiem znanym mi bardzo dobrze jako nazwisko poważanej staroaustrackiej rodziny. Pamiętałem, że ktoś o tym nazwisku należał do koła najbliższych przyjaciół Schuberta, a także jeden z przybocznych lekarzy starego cesarza pochodził z tej rodziny. Gdy przekazałem drowi B. naszą prośbę, aby przyjął wyzwanie Czentovicia, był tym wyraźnie zaskoczony. Okazało się, że nie miał pojęcia, iż w owej partii sprostął tak chlubnie jednemu z mistrzów świata i to temu, który w danej chwili cieszył się największymi sukcesami. Nie wiadomo dlaczego, wiadomość ta wywarła na nim szczególne wrażenie, gdyż raz po raz i wciąż na nowo dopytywał się, czy jestem pewny, że jego przeciwnik jest rzeczywiście uznanym mistrzem świata. Zorientowałem się szybko, że ta okoliczność ułatwiała moje zadanie, a wyczuwając jego subtelną uważałem za stosowne zataić tylko to, że materialne ryzyko jego ewentualnej porażki obciążą kasę Mc Connora. Po dłuższym wahaniu dr B. oświadczył wreszcie gotowość do meczu, zastrzegając jednak wyraźnie, aby panowie nie pokładali w jego umiejętnościach przesadnych nadziei.

– Boja doprawdy nie wiem – dodał z uśmiechem zadumy – czy potrafię zagrać partię szachów według wszelkich reguł sztuki. Proszę mi wierzyć, że nie była to bynajmniej fałszywa skromność, gdy powiedziałem, że od czasów gimnazjalnych, a więc od przeszło dwudziestu lat, nie tknąłem żadnej szachowej figury. I nawet wówczas nie uchodziłem za gracza o jakichś szczególnych zdolnościach.

Powiedział to w sposób tak naturalny, że jego szczerość nie ulegała dla mnie wątpliwości. Mimo to nie mogłem nie wyrazić zdziwienia, iż zdołał tak dokładnie spamiętać wszystkie poszczególne kombinacje różnych mistrzów; więc przynajmniej teoretycznie musiał zajmować się wiele szachami. Dr B. znowu uśmiechnął się owym dziwnie marzycielskim uśmiechem.

– Zajmować się wiele szachami! Dalibóg, można chyba powiedzieć, że zajmowałem się nimi niemało! Ale działo się to w osobliwych, ba, zupełnie wyjątkowych okolicznościach. Była to dosyć skomplikowana historia, ot, drobny przyczynek do dziejów naszej przemiłej, wielkiej epoki. Jeśli pan ma pół godzinki czasu i cierpliwość...

Wskazał na szezlong obok siebie. Chętnie przyjąłem jego zaproszenie. Sąsiadów nie mieliśmy. Dr B. zdjął okulary, odłożył je i zaczął:

– Był pan tak uprzejmy wspomnieć, że jako wiedeńczyk pamięta pan nazwisko mojej rodziny. Nie przypuszczam jednakże, aby słyszał pan wiele o kancelarii adwokackiej, którą prowadziłem najpierw z moim ojcem, a później sam, gdyż nic przyjmowaliśmy spraw roztrząsanych publicznie w gazetach i z zasady unikaliśmy nowych klientów. W samej rzeczy nie mieliśmy już właściwie praktyki adwokackiej, lecz ograniczaliśmy się wyłącznie do porad prawnych, a przede wszystkim do zarządzania majątkami wielkich klasztorów, z którymi mój ojciec, jako były poseł partii klerykalnej, był dość blisko związany. Poza tym powierzano nam – dzisiaj, kiedy monarchia należy do historii, wolno już chyba o tym mówić – zarząd funduszków niektórych członków cesarskiej rodziny. Te związki z dworem i klerem – jeden stryj był lekarzem przybocznym cesarza, drugi przeorem w Seitenstetten – trwały już od dwóch pokoleń, naszą rzeczą było je tylko utrzymać; była to cicha, że tak powiem milcząca działalność, a przypadła nam w udziale drogą odziedziczonego zaufania i wymagała właściwie niewiele poza najściślejszą dyskrecją i rzetelnością, które to zalety w najwyższym stopniu cechowały mego zmarłego ojca; dzięki jego przezorności rzeczywiście udało mu się zarówno w latach inflacji, jako też w latach przewrotu zachować dla swoich klientów wcale znaczne zasoby. Potem, gdy w Niemczech doszedł do władzy Hitler i zaczął swoje wypadki rabunkowe przeciwko mieniu Kościoła i klasztorów, przechodziły przez nasze ręce również różne zagraniczne układy i transakcje, ażeby ocalić od konfiskaty przynajmniej ruchomą własność; o pewnych tajnych pertraktacjach politycznych Kurii i domu cesarskiego my dwaj wiedzieliśmy więcej, niż dojdzie kiedykolwiek do publicznej wiadomości. I właśnie owa niepokażność naszej kancelarii – nie mieliśmy nawet tabliczki na drzwiach – jako też nasza ostrożność, gdyż

obaj unikaliśmy ostentacyjnie wszelkich kół monarchistycznych, chroniły najpewniej od jakichkolwiek niepowołanych poszukiwań. De facto w owych latach żadna austriacka władza nawet nie przypuszczała, że tajni kurierzy cesarskiego domu oddawali i odbierali swą najważniejszą pocztę właśnie w naszej kancelarii na czwartym piętrze.

Teraz jednakże narodowi socjaliści, na długo zanim uzbroili swoje armie przeciwko całemu światu, zaczęli organizować inną, równie niebezpieczną i równie wyszkoloną armię we wszystkich krajach sąsiednich: legion pokrzywdzonych, nie wyróżnionych, rozgoryczonych. W każdym urzędzie, w każdym przedsiębiorstwie zagnieżdżyły się ich tak zwane „komórki”, na wszystkich szczeblach, aż po samą górę, aż po prywatne pokoje Dollfussa i Schuschnigga siedzieli ich podsłuchiawcze i szpiedzy. Nawet w naszej niepozornej kancelarii, o czym, niestety, dowiedziałem się zbyt późno, mieli swojego człowieka. Był to co prawda tylko marny i niezdolny koncypista, którego przyjąłem z polecenia pewnego proboszcza po to jedynie, by i na zewnątrz nadać naszej kancelarii pozór normalnego przedsiębiorstwa; w rzeczywistości używaliśmy go tylko do niewinnych posyłek, zleciliśmy mu obsługę telefonu i porządkowanie akt, tych naturalnie, które były zupełnie obojętne i niewątpliwe. Poczty nigdy nie wolno mu było otwierać, wszystkie ważne listy pisałem na maszynie własnoręcznie i bez kopii, każdy istotny dokument sam zabierałem do domu, a tajne konferencje przenosiłem wyłącznie do przeoratu lub pokoju ordynacyjnego stryja. Dzięki takim środkom ostrożności ten podsłuchiawcz widział niewiele z istotnych zdarzeń; ale przez jakiś nieszczęśliwy przypadek ambitny i próżny chłopak zauważył widocznie, że nie darzy się go zaufaniem i że za jego plecami toczą się jakieś interesujące sprawy. Może kiedyś podczas mojej nieobecności któryś z kurierów powiedział coś niebacznie o „jego cesarskiej mości” zamiast o „panu baronie Bem”, jak było umówione, czy też łobuz otwierał bezprawnie listy – dość, że zanim powziąłem jakiegokolwiek podejrzenie, on postarał się w Monachium czy Berlinie o nakaz pilnowania nas. Dopiero znacznie później, gdy dawno już siedziałem w więzieniu, przypomniałem sobie, że jego początkowa

niedbałość w pracy przemieniła się w ostatnich miesiącach w nagłą gorliwość i że często niemal natarczywie ofiarowywał się zanieść moją korespondencję na pocztę. Nie mogę więc twierdzić, jakobym nie dopuścił się żadnej nieostrożności, lecz czyż w końcu hitleryzm nie przechytrzył największych dyplomatów i wojskowych? Ile bacznej i pieczołowitej uwagi poświęcało mi od dawna gestapo, dowiodła potem nader namacalnie okoliczność, że jeszcze tego samego wieczora, kiedy ustąpił Schuschnigg i na dzień przed wkroczeniem Hitlera do Wiednia, byłem już aresztowany przez esesowców. Na szczęście udało mi się jeszcze tuż po wysłuchaniu mowy pożegnalnej Schuschnigga spalić najważniejsze papiery, a resztę dokumentów, zwłaszcza tych, które dotyczyły zdeponowanego za granicą majątku klasztorów i dwóch arcyksiążąt – rzeczywiście w ostatniej minucie przed rozwaleniem mi drzwi przez zbirów – ukryć w koszu od bielizny i przez moją starą wierną gospodynię przesłać stryjowi.

Dr B. przerwał, aby zapalić sobie cygaro. Zamigotał płomyk i oto spostrzegłem, że nerwowe drganie prawego kącika jego ust (które już przedtem zwróciło moją uwagę) powtarzało się co parę minut. Było to tylko przelotne drgnienie, zaledwie tchnienie mchu, a jednak całej twarzy nadawało jakiś osobliwy niepokój.

– Przypuszcza pan zapewne, że zacznę teraz panu opowiadać o obozie koncentracyjnym, dokąd zawleczono przecież wszystkich, którzy dochowali wierności starej Austrii, że będę mówił o poniżeniu, mękach i torturach, jakich tam doznałem. Ale nic podobnego nie zaszło. Zaliczono mnie do innej kategorii. Nie zapędzono mnie pomiędzy tych nieszczęśliwych, na których fizycznym i duchowym poniżeniem wyładowywano dawno nagromadzoną zawiść; włączono mnie do innej, bardzo nielicznej grupy, od której narodowi socjaliści pragnęli wymusić pieniądze lub ważne informacje. Moja skromna osoba jako taka była oczywiście dla gestapo zupełnie nieinteresująca. Musieli się jednak dowiedzieć, że byliśmy figurantami, zarządcami i powiernikami ich najbardziej zaciętych przeciwników, i spodziewali się wymóc na mnie materiał obciążający: materiał przeciwko klasztorom, którym chcieli dowieść przemycanie majątków, materiał przeciwko rodzinie cesarskiej i wszystkim, którzy opowiadali się w Austrii ofiarnie po stronie monarchii. Przypuszczali – i doprawdy nie bez słuszności – że z funduszy, które przechodziły przez nasze ręce, jeszcze bardzo istotne zasoby są ukryte i niedostępne ich zbrojeckim zakusom; toteż zabrali mnie już pierwszego dnia, aby swymi wypróbowanymi metodami wydobyć ze mnie te tajemnice. Ludzi mojej kategorii, z których należało wycisnąć ważne materiały czy pieniądze, nie posyłano do obozów koncentracyjnych, lecz postępowano z nimi w specjalny sposób. Pamięta pan może, że ani naszego kanclerza, ani barona Rotszylda, od którego krewnych spodziewano się grubych milionów, nie osadzono bynajmniej w obozie więźniów, lecz pod pozorem wyróżnienia umieszczono w hotelu, w hotelu „Metropole”, będącym równocześnie główną kwaterą gestapo, gdzie każdy z nich otrzymał osobny pokój. Mnie, szarego człowieka, też spotkało to wyróżnienie.

Własny pokój w hotelu, czyż nie brzmi to nader humanitarnie? Lecz może mi pan wierzyć, że jeśli nas, „wybitnych osobistości”, nie wtrącano po dwudziestu do jednego lodowato-zimnego baraku, lecz lokowano po nieźle ogrzanych i oddzielnych pokojach hotelowych, to nie stosowano tu bynajmniej metody bardziej humanitarnej, ale jedynie metodę bardziej wyrafinowaną! Albowiem presja, którą chciano wydobyć z nas pożądaną „materiał”, miała funkcjonować w znacznie subtelniejszy sposób niż za pomocą brutalnego bicia i tortur: za pomocą najbardziej wyrafinowanej izolacji. Nie czyniono nam nic złego – postawiono nas tylko w najzupełniejszą próżnię, wiadomo bowiem, że nic na świecie nie wywiera na duszę ludzką takiego nacisku jak próżnia. A zamknięcie każdego z nas w całkowitym vacuum, w pokoju odgrodzonym hermetycznie od świata zewnętrznego, miało – miast zewnętrznej presji wywołanej biciem i mrozem – wytworzyć ów wewnętrzny nacisk, który rozsadzi wreszcie nasze milczenie. Na pierwszy rzut oka pokój, który mi przydzielono, wygląda! wcale przyjemnie. Miał drzwi, łóżko, krzesło, miednicę do mycia, zakratowane okno. Ale drzwi były dzień i noc zamknięte, na stole nie wolno było położyć ani książki, ani gazety, ani kartki papieru, ani ołówek, okno wychodziło na nagi ślepy mur; wokół mojej jaźni i nawet na mym własnym ciele wytworzono najzupełniejszą próżnię. Odebrano mi wszystkie przedmioty, zegarek, abym zapomniał o czasie, ołówek, abym nie mógł niczego napisać, scyzoryk, abym nie mógł otworzyć sobie żył; wzbroniono mi nawet tak nikłego odurzenia jak papieros. Oprócz strażnika, któremu nic wolno się było odezwać ani odpowiedzieć na zadane pytanie, nie widziałem nigdy ludzkiej twarzy, nie słyszałem ludzkiego głosu; oczy, uszy, wszystkie zmysły od rana do nocy i od nocy do rana nie otrzymywały najmniejszego pokarmu, było się sam na

sam ze sobą, ze swoim ciałem i tymi czterema czy pięcioma przedmiotami: stół, łóżko, okno, miednica, było się nieuchronnie, beznadziejnie samotnym; żyło się jak nurek pod szklanym kloszem w czarnym oceanie milczenia, i to jak nurek, który przeczuwa, iż lina jest zerwana i nigdy już nie wyciągną go z tej bezgłośnej głębi. Nie było nic do roboty, nic do usłyszenia, nic do zobaczenia i nieprzerwanie trwała dokoła próżnia, całkowita, wyzuta z przestrzeni i czasu – pustka. Chodziło się tam i z powrotem, i tam i z powrotem chodziły wraz z człowiekiem myśli, tam i z powrotem, wciąż na nowo. Ale nawet myśli, tak zdawałoby się pozbawione substancji, potrzebują jakiegoś punktu oparcia, inaczej zaczynają wirować i krążyć nedorzecznie wokół własnej osi; i one nie wytrzymują próżni. Od rana do wieczora czekało się na coś, a nie zdarzało się nic. Czekano się wciąż na nowo. Nie zdarzało się nic. Czekano się, czekało i czekało, myślało i myślało, aż pękały z bólu skronie. Nie zdarzało się nic. Człowiek był sam. Sam. Sam.

Już od czternastu dni żyłem poza czasem, poza światem. Gdyby wybuchła wówczas wojna, nie byłbym się o tym dowiedział, mój świat składał się przecież tylko ze stołu, drzwi, łóżka, miednicy, krzesła, okna i ściany i wciąż patrzyłem na tę samą tapetę na tej samej ścianie; patrzyłem na nią tak często, że każda linia jej zygawkowatego wzoru jak spiżowym ryłcem wryła się w wewnętrzne zwoje mojego mózgu. Potem zaczęły się wreszcie przesłuchania. Wywoływano nagle i nie wiedziało się, czy to dzień, czy noc. Wywoływano, prowadzono przez kilka korytarzy, nie wiedziało się dokąd; potem czekało się gdzieś, nie wiedziało się gdzie i raptem stało się przed stołem, za którym siedziało kilku umundurowanych ludzi. Na stole leżał stos papierów: akta, o których nie wiedziało się, co zawierają; potem zaczynały się pytania, prawdziwe i fałszywe, jasne i podstępne, pytania pozorne i pytania-pułapki, a kiedy się odpowiadało, obce, złe palce grzebały w papierach, o których nie wiedziało się, co zawierają, i obce, złe palce zapisywały coś w protokole i nie wiedziało się, co zapisują. Ale najstraszniejsze przy tych przesłuchaniach było dla mnie to, że nie mogłem odgadnąć ani obliczyć, co gestapowcy rzeczywiście wiedzieli o sprawach prowadzonych w mojej kancelarii, a co chcieli ze mnie dopiero wydobyć. Jak już powiedziałem, istotnie obciążające papiery posłałem w ostatniej chwili przez gospodynię mojemu stryjowi. Ale czyje otrzymał? I co zdradził ów kancelista? Ile przychwycili listów i co wymusili tymczasem od przestraszonych mnichów w niemieckich klasztorach, któreśmy zastępowali? A oni pytali i pytali. Jakie papiery zakupiłem dla tego czy owego klasztoru, z jakimi bankami korespondowałem, czy znam, czy nie znam takiego czy owakiego pana, czy otrzymywałem listy ze Szwajcarii i ze Steenockerzeel? Ponieważ zaś nigdy nic mogłem obliczyć, co i ile już wyśledzili, każda odpowiedź stawała się

potwornym ryzykiem. Gdybym potwierdził coś, czego jeszcze nie wiedzieli, mógłbym niepotrzebnie wydać kogoś pod nóż. Gdybym przeczył zbyt wiele, zaszkodziłbym sobie.

Ale przesłuchanie nie było jeszcze rzeczą najgorszą. Najgorszy był powrót po przesłuchaniu do mojej próżni, do tego samego pokoju z tym samym stołem, tym samym łóżkiem, tą samą miednicą, tą samą tapetą. Bo ledwie znalazłem się znowu sam, usiłowałem zrekonstruować to, co trzeba było mądrzej powiedzieć i co powinienem powiedzieć następnym razem, aby odwrócić podejrzenie, które wzbudziłem być może jakąś nieprzemyślaną uwagą. Zastanawiałem się, roztrząsałem i kontrolowałem każde słowo mojej wypowiedzi przed sędzią śledczym, rekapitulowałem każde pytanie, jakie oni stawiali, każdą odpowiedź, jaką im dałem, usiłowałem rozważyć, co oni mogli z tego zaprotokołować, jakkolwiek wiedziałem przecież, że nigdy nie zdołam tego obliczyć i nigdy się o tym nie dowiem. Ale takie myśli, puszczane już w ruch w próżnej przestrzeni, nie przestawały obracać się w głowie wciąż na nowo i we wciąż nowych kombinacjach i ściagały mnie nawet we śnie; po każdym przesłuchaniu przez gestapo moje własne myśli równie nieubłagane kontynuowały mękę pytania, badania i dręczenia, i to może jeszcze okrutniej, gdyż każde przesłuchanie kończyło się przecie po jakimś czasie, to zaś dzięki podstępnej torturze samotności nie kończyło się nigdy. A dokoła zawsze tylko stół, szafa, łóżko, tapeta, okno, nic, co mogłoby odwrócić myśl, ani książki, ani gazety, ani cudzej twarzy, ani ołówek, by coś zanotować, ani zapałki, by się nią pobawić – nic, nic, nic. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, jak diabelsko mądrze, jak psychologicznie morderczo obmyślono ten system trzymania ludzi w hotelu. W obozie koncentracyjnym musiałyby się może wozic na taczkach kamienie, aż krew lałaby się z rąk i stopy zamarzały w trzewikach, trzeba by się tłoczył z innymi w smrodzie i zimnie. Ale widziałyby się twarze, miałyby się pole, taczki, drzewo, gwiazdę na niebie, cośkolwiek, cośkolwiek, na co można by spojrzeć, podczas gdy

tutaj miało się zawsze i ciągle to samo, to straszliwe to samo! Tutaj nie było niczego, co mogłoby mnie odwieść od moich myśli, od mojej manii prześladowczej, od moich chorobliwych rekapitulacji. A oni do tego właśnie dążyli – do tego, abym dławiał się i dławiał własnymi myślami i abym musiał je w końcu wypluć i zeznać, zeznać wszystko, czego pragnęli, i wydać im wreszcie materiały i ludzi. Czułem, jak pod naciskiem tej próżni nerwy moje zaczynały się stopniowo rozpręgać i, świadomy niebezpieczeństwa, napinałem je do ostateczności, ażeby znaleźć czy odkryć cokolwiek, co mogłoby mnie od tego oderwać. Chcąc się czymś zająć, próbowałem recytować i rekonstruować wszystko, czego uczyłem się kiedyś na pamięć: hymn narodowy i naiwne rymy dzieciństwa, gimnazjalnego Homera i paragrafy kodeksu cywilnego. Potem próbowałem rachować, dodawać i dzielić różne liczby, ale w tej próżni pamięć moja nie miała siły. Nie mogłem się skoncentrować. Poprzez wszystko przebijała i wybuchiała zawsze ta sama myśl: Co oni wiedzą? Co powiedziałem wczoraj i co muszę powiedzieć następnym razem?

Ten niemożliwy do opisania stan trwał cztery miesiące. No tak, cztery miesiące, jakże to łatwo napisać: nie trudniej niż jedną literę! I łatwo wymówić: cztery miesiące – pięć zgłosek. Wargi w ciągu ułamka sekundy artykułują taki dźwięk: cztery miesiące! Ale nikt nie potrafi opisać, nie zdoła zmierzyć ani przedstawić komuś innemu, ba, samemu sobie, jak długo trwa czas w próżni wyzutej z przestrzeni i czasu; i nikomu nie da się wytłumaczyć, jak zżera i niszczy takie wieczne Nic, Nic i Nic, to, że zawsze ma się przed sobą tylko stół i łóżko, miednicę i tapetę i zawsze tylko milczenie, zawsze ten sam strażnik, który nie patrząc na człowieka wnosi jedzenie, i zawsze te same myśli, wirujące w próżni wokół jednej i tej samej sprawy, dopóki nie wpadnie się w obłąd. Po drobnych oznakach zauważyłem z niepokojem, że w mózgu moim zaczyna się jakiś nieład. Z początku miałem jeszcze przy przesłuchaniach wewnętrzną jasność, zeznawałem spokojnie i z poczuciem wyższości; owo podwójne myślenie: co chciałem, a czego nie chciałem powiedzieć, jeszcze funkcjonowało. Teraz zaś jąkałem się już przy formułowaniu najprostszego zdania, albowiem, zeznając, patrzyłem jak zahipnotyzowany na sunące po papierze pióro protokolanta, jak gdybym sam chciał pobiec za mymi słowami. Czułem, że tracę siły, czułem, że coraz bliższy jest moment, kiedy wszystko powiem, aby się uratować, kiedy powiem wszystko, co wiedziałem, i może jeszcze więcej, że aby ująć tej dławiącej próżni, zdradzę dwunastu ludzi i ich tajemnice, sam nie zyskując przez to nic, oprócz chwili wytchnienia. Pewnego wieczora rzeczywiście do tego doszło: gdy strażnik przyniósł mi przypadkiem jedzenie właśnie w momencie takiego dławienia się, krzyknąłem nagle za nim: „Zaprowadźcie mnie na przesłuchanie! Chcę wszystko powiedzieć! Chcę wszystko wyznać! Chcę powiedzieć, gdzie są papiery, gdzie leżą pieniądze! Wszystko

powiem, wszystko!”. Na szczęście on mnie już nie słyszał. Może też nie chciał usłyszeć.

I oto w tej ostatecznej potrzebie zdarzyło się coś nieprzewidzianego, coś, co niesło ratunek przynajmniej na pewien czas. Był koniec lipca, mroczny, chmurny, deszczowy dzień: pamiętam tak dokładnie ten szczegół, dlatego że deszcz bębnił o szyby korytarza, którym prowadzono mnie na przesłuchanie. W przedpokoju izby śledczej musiałem poczekać. Czekać musiało się zawsze przed każdym przesłuchaniem: to czekanie było również techniką. Naprzód targnęło nerwami wywołanie, nagłe wyprowadzenie z celi pośród nocy, a potem, kiedy człowiek nastawił się już na przesłuchanie, kiedy wołę i rozum napiął do oporu, kazano mu czekać, czekać bez sensu godzinę, dwie, trzy, ażeby zmęczyć ciało, ażeby skruszyć ducha. A tego dnia, w czwartek 27 lipca, szczególnie długo, dwie bite godziny kazano mi czekać w przedpokoju na stojąco, aż do omdlenia nóg; nie bez powodu pamiętam tak dokładnie także datę, bo w przedpokoju, gdzie stałem pełne dwie godziny – usiąść nie wolno było oczywiście – wisiał kalendarz; nie potrafię panu przedstawić, jak w tym moim głodzie czegoś drukowanego, czegoś napisanego gapiłem się i gapiłem na te skąpe słowa: 27 lipca, wchłaniałem je po prostu w mój mózg. A potem czekałem, jak czekał ten kalendarz, czekałem i patrzyłem na drzwi, kiedy się wreszcie otworzą, a równocześnie zastanawiałem się, o co tym razem zapytają mnie inkwizytorzy, chociaż wiedziałem przecież, że zapytają o coś całkiem innego niż to, na co się przygotowałem. Ale mimo wszystko męka tego stania i czekania była zarazem dobrodziejstwem, rozkoszą, albowiem ten pokój był bądź co bądź inny niż mój, trochę większy, o dwóch oknach zamiast o jednym, bez łóżka i bez miednicy, i bez pewnej rysy na parapecie okna, którą oglądałem już milion razy. Drzwi były inaczej lakierowane, inne krzesło stało pod ścianą, a na lewo szafa biurowa z aktami, jako też wieszak, na którym

wisiały trzy czy cztery płaszcze wojskowe, płaszcze moich dręczycieli. Miałem wtedy coś nowego, na co mogłem patrzeć, nareszcie coś nowego dla mych wygłodniałych oczu, które wpijały się chciwie w każdy szczegół. Obserwowałem każdy fałd na tych płaszczach, zauważyłem na przykład kroplę, która zwisała z jednego z mokrych kołnierzy i choć może wyda się to panu śmieszne, czekałem ze zgoła niedorzecznym wzburzeniem, czy ta kropla spłynie w końcu wzdłuż fałdu, czy też oprze się jeszcze sile ciężkości i zatrzyma trochę dłużej – tak, z zapartym oddechem, całymi minutami patrzyłem na tę kroplę, jak gdyby zależało od niej moje życie. A kiedy stoczyła się wreszcie, zacząłem znowu rachować guziki przy płaszczach, osiem przy jednym, osiem przy drugim, dziesięć przy trzecim, a później zacząłem porównywać wyłogi; wszystkie te śmieszne, nieważne drobiazgi obmacywały, osaczały, oblepiały moje wygłodniałe oczy z zachłannością, której nie potrafię opisać. I nagle wzrok mój zahaczył o coś. Odkryłem, że boczna kieszeń jednego płaszcza jakby troszeczkę odstawała. Podeszedłem bliżej, po prostokątnym kształcie tego wybrzuszenia zdawało mi się, że poznaję, co ukrywa ta odstająca kieszeń: książka! Zadrżały pode mną kolana: książka! Cztery miesiące nie miałem już w ręku książki i samo wyobrażenie książki, w której można by zobaczyć całe szeregi słów, linijki, stronice i kartki, w której można by przeczytać inne, nowe, cudze, odprężające myśli, można by je śledzić, wchłonąć w mózg – miało w sobie coś upajającego, a zarazem ogłuszającego. Oczy moje jak zahipnotyzowane patrzyły na malutki wzgórek, uformowany wewnątrz owej kieszeni przez książkę, rozżarzoną spojrzeniem drażniły to niepokojące miejsce, jak gdyby chciały wypalić w płaszczu dziurę. Wreszcie nie mogłem opanować tej żądzy; mimo woli przysunąłem się nieco bliżej. Sama myśl, aby ją przynajmniej dotknąć ręką poprzez

materiał, rozpałała mi nerwy palców aż po paznokcie. Prawie bezwiednie przysuwałem się coraz bliżej. Na szczęście strażnik nie zważał na moje dziwne zapewne zachowanie, może też wydawało mu się naturalne, że człowiek po dwugodzinnym staniu chciał oprzeć się trochę o ścianę. W końcu stałem już zupełnie blisko płaszcza. Pomacałem materiał i rzeczywiście wyczułem pod nim coś prostokątnego, coś, co było giętkie i lekko zaszeleściło – książka! Książka! I jak wystrzał przeszła mnie myśl: „Ukradnij tę książkę! Może się uda, a wtedy ukryjesz ją w celi i będziesz czytać, czytać, czytać, nareszcie znowu czytać!”. Myśl ta, ledwie mnie ogarnęła, podziałała jak trucizna; poczułem szum w uszach, serce zaczęło mi walić jak młotem, ręce zrobiły się lodowate i nieposłuszne mojej woli. Ale po pierwszym oszołomieniu cichutko i chytrze przysunąłem się jeszcze bliżej do płaszcza i ani na chwilę nie spuszczać z oczu strażnika, ukrytymi na plecach rękami zacząłem wypychać książkę z kieszeni coraz wyżej i wyżej. A potem chwyciłem ją, jeden lekki, ostrożny ruch i nagle miałem w ręku małą, niezbyt grubą książeczkę. Teraz dopiero przeraziłem się swego czynu. Ale nie było już odwrotu. Lecz gdzie ją ukryć? Za plecami wsunąłem książeczkę pod pasek od spodni, a stamtąd przesunąłem stopniowo na biodro, aby podczas chodzenia móc przytrzymać ją ręką, spoczywającą po wojskowemu na szwie nogawki. Teraz należało wykonać pierwszą próbę. Odsunąłem się od wieszaka o krok, o dwa kroki, o trzy. Udało się. Można było chodzić i utrzymać książkę, jeśli tylko przyciskało się mocno rękę do paska.

Potem nastąpiło przesłuchanie. Wymagało ode mnie więcej wysiłku niż kiedykolwiek, gdyż odpowiadając na pytania całą siłą koncentrowałem nie na zeznaniach, ale przede wszystkim na tym, aby trzymać niepostrzeżenie książkę. Na szczęście tym razem przesłuchanie trwało krótko i bez szwanku doniosłem książkę do mego pokoju – nie chcę zabierać panu czasu wszystkimi szczegółami, raz na przykład pośrodku korytarza wysunęła mi się niebezpiecznie spod paska i musiałem symulować ciężki atak kaszlu, aby się schylić i wsunąć ją tam z powrotem. Ale za to cóż za chwila, gdy wróciłem z nią do mego piekła, nareszcie sam, a jednak już nie sam!

Teraz przypuszcza pan zapewne, że natychmiast złapałem książkę, obejrzałem i zacząłem czytać. Nic podobnego! Wpierw chciałem rozkoszować się przedsmakiem, nacieszyć się tym, że miałem przy sobie książkę, zaznać tej sztucznie opóźniającej i cudownie podniecającej moje nerwy radości, wymarzyć sobie, jakiego rodzaju powinna być ta ukradziona książka: przede wszystkim, gęsto zadrukowana, powinna zawierać wiele, wiele liter, wiele, wiele cienkich kartek, abym mógł ją jak najdłużej czytać. Potem życzyłem sobie, aby było to dzieło, które wytężyłoby umysł, nic płaskiego, nic lekkiego, ale coś, czego można by się nauczyć, nauczyć na pamięć, wiersze albo najlepiej – cóż za zuchwałe marzenie! – Goethe albo Homer. Ale w końcu nie mogłem już dłużej powstrzymać mojej żądzy, mojej ciekawości. Wyciągnąłem się na łóżku, aby strażnik, gdyby otworzył nagle drzwi, nie mógł mnie przyłapać, i drżąc na całym ciele wyciągnąłem książkę spod paska.

Pierwsze spojrzenie było rozczarowaniem, a nawet gorzką złością: ta pod tak potworną grozą zdobyta, tak gorąco oczekiwana książka nie była niczym innym jak repetytorium szachów, zbiorem stu pięćdziesięciu mistrzowskich partii.

Gdybym nie był pod kluczem, gdybym nie był zamknięty, w pierwszym porywie gniewu cisnąłbym tę książką przez otwarte okno, bo cóż miałem począć z takim nonsensem? W gimnazjum, jak większość chłopców, od czasu do czasu siadałem z nudów do szachownicy. Ale cóż mogły mi dać te teoretyczne gryzmoły? Nie można przecież grać w szachy bez partnera, a co dopiero bez figur i szachownicy? Przewracałem gniewnie kartki, czy może jednak odkryję coś do czytania, jakiś wstęp, jakieś pouczenie; ale nie znajdowałem nic oprócz kwadratowych diagramów poszczególnych mistrzowskich partii, a pod tym zrazu niezrozumiałe dla mnie znaki a2-a3, sf1-g3 i tak dalej. Wszystko to wydawało mi się jakąś algebrą, do której nie miałem klucza. Dopiero stopniowo odgadłem, że litery a b c oznaczały szeregi podłużne, a cyfry 1 do 8 poprzeczne i określały daną pozycję każdej poszczególniej figury; tym samym czysto graficzne diagramy zyskały bądź co bądź jakąś wymowę. Zacząłem się namyślać, czy mógłbym skonstruować sobie w celi coś w rodzaju szachownicy i spróbować powtórzyć potem te partie; fakt, że moje prześcieradło było przypadkiem kraciaste, wydał mi się jakimś znakiem z niebios. Gdy się je odpowiednio złoży, skleci się w końcu te sześćdziesiąt cztery pola. Przede wszystkim więc wsunąłem książkę pod materac i wyrwałem pierwszą stronicę. Z zaoszczędzonych okruchów chleba zacząłem potem – w sposób oczywiście śmiesznie niezdatny – lepić figury szachowe, króla, damę i tak dalej; po bezgranicznych wysiłkach mogłem przystąpić wreszcie do rekonstruowania na kraciastym prześcieradle przedstawionych w książce pozycji. Ale gdy spróbowałem odtworzyć całą partię, z początku zawiodły całkowicie moje śmieszne figurki z chleba, z których połowę pofarbowałem kurzem na nieco ciemniejszy kolor. W pierwszych dniach myliłem się nieustannie; pięć, dziesięć,

dwadzieścia razy musiałem zaczynać tę samą partię od początku. Ale któż na świecie miał tyle niezużytego, nieużytecznego czasu co ja, niewolnik próżni, kto rozporządzał takim ogromem pasji i cierpliwości? Po sześciu dniach bez zarzutu zagrałem partię do końca, po dalszych ośmiu nie potrzebowałem już nawet tych okruchów na prześcieradle, by unaocznić sobie pozycje z książki, a po dalszych ośmiu dniach stało się zbyteczne także prześcieradło; abstrakcyjne zrazu znaki z książki, a1, a2, c7, c8, przeobraziły się w mojej głowie w pozycje wizualne i plastyczne. Przewidzenie udało się bez reszty: szachownicę wraz z figurami przerzuciłem do wnętrza i już dzięki samym formułom widziałem każdą chwilową pozycję, tak jak biegłemu muzykowi wystarcza już sam widok partytury, aby usłyszeć wszystkie głosy i ich współbrzmienie. Po dalszych czternastu dniach każdą partię z książki mogłem zagrać bez trudu z pamięci lub jak brzmi wyraz fachowy: na ślepo; teraz dopiero zacząłem rozumieć, jak bezmierne dobrodziejstwo zdobyłem sobie tą bezczelną kradzieżą. Bo oto otwarła się przede mną działalność – niedorzeczna, bezcelowa, jeśli pan chce, ale jednak działalność, która niweczyła otaczającą mnie próżnię; wraz z tymi stu pięćdziesięcioma turniejowymi partiami posiadałem cudowną broń przeciwko przytłaczającej monotonii przestrzeni i czasu. Aby zachować nieskażony urok tego nowego zajęcia, podzieliłem sobie teraz dokładnie dzień: dwie partie rano, dwie partie po południu, a wieczorem jeszcze szybkie powtórzenie. Tym samym wypełnił się mój dzień, który przedtem ciągnął się bezkształtnie jak galareta, ja zaś byłem zajęty, nie czując zmęczenia, albowiem gra w szachy ma tę cudowną właściwość, że osadzając duchową energię na ściśle ograniczonym polu, nawet przy najbardziej wytężonej pracy myśli nie osłabia mózgu, ale raczej zaostrza jego ruchliwość i prężność. Przy zrazu tylko mechanicznym odtwarzaniu

mistrzowskich partii zaczęło budzić się we mnie stopniowo artystyczne i bliskie twórczej radości zrozumienie. Zacząłem odróżniać odcienie, podstępny i ostrości w ataku i obronie, uchwyciłem technikę przewidywania rozwoju gry, kombinacji i riposty, a niebawem poznawałem osobistą cechę każdego poszczególnego mistrza szachów w jego indywidualnym sposobie gry tak nieomylnie, jak po niewielu liniijkach poznaje się już wiersz poety. To, co zaczęło się tylko jako zajęcie dla zabicia czasu, stało się rozkoszą, a postacie wielkich strategów szachowych, jak Aljechin, Lasker, Bogoliubow, Tartakower, wkroczyły w moją samotność jak ukochani towarzysze. Nieskończona różnorodność ożywiała codziennie moją niemą celę i właśnie regularność tych ćwiczeń przywróciła mojej zdolności myślenia zachwianą już pewność; odzyskałem świeżość mózgu, a stała dyscyplina myślenia jak gdyby go nawet zaostrzyła. Że myślałem teraz jaśniej i z większym skupieniem, okazało się przede wszystkim przy przesłuchaniach; przy szachownicy wydoskonalilem się nieświadomie w obronie przeciwko fałszywym groźbom i utajonym kręactwom; od tego czasu nie odsłaniałem już przy przesłuchaniach swoich słabych stron i miałem nawet wrażenie, że gestapowcy zaczynają patrzeć na mnie z pewnym respektem. Widząc, jak załamywali się inni, stawiali sobie może w duchu pytanie, z jakich źródeł ja jeden czerpię siły do tak niezłomnego oporu.

Ten szczęśliwy okres, kiedy dzień w dzień odtwarzałem systematycznie sto pięćdziesiąt partii z owej książki, trwał jakie dwa i pół do trzech miesięcy. Potem utknąłem niespodzianie na martwym punkcie. Nagle stanąłem ponownie w obliczu próżni. Bo kiedy odtworzyłem każdą partię dwadzieścia czy trzydzieści razy, traciła już dla mnie urok nowości, niespodzianki – jej przedtem tak pobudzająca, tak podniecająca siła była wyczerpana. Jaki sens miało powtarzać i jeszcze raz powtarzać partie, których każdy ruch umiałem już dawno na pamięć? Ledwie zrobiłem pierwsze otwarcie, cały przebieg gry odbywał się we mnie jakby automatycznie, nie było już niespodzianki, nie było napięcia, nie było problemu. Ażeby się zająć, ażeby stworzyć sobie konieczny mi już wysiłek i odprężenie, trzeba mi było właściwie innej książki z innymi partiami. Ponieważ jednak było to zupełnie niemożliwe, istniała tylko jedna droga na tym dziwnym bezdrożu; w miejsce starych gier musiałem wynaleźć nowe. Musiałem spróbować gry z sobą samym, a raczej przeciwko sobie samemu.

Nie wiem, do jakiego stopnia zastanawiał się pan kiedy nad psychologią tej królewskiej gry. Ale już choćby najbardziej pobieżny namysł powinien wystarczyć, aby pojąć, że w szachach, jako w czystej, oderwanej od przypadku grze myśli, chęć grania przeciwko sobie samemu jest logicznym absurdem. Atrakcyjność szachów polega w gruncie rzeczy jedynie na tym, że ich strategia rozwija się różnie w dwóch różnych mózgach, że w tej wojnie umysłów czarny nie zna manewrów białego i usiłuje je stale odgadnąć i pokrzyżować, podczas gdy biały ze swej strony stara się przechytryć i odparować czarnego. Gdyby więc czarny i biały tworzyli jedną i tę samą osobę, powstałby stan tak niedorzeczny, że jeden i ten sam mózg musiałby coś wiedzieć, a równocześnie nie wiedzieć, że funkcjonując jako partner biały musiałby na komendę zapomnieć o tym, co przed minutą chciał i zamierzał jako partner czarny. Takie podwójne myślenie zakłada właściwie zupełne rozszczepienie świadomości, zakłada umiejętność dowolnego włączania i wyłączania funkcji mózgu jak w mechanicznym aparacie; chcieć grać przeciwko sobie samemu oznacza więc w szachach taki sam paradoks jak chęć przeskoczenia przez własny cień.

No, powiem krótko: przez wiele miesięcy próbowałem z rozpaczą tej niemożliwości, tego absurdu. Ale nie miałem wyboru poza tą niedorzecznością, ażeby nie wpaść po prostu w obłąd lub w zupełny marazm duchowy. W tej straszliwej sytuacji byłem zmuszony przynajmniej spróbować tego rozszczepienia na Ja czarne i Ja białe, aby nie dać się przytłoczyć tej przeraźliwej próżni.

Dr B. opuścił się na leżak i przymknął na chwilę oczy. Miało się wrażenie, że chce stłumić gwałtownie jakieś okropne wspomnienie. W lewym kąciку ust znowu zamigotało to dziwne drganie, którego nie umiał opanować. Potem uniósł się nieco na leżaku.

– Tak, do tego punktu, mam nadzieję, wyłożyłem panu wszystko dosyć zrozumiale. Jednak nie jestem, niestety, przekonany, czy i dalszy ciąg potrafię równie wyraźnie przedstawić. Albowiem to nowe zajęcie wymagało tak całkowitego napięcia umysłu, że uniemożliwiało wszelką jednoczesną autokontrolę. Zaznaczyłem już, że moim zdaniem granie w szachy przeciwko sobie samemu jest absolutnym nonsensem; ale nawet taki absurd miałby jeszcze jakąś minimalną szansę z realną szachownicą przed oczami, gdyż szachownica przez swoją realność pozwala jeszcze bądź co bądź na jakiś dystans, na jakąś materialną eksterytorialność. Przy konkretnej szachownicy z konkretnymi figurami można wprowadzić pauzy, by się namyślić, można już czysto fizycznie stanąć raz z jednej, raz z drugiej strony stołu i spojrzeć na sytuację z punktu widzenia raz czarnego, a raz białego. Lecz będąc tak jak ja zmuszony do rzutowania tych walk przeciwko sobie samemu lub jeśli pan woli, z sobą samym, w przestrzeń wyimaginowaną – musiałem we własnej świadomości zachować wyraźnie każdą daną pozycję na sześćdziesięciu czterech polach, a ponadto kalkulować nie tylko chwilową konfigurację, ale także możliwe dalsze ruchy obu partnerów, i to – wiem, jak absurdalnie to wszystko brzmi! – musiałem wyobrażać je sobie podwójnie i potrójnie, nie, po sześć, po osiem, po dwanaście razy dla każdego mojego Ja, tak dla czarnego, jak i białego, i zawsze o cztery, pięć ruchów naprzód. Musiałem – przepraszam pana, że narzucam panu myśl o takim szaleństwie – musiałem przy tej grze w abstrakcyjnej przestrzeni fantazji obliczać cztery czy pięć ruchów naprzód tak jako gracz biały, jak jako gracz czarny; to znaczy, że wszystkie wynikające z rozwoju sytuacji musiałem kombinować i przewidywać niejako dwoma mózgiem, mózgiem białym i mózgiem czarnym. Ale nawet to rozszczepienie jaźni nie było jeszcze największym niebezpieczeństwem

w tym zawiłym eksperymencie, najniebezpieczniejsze było to, że przez samodzielne wymyślanie partii straciłem nagle grunt pod nogami i wpadłem w jakąś bezdenną przepaść. Samo powtarzanie mistrzowskich partii, jakie uprawiałem w poprzednich tygodniach, nie było w końcu niczym innym jak osiągnięciem odtwórczym, czystym rekapitulowaniem danego już materiału, a jako takie nic było bardziej wytężające od uczenia się na pamięć wierszy lub wykuwania paragrafów kodeksu; była to czynność ograniczona, zdyscyplinowana i dlatego była doskonałym ćwiczeniem umysłu. Moje dwie ranne i dwie popołudniowe partie przedstawiały pewne określone pensum, które odrabiałem bez wszelkiego uczuciowego zaangażowania; zastępowały mi normalne zajęcia, a ponadto, jeśli nie wiedziałem, co dalej, to wciąż jeszcze miałem oparcie w książce. Czynność ta była tak zbawienna i raczej uspokajająca dla moich nadszarpniętych nerwów tylko dlatego, że odtwarzanie cudzych partii nie wciągało w grę mnie samego; było mi obojętne, czy wygrają czarne, czy białe, bo to przecież Aljechin czy Bogoliubow walczyli o palmę czempiona, a moja osoba, mój rozum, moja dusza rozkoszowały się perypetiami i urokami tej gry jedynie jako widzowie i znawcy. Ale od chwili kiedy spróbowałem gry przeciwko sobie, sprowokowałem nieświadomie sam siebie. Oba moje Ja, Ja czarne i Ja białe, zaczęły z sobą współzawodniczyć i każde z osobna stawało się pastwą niecierplivej ambicji zwycięstwa; jako Ja czarne drżałem gorączkowo na myśl o tym, co uczyni Ja białe. Każde z moich dwóch Ja triumfowało, gdy drugie Ja popełniło błąd, złączając się jednocześnie na swoją własną niezdarność.

Wszystko to wydaje się bez sensu i w samej rzeczy taka sztuczna schizofrenia, takie rozszczepienie świadomości wraz z ową domieszką niebezpiecznej emocji byłyby wszak nie do pomyślenia u normalnego człowieka w normalnych warunkach. Ale proszę nie zapominać, że byłem wyrwany gwałtem z wszelkiej normalności, byłem więźniem zamkniętym niewinnie, od wielu miesięcy dręczonym wyrafinowane samotnością, człowiekiem, który swą nagromadzoną wściekłość od dawna już pragnął na czymś wyrzucić. A jako że nie miałem nic oprócz tej nedorzecznej gry przeciwko sobie samemu, wdarła się w nią fanatycznie cała moja wściekłość i pragnienie zemsty. Coś we mnie pragnęło zachować swoją rację, a miałem wszak tylko to drugie Ja, z którym mogłem walczyć; toteż wpadałem podczas gry w rosnące, niemal maniackie wzburzenie. Z początku myślałem jeszcze spokojnie i z zimną krwią, robiłem przerwy pomiędzy partiami, aby odpocząć po wysiłku; lecz wkrótce moje coraz bardziej rozdrażnione nerwy nie pozwalały mi czekać. Ledwie moje białe Ja zrobiło ruch, już pchało się naprzód Ja czarne; ledwie skończyła się jedna partia, już wzywałem się do następnej, bo przecież za każdym razem któreś z moich szachowych Ja ulegało drugiemu i żądało rewanżu. Nigdy nawet w przybliżeniu nie będę mógł powiedzieć, ile w ostatnich miesiącach rozegrałem w mej celi partii przeciwko sobie samemu na skutek tego obłądnego nienasycenia – może tysiąc, może więcej. Było to opętanie, któremu nie mogłem się oprzeć; od rana do nocy nie myślałem o niczym innym, jak o skoczku i pionie, o wieży i królu, o macie i roszadzie, całym jestestwem i całym uczuciem utonałem w kraciastym kwadracie. Radość gry przerodziła się w rozkosz gry, rozkosz w przymus, w manię, we frenetyczną wściekłość, która przepoiła nie tylko moje godziny na jawie, lecz stopniowo również mój sen. Mogłem już myśleć tylko o szachach, tylko

o szachowych ruchach i problemach; czasem budziłem się z wilgotnym czołem i poznawałem, że nawet we śnie grałem nieświadomie dalej, a jeśli śniłem kiedy o ludziach, to śnili mi się wyłącznie w ruchu skoczek i wieży, w nieustannych skokach szachowego konika. Nawet gdy wzywano mnie na przesłuchanie, nie umiałem się już skoncentrować na mojej odpowiedzialności. Zdaje mi się, że przy ostatnich przesłuchaniach musiałem wyrażać się chyba dość niedorzecznie, gdyż przesłuchujący mnie gestapowcy spoglądali czasem na mnie z pewnym zdumieniem. Ale w rzeczywistości, kiedy przesłuchiwali mnie i toczyli swoje narady, ja w mej nieszczęsnej pasji czekałem tylko chwili, by znowu znaleźć się w celi i kontynuować moją grę, moją obłądną grę, zacząć nową partię i jeszcze, i jeszcze jedną. Każda przerwa stawała się nieznośną przeszkodą; nawet ten kwadrans, kiedy strażnik sprzątał celę więzienną, te dwie minuty, kiedy przynosił mi jedzenie, były udręką dla mej gorączkowej niecierpliwości; czasem jeszcze wieczorem miska z posiłkiem stała nie tknięta, pogrążony w grze zapomniałem o jedzeniu. Jedynym fizycznym uczuciem było straszliwe pragnienie. Była to już zapewne gorączka z tego bezustannego myślenia i grania; dwoma haustami wypijałem butelkę do dna i męczyłem strażnika o więcej, a jednak już za chwilę język mi znowu usychał z pragnienia. W końcu moje wzburzenie podczas gry – a od rana do nocy nie robiłem nic innego – spotęgowało się do tego stopnia, że ani sekundy nie potrafiłem usiedzieć na miejscu; obmyślając partie chodziłem nieprzerwanie tam i z powrotem, coraz prędzej i prędzej i coraz bardziej gorączkowo w miarę zbliżania się rozstrzygnięcia; dzika żądza wygrania, zwyciężenia, zwyciężenia samego siebie przerodziła się stopniowo w pewnego rodzaju wściekłość i drżałem z niecierpliwości, gdyż jednemu memu szachowemu Ja drugie wydawało się zawsze zbyt powolne. Jedno

poganiało drugie; i choć może wyda się to panu śmieszne, zacząłem drwić sam z siebie: „Prędeż, prędeż!” albo: „Dalej, dalej!” – jeśli jedno Ja nie ripostowało dość szybko drugiemu. Dzisiaj oczywiście zdaję sobie w pełni sprawę, że ten mój stan był już zupełnie patologiczną formą duchowego podniecenia, dla którego nie znajduję innej nazwy, jak nieznane dotychczas w medycynie: zatrucie szachami. W końcu to monomaniakalne opętanie poczęło atakować nie tylko mój mózg, ale także ciało. Schudłem, spałem niespokojnie i z przerwami, a kiedy się budziłem, to każde otwarcie ołowianych powiek wymagało szczególnego wysiłku; nieraz czułem się tak słaby, że ręce mi drżały, gdy chwyciłem szklankę i z trudem podnosiłem ją do ust; lecz ledwie zaczynała się gra, wstępowała we mnie dzika moc: z zaciśniętymi pięściami biegałem tam i z powrotem i jak przez czerwoną mgłę słyszałem czasem mój własny głos, gdy ochrypli i zły wykrzykiwał do samego siebie: „Szach!” albo „Mat!”.

Jak doszło do kryzysu tego straszliwego, niemożliwego do opisanie sianu, nie mogę panu powiedzieć. Wszystko, co o tym wiem, to to, że obudziłem się pewnego ranka, lecz było to inne przebudzenie niż zwykle. Ciało moje było jakby oderwane ode mnie, spoczywałem miękko i przyjemnie. Gęste, dobrotliwe znużenie, jakiego nie zaznałem od wielu miesięcy, leżało na moich powiekach, a leżało tak ciepło i dobroczynnie, że zrazu nie mogłem się wprost zdecydować otworzyć oczu. Nie spałem już od paru minut, a wciąż jeszcze rozkoszowałem się tym leniwym zamroczeniem, tym słodkim leżeniem z przytępienymi lubieżnie zmysłami. Nagle zdawało mi się, jakoby usłyszał za sobą głosy, żywe, ludzkie głosy, które wymawiały słowa, i nie może pan sobie wyobrazić mego zachwytu, bo przecież od wielu miesięcy, prawie od roku nie słyszałem innych słów, oprócz tych twardych i złych, padających zza stołu sędziów. „To ci się śni! – mówiłem sobie w duchu. – To ci się śni! Nie otwieraj tylko oczu! Niechże trwa jeszcze ten sen, niech trwa, bo znowu zobaczysz tę przekłętą celę, krzesło i miednicę, stół i tapetę z wiecznie tym samym wzorem. To sen – śnij dalej!”.

Ale ciekawość wzięła górę. Powoli i ostrożnie otworzyłem powieki. I o cudzie: znajdowałem się w innym pokoju, w pokoju szerokim, obszerniejszym od mojej hotelowej celi. Nie zakratowane okno wpuszczało swobodnie światło i otwierał się widok na drzewa, na zielone, kołyszące się na wietrze drzewa, zamiast na mój martwy ślepy mur; błyszcząły białe i gładkie ściany, a wysoko nade mną wznosił się biały sufit – doprawdy, leżałem w nowym, obcym łóżku i to rzeczywiście nie był sen, za mną szeptały cicho ludzkie głosy. Miękkim krokiem podeszła do mnie kobieta, kobieta w białym czepku na włosach, pielęgniarka, siostra. Wstrząsnął mną dreszcz zachwytu: od roku nie widziałem kobiety. Spojrzałem na to urocze zjawisko, a musiało to być dzikie, ekstatyczne spojrzenie, gdyż ona, zbliżając się, powiedziała do mnie kojąco, lecz z naciskiem: „Spokojnie! Proszę leżeć spokojnie!”. Ale ja słuchałem tylko jej głosu. Czy to nie człowiek odezwał się teraz? Czy rzeczywiście istniał jeszcze na świecie człowiek, który mnie nie przesłuchiwał, nie dręczył? I to jeszcze – o cudzie niepojęty! – miękki, ciepły, niemal czuły głos kobiecy. Patrzyłem chciwie na jej usta, gdyż w tym piekielnym roku stało się dla mnie wprost nieprawdopodobne, aby jeden człowiek mógł odezwać się do drugiego – życzliwie. Uśmiechnęła się do mnie – tak, uśmiechnęła się, byli jeszcze ludzie, co umieli się życzliwie uśmiechać – potem położyła ostrzegawczo palec na wargach i poszła cicho dalej. Ale nie mogłem posłuchać jej nakazu. Nie napatrzyłem się jeszcze do syta temu cudowi. Próbowiałem wyprostować się gwałtownie w łóżku, aby patrzeć za nią, za cudem, za ludzką, życzliwą istotą. Chciałem wesprzeć się na krawędzi łóżka, ale to mi się nie udało. Tam gdzie była zawsze moja prawa ręka, palce i nadgarstek, poczułem coś obcego, gruby, duży, biały kłęb, widocznie jakiś wielki opatrunek. Patrzyłem zdziwiony na to białe, grube, obce na mojej ręce,

zrazu nic rozumiejąc nic; potem zacząłem powoli pojmować, gdzie byłem, i zastanawiać się, co mogło się ze mną dzieć. Musiał mnie ktoś zranić albo sam skaleczyłem się w rękę. Znajdowałem się w szpitalu.

W południe przyszedł lekarz, miły starszy pan. Znał nazwisko mojej rodziny i wspominał mego stryja, nadwornego lekarza, z takim respektem, że natychmiast uwierzyłem w jego przychyłność dla mnie. Potem stawiał mi różne pytania, a przede wszystkim jedno, które mnie zdumiało: czy jestem matematykiem albo chemikiem. Zaprzeczyłem.

„To dziwne – mruknął. – W gorączce wykrzykiwał pan tak niezwykle formuły: c_3 , c_4 . Nie mogliśmy się w tym zorientować”.

Zacząłem się dopytywać, co się ze mną działo. Uśmiechnął się osobiwie.

„Nic poważnego. Ostre podrażnienie nerwów – i obejrzawszy się wpiery ostrożnie, dodał cichutko: – To w końcu dosyć zrozumiałe. Od trzynastego marca, prawda?”.

Skinąłem głową.

„Nic dziwnego przy tej metodzie – mruknął. – Pan nie jest pierwszy. Ale proszę się nie martwić”.

Dzięki jego kojącemu szeptowi i serdecznemu, dobremu spojrzeniu wiedziałem, że jestem u niego bezpieczny.

Dwa dni później dobry doktor opowiedział mi dosyć swobodnie, co zaszło. Strażnik usłyszał, że głośno krzyczę w mej celi, i z początku myślał, że wdarł się do mnie ktoś, z kim się kłóć. Lecz ledwie ukazał się w drzwiach, rzuciłem się na niego z dzikimi okrzykami, brzmiącymi podobnie jak: „Zrób już raz ten ruch, ty łotrze, ty tchórze!” . Chciałem chwycić go za gardło i w końcu natarłem na niego tak gwałtownie, że musiał wzywać pomocy. Gdy potem w stanie ostrego szału wleczono mnie na badanie lekarskie, wyrwałem się raptownie i rzuciłem do okna w korytarzu, rozbiłem szybę i rozciąłem sobie przy tym rękę. „O, widzi pan jeszcze tę głęboką bliznę”. Pierwsze noce w szpitalu spędziłem w pewnego rodzaju mózgowej gorączce, lecz teraz doktor uważa moje sensorium za zupełnie czyste. „Oczywiście – dodał cicho – wolę nie meldować tego tym panom, bo gotowi jeszcze zabrać tam pana z powrotem. Proszę zdać się na mnie, zrobię, co tylko będę mógł”.

Co ten szlachetny lekarz powiedział moim prześladowcom – nie wiem. W każdym razie uzyskał to, co chciał uzyskać: moje zwolnienie. Być może, iż uznał mnie za niepoczytalnego albo może też stałem się już nieważny dla gestapo, gdyż Hitler zajął tymczasem Czechy, a tym samym *casus* „Austria” był już dla niego załatwiony. Musiałem więc tylko podpisać zobowiązanie, że w ciągu czternastu dni opuszczę moją ojczyznę, a te czternaście dni były do tego stopnia wypełnione tysiącem formalności, jakich w dzisiejszych czasach trzeba dawnemu obywatelowi świata, by mógł wyjechać – papiery wojskowe, policja, podatki, paszport, wiza, świadectwo zdrowia – że nie miałem czasu myśleć wiele o przeszłości. Widocznie działają w naszym mózgu tajemnicze siły regulujące, które samoczynnie wyłączają to, co może być przykre lub niebezpieczne dla duszy, gdyż ilekroć chciałem pomyśleć o czasie spędzonym w celi, jak gdyby gasło światło w moim mózgu; dopiero po wielu tygodniach, a właściwie dopiero tu na statku odważyłem się uprzytomnić sobie to, co się stało.

I teraz pojmuje pan, dlaczego zachowałem się wobec pańskich przyjaciół tak niestosownie i zapewne niezrozumiale. Przechadzając się znalazłem się przypadkiem w palami i ujrzałem pańskich przyjaciół przy szachownicy; ze zdumienia i strachu stanąłem mimo woli jak wryty. Bo na śmierć zapomniałem, że można grać w szachy na rzeczywistej szachownicy i rzeczywistymi figurami, zapomniałem, że przy tej grze siedzą naprzeciw siebie dwaj zupełnie różni ludzie z krwi i kości.

I doprawdy, trzeba mi było dobrych paru minut, by sobie przypomnieć, że to, co robili tamci gracze, było w gruncie rzeczy tą samą grą, którą w skrajnej rozpaczy grałem całymi miesiącami sam ze sobą. Szyfry, jakich używałem w moich ponurych ćwiczeniach, były wszak tylko namiastką i symbolem tych kościanych figurek; moje zdumienie, że to suwanie figur po desce jest tym samym co moje fantazjowanie w wyimaginowanej przestrzeni myślowej, można chyba porównać ze zdumieniem astronoma, który jak najbardziej skomplikowanymi metodami wyliczył sobie na papierze jakąś planetę, a potem ujrzał ją rzeczywiście na niebie jako białą, jasną, substancjalną gwiazdę. Jak przyciągnięty magnesem gapilem się na szachownicę i zobaczyłem tam moje diagramy – skoczka, wieżę, króla, damę i piony jako realne, wystrugane z drzewa figury; aby zdać sobie sprawę ze stanu partii, mimo woli musiałem ją wpierv wyjąć z abstrakcyjnego świata cyfr i zamienić na ruchome figury. Z coraz większą ciekawością zacząłem obserwować tę realną grę między dwoma partnerami. I teraz właśnie nastąpił ów przykry fakt, że zapominając o wszelkiej grzeczności wtrąciłem się do gry panów. Ale ten fałszywy ruch pańskiego przyjaciela odczułem jak ukłucie w serce. Powstrzymałem go zupełnie instynktownie, był to odruch czysto impulsywny, tak jak bez zastanowienia chwyta się dziecko, które przechyla się przez poręcz. Dopiero później uświadomiłem sobie ten grubo nietakt, jaki popełniłem przez moje natręctwo.

Pośpieszyłem zapewnić dra B., jak bardzo się wszyscy cieszymy, że zawdzięczamy temu przypadkowi naszą znajomość i że po tym, co mi zawierzył, obserwowanie tego improwizowanego turnieju będzie dla mnie podwójnie interesujące. Dr B. poruszył się niespokojnie.

– Nic, proszę naprawdę nie oczekiwać zbyt wiele. To będzie dla mnie tylko próba... próba, czy ja... czy w ogóle potrafię zagrać normalną partię szachów, partię na rzeczywistej szachownicy z konkretnymi figurami i żywym partnerem... Boja coraz bardziej wątpię, czy te setki, a może tysiące partii, jakie rozgrywałem, były prawidłowymi partiami szachów, a nie tylko szachami ze snu, szachami w malignie, jakąś gorączkową igraszką, w której jak zwykle we śnie – przeskakuje się stopnie pośrednie. Nie przypuszcza pan – mam nadzieję – poważnie, że wmawiam sobie, jakobym mógł sprostać mistrzowi szachów i to pierwszemu na świecie. To, co mnie interesuje i intryguje, jest jedynie jakąś pogrobową ciekawością, czy to, co robiłem w celi, było jeszcze grą w szachy, czy już obłędem, czy znajdowałem się wtedy tuż przed ową niebezpieczną rafą, czy już po jej drugiej stronie – tylko to, nic więcej.

W tej chwili na krańcu statku rozległ się gong wzywający na kolację. Gawędziliśmy przeto prawic dwie godziny. Dr B. opowiadał mi wszystko znacznie szerzej, niż ja to tutaj streściłem.

Podziękowałem mu serdecznie i pożegnałem się. Ale nic zeszedłem jeszcze z pokładu, gdy on już dogonił mnie i z widoczną nerwowością i nawet jękając się trochę, dodał:

– Jeszcze jedno! Proszę to panom z góry powiedzieć, abym nie wydał się potem niegrzeczny: zagram tylko jedną, jedyną partię... Ma ona być tylko kreską pod starym rachunkiem – ostatecznym załatwieniem, a nie nowym początkiem... Nie chciałbym po raz drugi wpaść w taką namiętą gorączkę gry, którą wspominam tylko ze zgrozą... A poza tym... poza tym lekarz ostrzegł mnie... wyraźnie ostrzegł. Każdy, kto uległ już raz jakiejś manii, zawsze jest zagrożony, a z takim – choćby już wyleczonym – zatruciem szachami lepiej nie zbliżać się do szachownicy... A więc pan rozumie – tylko tę jedną próbną partię, próbną dla mnie samego, jedną, nie więcej.

Następnego dnia punktualnie o umówionej godzinie, o trzeciej, zebraliśmy się w palami. Nasze grono powiększyło się jeszcze o dwóch miłośników królewskiego kunsztu, dwóch oficerów ze statku, którzy wzięli specjalny urlop, aby przyjrzeć się turniejowi. Także Czentovic nie kazał na siebie czekać jak w poprzednich dniach i po obowiązkowym wyborze kolorów zaczęła się owa pamiętna partia tego *homo obscurissimus*²⁸ przeciwko sławnemu mistrzowi szachów. Żałuję, iż została odegrana tylko wobec nas, niekompetentnych widzów, i przebieg jej jest stracony dla annałów szachowej wiedzy, równie jak improwizacje fortepianowe Beethovena dla muzyki. Wprawdzie w następnym popołudniu próbowaliśmy zrekonstruować wspólnie tę partię z pamięci, ale daremnie; prawdopodobnie z większą pasją obserwowaliśmy wszyscy obu graczy niżli sam przebieg gry. Albowiem z biegiem partii przeciwieństwo konstytucji duchowej obu partnerów objawiało się coraz plastyczniej w ich fizycznych postaciach. Rutyniarz Czentovic siedział cały czas nieruchomo jak pień, z oczami wbitymi surowo i sztywno w szachownicę; myślenie było dlań widać wysiłkiem po prostu fizycznym, zmuszającym wszystkie organy do najwyższej koncentracji. Dr B. natomiast poruszał się zupełnie lekko i swobodnie. Jako prawdziwy dyletant w najpiękniejszym sensie tego słowa, którego w grze cieszy tylko gra, tylko owo *diletto*, podczas pierwszych pauz gawędził z nami i wyjaśniał nam grę, lekką ręką zapalał papierosa, a gdy przychodziła kolej na niego, patrzył na szachownicę najwyżej minutę. Miało się wrażenie, jakoby już z góry oczekiwał właśnie tego ruchu przeciwnika.

28 *homo obscurissimus* (łac.) – najciemniejszy człowiek

Nieuniknione otwarcie nastąpiło dosyć szybko. Dopiero przy siódmym czy ósmym ruchu zaczęło rozwijać się coś w rodzaju określonego planu. Czentovic namyślał się coraz dłużej; czuliśmy, że oto zaczyna się właściwa walka o przewagę. Lecz prawdę powiedziawszy, ten stopniowy rozwój sytuacji, jak każda prawdziwie turniejowa partia, stanowił dla nas, laików, pewien zawód. Bo im dziwniejszy ornament tworzyły splatające się z sobą figury, tym bardziej nieprzejrzysty stawał się dla nas właściwy stan gry. Nie mogliśmy się połapać w zamiarach ani jednego, ani drugiego partnera i nie wiedzieliśmy, który z nich miał w danym momencie przewagę. Zauważyliśmy tylko, że pojedyncze figury poruszały się jak dźwignie, aby podważyć front wroga, ale ponieważ u tak znakomitych graczy każde pociągnięcie było przemyślane na kilka mchów naprzód, nie pojmowaliśmy strategicznego sensu tego ciągłego przesuwania. Ponadto ogarniało nas stopniowo obezwładniające znużenie, wywołane głównie nieskończone długim namyślaniem się Czentovicia, co zresztą zaczęło wyraźnie irytować także naszego przyjaciela. Obserwowałem z niepokojem, jak w miarę przedłużania się partii dr B. coraz niespokojniej i coraz bardziej nerwowo wiercił się na krześle, to zapalając jednego papierosa po drugim, to sięgając po ołówek, aby coś zanotować. Potem znów zamówił wodę mineralną i wypijał duszkiem jedną szklankę po drugiej; było jasne, że kombinował sto razy szybciej niż Czentovic. Ilekroć Czentovic po niezmiernie długim namyśle zdecydował się posunąć swą ciężką ręką jakąś figurę, przyjaciel nasz uśmiechał się jak człowiek, który dostrzegł coś, czego się dawno spodziewał, i natychmiast ripostował. Pracującym błyskawicznie mózgiem obliczył z pewnością już z góry wszystkie możliwości przeciwnika; toteż im bardziej opóźniały się decyzje Czentovicia, tym bardziej rosło jego zniecierpliwienie, a kiedy czekał,

wokół jego ust zarysowywał się wyraz gniewu, niemal wrogości. Ale Czentovic nie dawał się bynajmniej przynaglić. Namyślał się tępo i niemo i w miarę ubywania figur z szachownicy robił coraz dłuższe pauzy. Przy czterdziestym drugim ruchu, po dwóch godzinach i trzech kwadransach przy stole turniejowym, siedzieliśmy już wszyscy zmęczeni i prawie obojętni. Jeden z oficerów marynarki w ogóle odszedł, drugi wziął jakąś książkę do czytania i tylko przy każdej zmianie podnosił na chwilę wzrok. Ale naraz przy pewnym ruchu Czentovicia zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Kiedy dr B. spostrzegł, że Czentovic chwycił skoczka, aby go posunąć, skulił się jak kot przed skokiem. Zaczął drżeć na całym ciele, a ledwie Czentovic zrobił ruch skoczkiem, on posunął ostro damę i rzekł głośno i triumfująco: „Tak! Załatwione!”. Oparł się o poręcz krzesła, założył ręce na piersiach i patrzył wyzywająco na Czentovicia. W jego oczach zapaliło się nagle gorące światło.

Mimo woli pochyliliśmy się nad szachownicą, chcąc zrozumieć ten tak triumfalnie zapowiedziany ruch. Na pierwszy rzut oka nie widać było bezpośredniego zagrożenia. Zapowiedź naszego przyjaciela musiała się zatem odnosić do dalszego rozwoju, którego my, krótkowzroczni dyletanci, nie mogliśmy przewidzieć. Czentovic był jedynym wśród nas, który nie drgnął przy owej wyzywającej zapowiedzi; siedział tak niewzruszenie, jak gdyby w ogóle nie słyszał tego obelżywego: „Załatwione!”. Nie zdarzyło się nic. Ponieważ mimo woli wstrzymaliśmy wszyscy oddech, usłyszało się nagle tykanie zegarka, który położyliśmy na stole dla stwierdzenia czasu do namysłu. Upłynęły trzy minuty, siedem minut, osiem minut – Czentovic ani drgnął, ale miałem wrażenie, że jego szerokie nozdrza rozszerzyły się jeszcze bardziej pod naporem wewnętrznego wysiłku. To milczące czekanie wydawało się widać naszemu przyjacielowi równie nieznośne jak nam. Nagle zerwał się z krzesła i zaczął chodzić tam i z powrotem po palarni, najpierw powoli, potem coraz prędzej i prędzej. Patrzyliśmy nań wszyscy ze zdziwieniem, lecz nikt z takim niepokojem jak ja, spostrzegłem bowiem, że mimo gwałtowności tej wędrówki przemierzał krokiem wciąż tę samą część przestrzeni; zdawało się jakoby za każdym razem na środku pustego pokoju natrafiał na tę samą niewidzialną barierę, która kazała mu zawrócić. I z dreszczem grozy domyśliłem się, że to chodzenie tam i z powrotem reprodukuje nieświadomie wymiar jego dawniejszej celi: zupełnie tak samo musiał biegać tam i z powrotem w miesiącach swego uwięzienia, jak zwierzę zamknięte w klatce, z tak samo skurczonymi rękami, z tak samo zgarbionymi ramionami; tak i tylko tak musiał biegać tysiące razy tam i z powrotem z czerwonym światłem obłędu w nieruchomym, a jednak rozgorączkowanym wzroku. Ale jego zdolność myślenia była snadź jeszcze nienaruszona, gdyż od

czasu do czasu odwracał się niecierpliwie w stronę stołu, aby spojrzeć, czy Czentovic już się tymczasem zdecydował. Lecz minęło dziewięć, minęło dziesięć minut. Potem zdarzyło się wreszcie to, czego nikt z nas nie oczekiwał. Czentovic podniósł powoli swą ciężką rękę, która leżała dotąd nieruchomo na stole. Spojrzeliśmy wszyscy z napięciem na jego decyzję. Ale on nie zrobi! żadnego ruchu, tylko odwróconą dłonią jednym stanowczym gestem zgarnął powoli wszystkie figury z szachownicy. Zrozumieliśmy dopiero w następnej chwili: Czentovic zrezygnował z partii. Skapitulował, aby nie dostać mata w obecności nas wszystkich. Zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna: mistrz świata, czempion niezliczonych turniejów, zwinął chorągiewkę przed kimś nieznanym, przed człowiekiem, który dwadzieścia czy dwadzieścia pięć lat nie dotknął szachownicy. Nasz przyjaciel, anonimus, ignotus, zwyciężył w otwartej walce najsilniejszego szachistę świata.

Nawet nie zauważyliśmy, że w podnieceniu wstaliśmy wszyscy z miejsc, jeden po drugim. Każdy z nas miał wrażenie, że musi teraz coś powiedzieć czy zrobić, aby dać upust temu radosnemu zaskoczeniu. Jedynym, który trwał w niewzruszonym spokoju, był Czentovic. Dopiero po dobrze odmierzonej pauzie podniósł głowę i spojrzał na naszego przyjaciela kamiennym wzrokiem.

– Jeszcze jedną partię? – zapytał.

– Oczywiście – odparł dr B. z przykrym dla mnie entuzjazmem i natychmiast usiadł, zanim mogłem przypomnieć mu o jego zamiarze porzestania na jednej partii; z gorączkową szybkością zaczął ustawiać na nowo figury. Przesuwał je tak gwałtownie, że jakiś pion dwukrotnie wyśliznął mu się z drżących palców i upadł na ziemię; moje już dawniej przykre uczucie na widok jego nienaturalnego podniecenia urosło do rozmiarów trwogi. Albowiem wyraźna egzaltacja opanowała tego tak cichego przedtem człowieka; drganie dokoła ust powtarzało się coraz częściej i całe ciało drżało, jakby wstrząsane nagłą gorączką.

– Nie! – szepnąłem doń cicho. – Nie teraz! Na dzisiaj dosyć! To za duży wysiłek dla pana.

– Wysiłek! – zaśmiał się głośno i złośliwie. – Siedemnaście partii mógłbym być zagrać podczas tego marudzenia. Jedyne wysiłek dla mnie to ten, aby nie usnąć przy tym tempie. No, zacznij pan już!

Te ostatnie słowa powiedział do Czentovicia tonem gwałtownym, prawie grubiańskim. Ten spojrział na niego spokojnie i powoli, lecz w jego kamiennym wzroku było coś z zaciśniętej pięści. Naraz stanęło coś nowego między tymi dwoma: niebezpieczne napięcie, namiętna nienawiść. Nie byli to już dwaj partnerzy, którzy grając mierzyli wzajem swą wiedzę, byli to dwaj wrogowie, którzy pragnęli się wzajemnie zniszczyć. Czentovic długo zwlekał, nim uczynił pierwszy ruch, i czułem wyraźnie, że zwlekał tak długo rozmyślnie. Ten doświadczony taktyk wypenetrował już widocznie, że właśnie swą powolnością nużył i irytował przeciwnika. Toteż zwlekał nie mniej niż cztery minuty, zanim zrobił najnormalniejsze, najprostsze otwarcie, posuwając królewskiego piona o zwykłe dwa pola. Nasz przyjaciel odpowiedział natychmiast swoim królewskim pionem i Czentovic znowu zrobił nie kończącą się, wprost niemożliwą do zniesienia pauzę; miało się uczucie, jak gdyby po silnej błyskawicy czekało się z biciem serca na grzmot, który nie nadchodził i nie nadchodził. Czentovic nie ruszał się. Namysłał się cicho, powoli – jak czułem z coraz większą pewnością – złośliwie powoli; tym samym dawał mi sporo czasu do obserwowania dra B. Właśnie wypił duszkiem trzecią szklanekę; mimo woli przypominałem sobie, co opowiadał mi o swym gorączkowym pragnieniu w celi. Zaznaczały się wyraźnie wszystkie objawy nienormalnego podniecenia; spostrzegłem, że potnieje mu czoło, a blizna na ręce czerwienieje i staje się ostrzejsza. Ale jeszcze panował nad sobą. Dopiero kiedy przy czwartym ruchu Czentovic znowu namysłał się w nieskończoność, stracił równowagę i nagle parsknął:

– Zagrajże pan wreszcie!

Czentovic podniósł chłodno wzrok.

– O ile mi wiadomo, ustaliliśmy dziesięć minut do namysłu. Nie gram zasadniczo z krótszym czasem.

Dr B. zagryzł wargi; zauważyłem, że pod stołem coraz niespokojniej pukał podszwą o podłogę, a i sam denerwowałem się coraz bardziej, mając przygnębiające uczucie, że wzbiera w nim coś nienormalnego. Przy ósmym ruchu zdarzył się rzeczywiście następny incydent. Dr B., który czekał z coraz większym zniecierpliwieniem, nie mógł już powstrzymać napięcia; wiercił się nieustannie i nieświadomie zaczął bębnić palcami po stole. Czentovic znowu podniósł swą ciężką chłopską głowę.

– Czy mogę prosić, aby pan przestał bębnić? To mi przeszkadza. W ten sposób nie umiem grać.

– Ha! – zaśmiał się krótko dr B. – To widać!

Czoło Czentovicia poczerwieniało.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał ostro, ze złością.

Dr B. znów parsknął złośliwym śmiechem.

– Nic. To tylko, że jest pan widocznie bardzo nerwowy.

Czentovic umilkł i spuścił głowę.

Następny ruch zrobił dopiero po siedmiu minutach i w takim śmiertelnym tempie gra wlokła się dalej. Czentovic jakby coraz bardziej kamieniał; w końcu nim decydował się na ruch, przeciągał pauzy do maksimum dozwolonego czasu, zaś zachowanie naszego przyjaciela stawało się z każdym interwałem dziwniejsze. Wydawało się, że nie brał już żadnego udziału w partii, lecz zajmował się czymś całkiem innym. Przestał biegać gorączkowo po sali i siedział nieruchomo na miejscu. Patrząc przed siebie tępym i niemal błędnym wzrokiem, mrucał bezustannie jakieś niezrozumiałe wyrazy; albo gubił się w nieskończonych kombinacjach, albo – jak skrycie podejrzewałem – wypracowywał zupełnie inne partie, gdyż ilekroć Czentovic zrobił nareszcie swój nich, musiało się go przywołać do przytomności. Potem trzeba mu było tylko jednej minuty, aby znów zorientować się w sytuacji. Coraz bardziej rosło we mnie podejrzenie, że właściwie już dawno zapomniał o Czentovicu i o nas wszystkich w tej zimnej formie obłądu, który mógł wyładować się nagle jakimś gwałtownym czynem. Przy dziewiętnastym ruchu rzeczywiście nastąpił kryzys. Ledwie Czentovic ruszył swoją figurę, dr B., nie patrząc prawie na szachownicę, posunął swego gońca o trzy pola naprzód i krzyknął tak głośno, żeśmy się wszyscy wzdrygnęli:

– Szach! Szach królowi!

Oczekując jakiegoś szczególnego ruchu, spojrzeliśmy natychmiast na szachownicę. Ale za minutę nastąpiło coś, czego się nikt nie spodziewał. Czentovic wolno, bardzo wolno podniósł głowę i – czego nigdy dotąd nie robił – spojrzał na nasze grono, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. Zdawało się, że spotkała go jakaś niewymowna rozkosz, gdyż na usta jego wystąpił powoli uśmiech pełen zadowolenia i jawnego szyderstwa. Dopiero gdy do dna wykosztował ten, niezrozumiały jeszcze dla nas triumf, zwrócił się do naszego koła z obłudną uprzejmością:

– Bardzo żałuję, ale nie widzę szacha. Może któryś z panów go widzi?

Spojrzeliśmy na szachownicę, a potem z niepokojem na dra B. Pole, na którym stał król Czentovicia – każde dziecko mogło to poznać – było istotnie bronione pionem przed gońcem, przeto szach królowi był niemożliwy. Zaniepokoiiliśmy się. Czyżby w swej popędliwości przyjaciel nasz przesunął którąś z Figur o jedno pole za daleko lub za blisko? Zaskoczony naszym milczeniem dr B. również spojrzał teraz na szachownicę i zacinając się powiedział gwałtownie:

– Ależ król ma być przecież na f1... Stoi fałszywie, całkiem fałszywie. Pan zrobił fałszywy ruch! Wszystko jest tutaj fałszywe... Pion ma być przecież na g5, a nie na g4... To przecież całkiem inna partia... To jest...

Nagle utknął. Chwyciłem go mocno za ramię, a raczej uszczypnąłem w ramię tak dotkliwie, że nawet w tym gorączkowym pomieszeniu musiał poczuć mój chwyt. Odwrócił się i spojrzał na mnie jak lunatyk.

– Czego... pan chce?

Powiedziałem tylko: „*Remember!*”²⁹ – i przejechałem palcem po bliźnie na jego ręce. Mimo woli powiódł wzrokiem za moim ruchem i spojrzenie jego spoczęło na purpurowej szramie. Potem zaczął nagle drżeć i dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

– Na miłość boską – szepnął pobladłymi wargami. – Czy powiedziałem lub zrobiłem coś niedorzecznego... Czyżbym znowu?...

– Nie – szepnąłem cicho. – Ale musi pan natychmiast przerwać partię, najwyższy czas. Niech pan pamięta, co powiedział panu lekarz.

Dr B. podniósł się od razu.

– Przepraszam za moją głupią pomyłkę – rzekł swoim dawnym, uprzejmym tonem i ukłonił się Czentowiciowi. – To, co powiedziałem, jest naturalnie czystym nonsensem. To oczywiście pańska partia. – Potem zwrócił się do nas. – Muszę także i panów przeprosić. Ale ostrzegałem z góry, aby panowie nie spodziewali się po mnie zbyt wiele. Proszę mi wybaczyć ten blamaż – to ostatni raz, kiedy zasiadłem do szachów.

Ukłonił się i wyszedł równie skromnie i tajemniczo, jak zjawił się za pierwszym razem. Tylko ja wiedziałem, dlaczego ten człowiek nie dotknie już nigdy szachownicy, podczas gdy inni, nieco zmieszani, czuli niejasno, że oto uniknęli czegoś bardzo przykrego i niebezpiecznego. Ostatni wstał z krzesła Czentovic i rzucił jeszcze jedno spojrzenie na nie dokończoną partię.

– Szkoda – powiedział wspaniałomyślnie. – Jak na dyletanta ten pan jest niezwykle utalentowany.

Przełożyła
Izabella Czermakowa